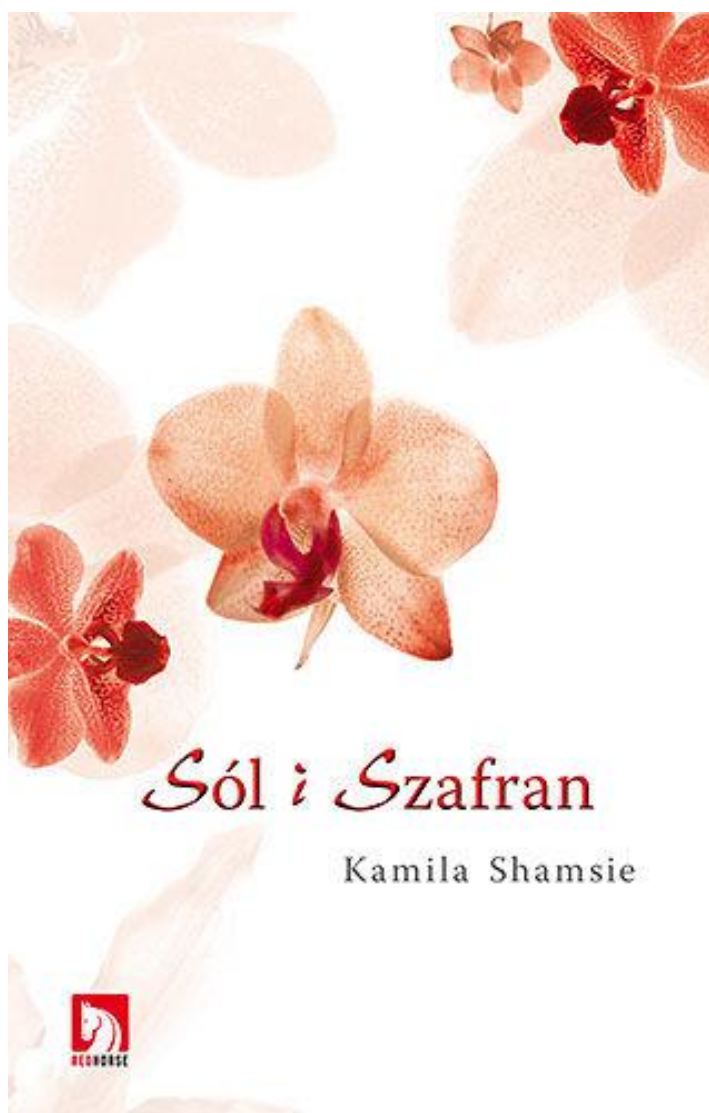




Kamila Shamsie

Sól i szafran

Z języka angielskiego przełożyła
Katarzyna Maciejczyk



Podziękowania

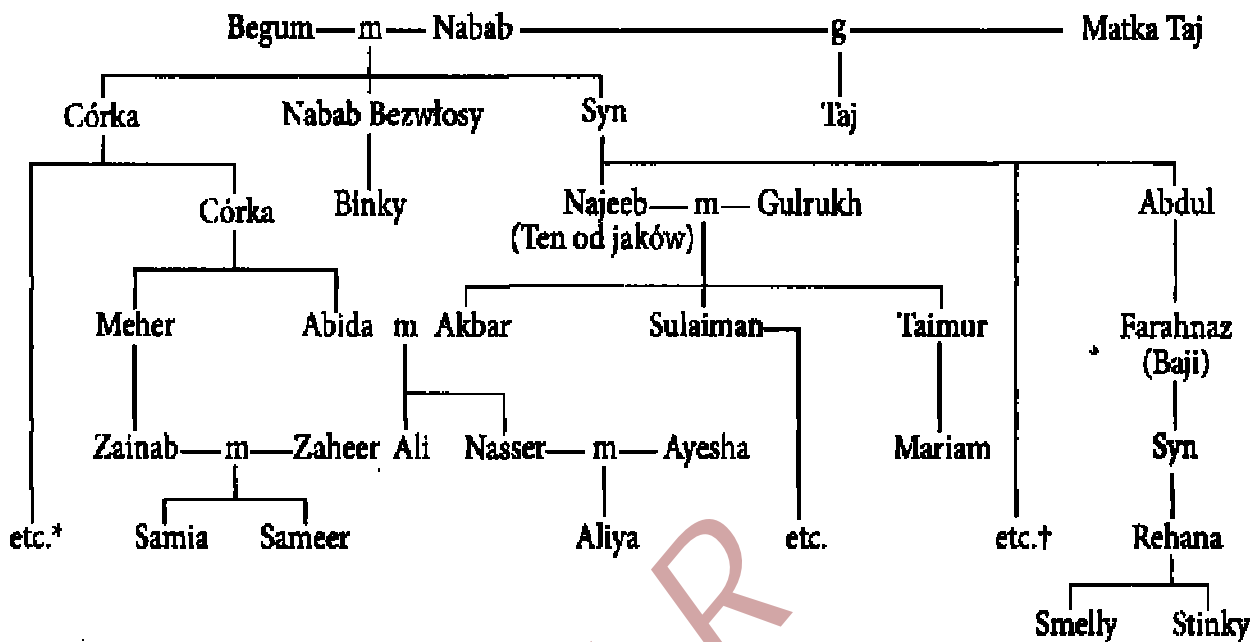


Pragnę podziękować: Samanowi, za chwilę grozy; rodzicom, za staranne sprawdzenie faktów i wytknięcie mi błędów; babci, Begum Jahanarze Habibullah, której wspomnienia stanowią wspaniałe źródło informacji o dworskim życiu; Mariannie Karim, za pomoc w ustaleniu szczegółów historycznych (wszystkie pomyłki należą do mnie); Aamerowi Husseinowi, za wszelką pomoc językową i korygowanie mojego urdù; Haiderom, za opowieści o jaszczurkach; Elizabeth Porto, za jej spostrzeżenia; oraz Margaret Halton, która przyczyniła się do tego, że *Sól i szafran* jest lepszą książką.

TLR

Dla Victorii Hobbs i Alexankry Pringle

Ród Dard-e-Dil (postacie występujące w tej opowieści)



* Cioteczna Babka Bon Mot, Booby, Usman, spokrewnieni z Aliją w tej linii

+ Wykrochmalone Ciotki, Zastraszony Kuzyn, Wuj-Kawaler, spokrewnieni z Aliją w tej linii



o dobrze, nie drwijcie, nie śmieJCie się i nie patrzcie na mnie z niedowierzaniem. Żyjemy w śmiertelnym strachu przed nie-całkiem-bliźniętami.

Oczywiście, jeśli rozłożyć wszystkie opowieści na czynniki pierwsze, można od razu przekonać się, że każdą rodziną kieruje jakiś przesąd. Tym, co nas wyróżnia, jest wybór naszego... mam ochotę powiedzieć „bugaboo”. Często przychodzi mi ochota, żeby powiedzieć „bugaboo”. To słowo, które aż się prosi, żeby wypowiedzieć je na głos - zwłaszcza wśród dwujęzycznych Pakistańczyków, którzy wychwycają jego podobieństwo do „baggalboo”, „smrodu spod pachy” - ale jego prawdziwe znaczenie, „przedmiot nieuzasadnionego lęku”, nie nadaje się do tego wyводу. W naszym lęku nie ma nic nieuzasadnionego. Poparty jest pięcioma setkami lat dowodów, na których oparliśmy strach przed nie-całkiem-bliźniętami. Nasza rodzina zawsze miała naukowe podejście. Tym chyba wyróżniamy się. Choć jak wszystkie inne rodziny wierzymy w zabobony z religijną niemal żarliwością, cała reszta znanych nam familii podbudowuje swoje przesady niczym innym jak stereotypami, ignorancją i zazdrością o przysługujące im przywileje. Natomiast nasz ród jest w swojej historyczności odosobniony i, przyznając się bez bicia, zawsze dawało nam to poczucie wyższości.

Jedno z moich pierwszych wspomnień dotyczy Dadi, zaśmiewającej się na wieść o ślubie Hussaina Asifa i Natashy Shah. „Szyitka z muhaddżirów wychodzi za sunnitę z Sindh! Co na to bigoci? Wydziedziczyć swojego albo zaakceptować wroga! Dzyń, dzyń, izolacja giń!”

Oczywiście, babcia nie wyrażała w ten sposób poparcia dla małżeństw pomiędzy osobami z różnych sekt i kręgów kulturowych. Chciała tylko stawić czoła rodzinnym uprzedzeniom i zakwestionować przesady, aby natychmiast móc zadrzeć głowę i oznajmić: „My, z królewskiego rodu Dard-e-Dilów, zawsze trwaliśmy przy naszych lękach”. Żadne małżeństwo, żadna zmiana wyznania czy podział dóbr nie jest w stanie tego zmienić.

Nie-całkiem-bliźnięta to nie-całkiem-bliźnięta. Tego się nie przeskoczy. Przez pewien czas mogą pozostawać niezauważone, ale na dłuższą metę nie są zdolne się ukryć. Od chwili urodzenia nie mogą pozbyć się przypisanej im etykiety, a naszej rodzinie przysparzają tylko cierpień. Wiem. Czytałam ich dzieje.

Jesteście zdezorientowani? Wolelibyście posłuchać raczej o produkcji mleka jaka?

Rozdział pierwszy



Mleko jaka jest zielone. Nie miałam jednak okazji podzielić się tą frapującą ciekawostką ze współpasażerami. Aby odciągnąć słuchaczy od mojej rodziny, potrzeba czegoś więcej niż bawołu z Nepalu. Moja jaźgotliwa paplanina - która z powodzeniem wypełniła zwyczajową nudę transatlantyckiego lotu nieklimatyzowaną klasą ekonomiczną opowieściami o morderstwach, wojnie i zazdrości oraz anegdotami z cyklu „raz na wozie, raz pod wozem” - zrobiła takie wrażenie na mężczyźnie zajmującym miejsce po drugiej stronie przejścia, że na lotnisku Heathrow z wdzięczności zdjął moją walizkę z bagażowego taśmociągu, podczas gdy ja wciąż sterczałam w kolejce dla imigrantów, czekając, aż nie wymawiający zgłoski „h” Sikh w turbanie skończy wczytywać się w mój pakistański paszport.

- Proszę - z amerykańskim akcentem powiedział sąsiad, gdy w końcu dotarłam do taśmociągu, wymijając wózki bagażowe, ludzi mówiących nieznanymi mi językami i pewnego Skandynawa, który wpadł w histerię na wieść, że jego bagaż został jakimś tajemnym sposobem przekierowany do Nikaragui.

- Domyśliłem się, że to twoja. Jeszcze coś?

Chciałam zapytać: „Skąd jesteś? Po zdjęciu bejsbolówki wyglądasz na Pakistańczyka, choć w samolocie zakładałam, że jesteś opalonym, kto wie, czy nie wielo-rasowym Amerykaninem”.

Pokręciłam tylko głową i przeniosłam swoją szarą walizkę z nalepką przedstawiającą Bliźnięta na wózek. Sąsiad zasugerował, że mogę już iść, bo on i tak musi czekać na drugą walizkę, więc nie ma sensu, żebym tra- ciła czas. Chciał być po prostu miły. Można to było poznać po tym, jak zastanawia się pomiędzy kolejnymi słowami. W sposobie, w jaki rozglą- dał się po terminalu, moż- na było wyczytać niechęć do całego lotniska. W tamtej chwili byłam tak wykończona, że nie mogłam odwza- jemnić mu się żadną grzecznością. Po prostu kiwnęłam głową i podziękowałam. Z jego inicjatywy uściskaliśmy się na pożegnanie. Gdy odwróciłam się, aby odejść, zawołał:

- Hej, Aliya. Na ile to wszystko jest prawdą?

Uśmiechnęłam się.

- Tego żaden dobry gawędziarz ci nie zdradzi.

Przeszłam kilka kroków i odwróciłam się. Moje ciało właśnie zaczę- ło rejestrować dotyk jego ramion. Co po- wiedziałyby babcia, gdyby do- wiedziała się, że obściskuję się na lotnisku z obcym mężczyzną? Stał do mnie tyłem i wpatrywał się w skórzane klapki na końcu taśmociągu, spod których wysuwały się bagaże. Mogłam więc cały czas patrzeć na niego i żałować, że w samolocie tyle czasu poświęciłam na trajkotanie każdemu, kto chciał mnie słuchać. (Dwie dziewczynki przysłuchujące się moim opowieściom usiadły nawet po turecku w przejściu pomiędzy siedzenia- mi, aż w końcu przegoniła je stewardesa, która stanęła nade mną zasłu- chana, z dzbankiem stygnącej kawy w dłoni). Gdybym mniej skupiała się na zabawianiu wszystkich wokół, może odwróciłabym się i z nim poroz- mawiała, naprawdę porozmawiała. Poznał wszystkie moje opowieści ro- dzinne - wszystkie, z wyjątkiem tej najważniejszej - a ja nie poznałam

nawet jego imienia. Ruszyłam w jego stronę, ale poczułam się absurdalnie, więc wyszłam.

Wkroczyłam do Londynu. Wciągnęłam w płuca letnie poranne powietrze i jednym wydechem wyrzuciłam z siebie wszelkie pozostałości po samolotach i lotniskach.

Przypominałam człowieka celebrowującego zdejmowanie bandaża, gdy chce nacieszyć się widokiem skóry, w miejscu gdzie kiedyś była otwarta rana. Terra firma pod stopami i powiew wiatru niosącego znajome zapachy sprawiały, że mogłam rozłożyć szeroko ręce i hasać w podskokach z radości. Jednak bardziej właściwe wydało mi się złapanie taksówki.

- Skąd pani przyleciała? - spytał taksówkarz, gdy ujechaliśmy już wystarczająco daleko, abym zdążyła przestawić pokrętko w głowie opatrzone hasłem „oczekiwania kulturowe” z pozycji „Stany - rozmowność” na „Anglia - dystans”.

- Ze Stanów - odparłam.

- Ale nie jest pani Amerykanką - oświadczył tonem, który zdawał się sugerować, że mogę być tego nieświadoma.

- Nie, jestem Pakistanką.

- Kanciarze i szulerzy - wymruczał. Nawet jeśli miał na myśli jedynie niedawny spór między naszymi krajami w kwestii krykieta, nie było to grzeczne. Odpłaciłam mu ciszą. Nie taką, jaką swoje dni wypełniała moja kuzynka Mariam, lecz ciszą mojej babki, którą ta stosowała, aby okazać pogardę ludziom niższej kategorii. Takiej ciszy zawsze towarzyszyło zadarcie brody, jakby Dadi właśnie pozowała artyście uwieczniającemu jej profil na monecie. Dziwne, że po ludziach, którzy kiedyś wypełniali całe nasze życie, pozostają w pamięci takie drobne gesty. W Massachusetts właśnie to wspomnienie zadartej głowy powstrzymywało

mnie od pisania do Dadi. Uważałam, że zadarcie to zawierało w sobie całe zachowanie babki względem Mariam Apy.

Przez Lord's, drogą, moim zdaniem, mocno okrężną, taksówkarz dojechał w końcu do St John's Wood. Dałam mu aż nadto hojny napiwek. (To kolejny trik Dadi, mający na celu dalsze gnębienie plebsu, ale raczej nie odniósł zamierzonego efektu). Zaczekałam, aż taksówka odjedzie. Dopiero wtedy usiadłam na walizce, na malutkim parkingu przylegającym do Palmer House. W pół drogi do domu, nie tylko w sensie geograficznym. Tutaj, w dwupiętrowym budynku z czerwonej, popękanej cegły, lokator spod numeru **121** walił w podłogę młotkiem i darł się na mnie i moich kuzynów: „Jeśli w tej chwili nie przewiecie tych śpiewów, mój młotek wyląduje na waszych głowach”. Za płotem, w koszu na śmieci, ukryłam się pośród zielonych puszek w czasie gry w chowanego i dzięki wrodzonej ciekawości poznałam smak piwa, a dzięki tacie, który mnie znalazł, smak ponoszenia konsekwencji, który utrwalił się na tyle dobrze, że wykształcił we mnie obsesję niedzielenia się napojami. Och, zza firanek w mieszkaniu numer **77** przyglądała mi się właśnie kuzynka Samia.

- Co ty tam wyprawiasz, Alimencie¹? - zakrzyknęła. - Postradałaś zmysły?

- Nie, właśnie odzyskałam - oświadczyłam i pociągnęłam walizkę w stronę drzwi wejściowych.

Na górze Samia zarzuciła mi ręce na szyję i wciągnęła mnie do mieszkania.

- No proszę, wróciła zguba ze Stanów. I to jeszcze z dyplomem licencjackim! Aż trudno uwierzyć, że to już pięć lat - odsunęła mnie na długość ramienia i zaczęła mi się przyglądać badawczo. Przez chwilę

¹ W oryginale Ailment - Utrapienie, Bolączka.

miałam wrażenie, jakbym znowu była dzieckiem, a ona odlotową starszą kuzynką, której zdanie liczyło się dla mnie tak bardzo, że wychodziłam z siebie, żeby jej dokuczyć i żeby nie zorientowała się, jak bardzo ją podziwiam.

- Wyglądasz tak... Znaczy, *taki* Słowo daję. Gdy twoja mama powiedziała mi, że obciąłś włosy, nie byłam pewna, czy twoja twarz wytrzyma liczne zainteresowane spojrzenia, ale widzę, że wytrzyma. Naprawdę wytrzyma.

- Dzięki, a ty wyglądasz paskudnie - rzuciłam, zła na siebie, że tak cieszę się z tego nie-komplementu. Rozejrzałam się po mieszkaniu i zauważyłam nowy wystrój. Dywan z Buchary, poduszki w tureckie esy-floresy i mogolskie miniatury. Wyglądało na to, że Samia stała się jedną z tych *desis*, które w Pakistanie piją pepsi, a w Londynie *lassi*².

- Kłamiesz tak dobrze, że od razu widać, że jeste- śmy spokrewnione - powiedziała, wręczając mi kubek herbaty. Nie dodała: „Bo patrząc na nas, nikt by się tego nie domyślił”, choć było to oczywiste.

Ona miała wyraziste rysy twarzy, charakterystycznie wystające obojczyki i proste, czarne włosy jak Dadi i mój ojciec. Były to pozostałości po radżpuckiej księżniczce, tak pięknej, że jeden z moich przodków z królewskiego rodu Dard-e-Dilów uprowadził ją i zawłókł na pole bitwy, w nadziei, że jej twarz oczaruje wrogów, którzy rzucają miecze, popędzą po papier i zaczną komponować *ghazale* na jej cześć. Plan mógłby się powieść, gdyby nie to, że księżniczka poczuła się znieważona. Jeszcze zanim bitwa się zaczęła, poorała sobie twarz paznokciami. Ten akt dumy i odwagi zrobił na moim przodku takie wrażenie, że poślubił ją i rzucił się

² Lassi - indyjski napój na bazie jogurtu.

w wir bitwy, w której i tak zwy- ciężył. Gdy miałam lat piętnaście, histo- ria ta wydawała mi się całkiem romantyczna.

Nie trzeba dodawać, że nie wyglądałam jak radżpucka księżniczka. Czym się niespecjalnie przejmuję, choć przyznaję, że nie pogardziłabym wystającymi obojczykami. Członkowie rodziny opisują mój wygląd jako „miły” albo „przyjemny”, a nad pieprzykiem na policzku (nikt nie mówi „znamieniem”) zawsze rozwodzą się tak długo, że jest oczywiste, iż tylko on mnie ratuje. Moje „zalotne spojrzenie” również wywołuje wiele ko- mentarzy. Choć fakt faktem, mam oczy po prostu jak Garfield.

Cierpię na dość kłopotliwą przypadłość. Wyglądałam na bardzo skon- centrowaną, gdy faktycznie myślę o niebieskich migdałach. Przydaje się to na zajęciach, ale w innych sytuacjach wielokrotnie przysparza mi tylko kłopotów. Teraz, gdy moje myśli krążyły wśród gałęzi drzewa genealo- gicznego Dard-e-Dilów, wzrok musiałam mieć skupiony na którymś z nowych elementów wystroju, bo Samia zaczęła się tłumaczyć:

- Słuchaj, Aloo, wiem, że to zawsze była twoja meta. Pewnie my- ślisz, że się rządę i panoszę, ale ja naprawdę zostanę tu tylko kilka mie- sięcy, tyle, ile zajmą mi badania.

- Daj spokój, Samia, czasami jesteś naprawdę tępa. To mieszkanie należy przecież do całej rodziny.

- Tak, ale...

- Proszę - przerwałam. - Czy choć na kilka sekund mogłybyśmy od- stąpić od grząskiego tematu praw i przywilejów rodziny?

Samia wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Tak. Świetna propozycja. Właśnie zbierałam się, żeby ci powie- dzieć, że lądujesz w pokoju gościnnym.

- Nie ma problemu. Jak jestem tu z rodzicami, zawsze w nim sypiam.

- Tak, ale teraz ten pokój sąsiaduje z pokojem młodego małżeństwa.

Ściana może się trząść. A propos...

-Tak?

Samia podniosła brew.

- Pomyślałam, że to sąsiedztwo to doskonały pretekst, abyś mogła podzielić się ze mną wszystkimi soczystymi plotkami dotyczącymi twojego życia i płotek, jakie się w nim pojawiły - oznajmiła.

- Chyba mylisz moje życie z własnym.

- Żadnych płotek?

- Najwyżej plankton. Nie ma o czym gadać. - O chłopakach z collegeu naprawdę nie dałoby się powiedzieć więcej. Nawet o tych, których lubiłam na tyle, że mogłabym rozważyć, czy nie polubić ich jeszcze bardziej. Wszyscy kipieli złością z powodu niesprawiedliwości tego świata. Wszyscy. Jak więc mogłam opowiedzieć im historię, którą musiałabym opowiedzieć, gdyby do czegoś między nami doszło? W college'u nauczyłam się wielu rzeczy, ale jedyną sztuką, którą opanowałam do perfekcji, była sztuka rezygnacji.

- Hmm... - Samia zaczęła bawić się swoim wisiorkiem w kształcie serca, ale wyczerpujące (i to dosłownie) relacje z jej sercowych podbojów na szczęście mnie ominęły. Sączyłam herbatę i ze zmarszczonym czołem przyglądałam się białej plamce, która wykwitła mi na paznokciu kciuka.

- No dobrze. Jak minął ci lot?

Wzruszyłam ramionami.

- Zabawiałam cały samolot rodzinnymi historyjkami.

Samia przejechała językiem pod górną wargą. U krewnych, nawet takich, których się od lat nie widziało, jak ja Samii (od czasu, gdy ja miałam siedemnaście, a ona dwadzieścia jeden wiosen), zawsze można poznać, co kryje ich wyraz twarzy, bo ktoś inny w rodzinie, w tym wypadku mój ojciec, ma ten sam sposób maskowania uczuć.

- Nie - oznajmiłam, przetarłam dłonią po spodzie kubka i energicznie wytarłam ją o dzinsy. - Tej nie opowiedziałam. Widzę, że słyszałaś jakąś udratyzowaną wersję historii o tym, jak zareagowałam wtedy, cztery lata temu...

Samia pociągnęła mnie za ucho.

- Wiesz, chciałam wrócić do domu. Głównie ze względu na ciebie. Ale wakacyjna praca, moje studia i inne sprawy...

- Na przykład Jack, skrót od John.

- Tak, ten palant - na chwilę zamilkliśmy, po czym Samia rzuciła:

- A czy ty sobie samej zadałaś kiedyś pytanie, dlaczego nie opowiadasz tej historii?

- *Uftobah!* Jesteś historykiem, a nie psychologiem. - Wstałam i przeciągnęłam walizkę do pokoju gościnnego, odtrącając rękę kuzynki, gdy ta chciała mi pomóc. Zaczynało się. Pięć minut z kimś z rodziny, a ja zamieniam się w humorzastą krowę. Muuhorzastą krowę. No, przynajmniej humor wciąż mi dopisywał.

- To kiedy wyruszasz w dalszą drogę do ojczyzny? - spytała, wchodząc za mną do łazienki.

- Jutro rano. Nie czytało się maila, którego ci wysłałam, tak? - ściągnęłam koszulkę przez głowę i cisnęłam nią w Samie.

- Czytało się, ale bez wnikliwej analizy.

Weszłam pod prysznic. Reszta przemowy Samii utonęła w strugach wody, bębniących po mojej skórze. Nie słyszałam poszczególnych słów. Docierała do mnie jedynie intonacja i tempo wypowiedzi kuzynki, które równie dobrze mogłyby być intonacją i tempem wypowiedzi wszystkich moich krewniaczek, za wyjątkiem jednej.

Nie był to prysznic, był to rytuał. Rytuał przyjazdu do Londynu, na który składała się też tęsknota za Mariam Apą oraz próba wyobrażenia sobie, czym ona się w tej chwili zajmuje, co akurat przekraczało moje możliwości. Mogłam spokojnie wyobrazić sobie przybyszów z kosmosu, cuda oraz smak potu pewnych mężczyzn, ale tego jednego moja wyobraźnia nie potrafiła.

Zakręciłam wodę i oświadczyłam:

- Tej historii nie opowiadam, bo wciąż brakuje jej zakończenia.

Rozdział drugi



czy mleko jaka naprawdę jest zielone? – spytałam Samię, sadowiac się obok niej z drugim kubkiem herbaty.

Wzruszyła ramionami i pociągnęła mnie za mokre włosy, żeby sprawdzić, czy „piszcza”.

- To naprawdę nie jest takie ważne.

Był to pierwszy i jedyny raz, kiedy Samia powiedziała coś, co można by uznać za przyznanie się do niewiedzy. Prawda jest taka, że wcale nie jestem pewna, czy ktokolwiek z rodziny wie na temat koloru mleka jaka coś więcej niż ona czyja. Wszyscy jednak wiemy, że oświadczenie mojego pradziadka - z 28 lutego 1920 roku, iż właśnie usłyszał, że mleko jaka jest zielone i z tego powodu poczuł się zmuszony, aby poinformować swojego kuzyna, który był Nababem, że rezygnuje z życia na dworze i zamierza poświęcić się badaniom nad produkcją mleka jaków - spowodowało u mojej prababki przedwczesny poród.

Wezwano Taj, akuszerkę. Była to kobieta, której żyły na rękach wystawały na centymetr. Taj pomagała przyjść na świat wszystkim członkom mojej rodziny, urodzonym w Dard-e-Dil od roku 1872. W chwili, gdy mój pradziadek zaczął rozważać honory, jakie czekają go za przeprowadzenie analizy zabarwienia mleka jaka, Taj była już tak skurczona i pomarszczona, że plotka głosiła, iż cofa się do dzieciństwa i czeka tylko na odpowiednie łono, w które mogłaby się wczłgać i zamknąć tym samym koło swojego życia.

Gdy wkroczyła do sypialni mojej prababki, ubrana jak zwykle w *ghararę*, przypominała smażoną na głębokim tłuszczu krewetkę z szerokimi, bawełnianymi spodniami zamiast ogona, wszystkie kobiety, krewni i służący sterczący nad łóżkiem czmychnęli na zewnątrz. Jedyne Begum z Dard-e-Dil miała zamiar tkwić na posterunku przy swojej krewnej i przyjaciółce z dzieciństwa, ale Taj podniosła na nią brew i Begum oddaliła się z mało królewskim pośpiechem. Taj nie można się było postawić, nie pozwalały na to nawet tytuły i złoto, którego mieliśmy tyle, że można nim było pokryć ulice i pola Dard-e-Dil i jeszcze wystarczyłoby na posłoczenie drzew mango. Taj była w posiadaniu pępownin wszystkich członków rodziny. Nie żartuję. Z każdego porodu zabierała pępowninę.

Prześledźcie pochodzenie pogardliwego zwrotu w języku urdu - „Za kogo ty się uważasz? Czy tutaj pochowano twoją pępowninę?” - a odkryjecie, że po raz pierwszy zostało ono użyte, aby obrazić członka rodu Dard-e-Dil, urodzonego między rokiem 1872 a 1920.

Gdzie, jeśli w ogóle, Taj chowała te pępowniny? Nie wiadomo. W roku 1890, tuż po urodzeniu Nababa z Dard-e-Dilów (dla bliskich - Binkyego), kuzyna mojego pradziadka, jego ojciec, Nabab Bezwłosy, nakazał jednemu z dworzan śledzić Taj i wybadać, co robi z pępowniną. (Strach przed nie-całkiem-bliźniętami obecny był w rodzinie już od ponad trzech i pół stuleci, więc doświadczenie nauczyło nas mieć oko na wszelkie nieprawidłowości przy porodzie). Dwa dni później odnaleziono dworzanina w sąsiednim księstwie. Nakryto go na podkradaniu wieprzowiny z kuchni brytyjskiego namiestnikostwa. Swojego czynu nie potrafił wyjaśnić. Po tym incydencie nikt już nie próbował śledzić Taj. Nabab Bezwłosy przeszedł do historii jako wyjątkowo sprawiedliwy, bo zdecydował, że pępownina, nawet królewska, nie jest warta utraty miejsca w królestwie nie-

bieskim. To wieprzowina, rozumiecie, a nie kradzież, przekreśliła szanse dworzanina na niebo.

Wątpię jednak, czy moja prababka zastanawiała się nad tym, gdy parła i parła, i parła, a Taj podniosła pierwszego, potem kolejnego i jeszcze jednego chłopczyka, po czym spytała:

„Słyszałaś, jak wybiła północ?”

Krzyki prababki na tyle różniły się od krzyków, jakie wydawała z siebie w czasie porodu, że wszystkie kobiety z powrotem wpadły do pokoju. Taj wręczyła trojaczki Begum, która pierwsza ukazała się w drzwiach. Potem akuszerka wymknęła się z pokoju, znikając z pałacu i z życia mojej rodziny, z trzema skreconymi, zakrwawionymi pępownikami w dłoni.

Zatem trzech synów. Jeden urodzony tuż przed północą, 28 lutego. Jeden urodzony tuż po północy, 29 lutego. I jeden urodzony o północy, na skraju dodatkowego dnia roku przestępnego. Jego głowa ujrzała świat 28 lutego, a tułów pojawił się w dniu następnym. Moja prababka, nawet gdyby to zaplanowała, nie mogłaby powić na świat

doskonalszych nie-całkiem-bliźniąt. Choć nie sędzę, aby można to było zaplanować. Oczywiście, winą wszyscy obarczali Taj, zapominając, że w ciągu dotychczasowych czterdziestu ośmiu lat jej akuszerstwa niecałek nigdy wcześniej nie było i tylko troje dzieci urodziło się martwych.

- Czuję, że jako feministka muszę złożyć swój protest w sprawie Taj - leżałam na podłodze, aby Samia mogła wybić mi z pleców samolotowe napięcie, a mój głos unosił się i opadał za każdym uderzeniem. - Pomyśl tylko. W tej historii są dwie archetypiczne postacie kobiece. Starucha i matka. Do pełnego stereotypu brakuje tylko dziewicy.

- Na mnie nie patrz - Samia zaczęła ćwiczyć taneczne kroki wzdłuż mojego kręgosłupa.

- Chyba właśnie sparaliżował mnie twój masaż.

- I to się nazywa wdzięczność! - Samia położyła się, opierając głowę o moje plecy.

Powodem, dla którego tak tęskniłam za Karaczi, nie były mango, *gol guppas*, *nihari* i chlebki *naan*, krykietomania, monsuny i łowienie krabów pod rozgwieżdżonym niebem, tylko bliskość ciał.

- A poza tym - powiedziała Samia - czy staruchy nie są przepelnione tą... no... Jak to się nazywa? Wiesz, tym, czym Ego w *Hotelu*?

- Jago w *Otellu*. Mam nadzieję, że to w zamierzeniu miało być żartem - wskazującym palcem wodziłam po rombach na dywanie i przypominałam sobie, jak w sypialni mojej babki grałam z Samią i jej bratem, Sameerem, w dziwną formę klas. Skakaliśmy po wzorach nadywanie Dadi.

- Miało być niczym nieuzasadnioną złośliwością, o to mi chodziło. Bez niej nie ma nawet co myśleć o dostaniu się do Szkoły Dla Staruch. Ale Taj miała wszelkie powody, aby nienawidzić całego rodu.

- Jeśli rozważyć możliwość, że Jago kocha się w Otelu, to...

- Och, daj spokój. Kogo to obchodzi? - Samia przewróciła się na bok, oparła brodę na dłoni i spojrzała na mnie. - Ale słuchaj, czy to prawda, że kiedyś spytałaś swoją Dadi, czy imię Taj pojawia się w naszym drzewie genealogicznym?

- Nie - dopóki Samia nie zadała mi tego pytania, nawet nie zdawałam sobie sprawy, że Taj faktycznie należała do rodziny. Boże, liczba krewnych rozproszonych po całym świecie jest nawet większa, niż myślałam. Całe pokolenia ludzi z włosami Samii, oczyma mojego ojca, uśmiechem Mariam Apy. Gdybym spotkała któregoś kuzyna na ulicy, czy poznałabym go i powiedziała: „Wiem, że my się nie znamy, ale znam twoje obojczyki, poznaję to ich wygięcie”? A co, gdybym oprócz tych włosów, uśmiechu i obojczyków przeżących się tuż pod skórą dostrzegła jeszcze żyły, wystające z rąk na centymetr?

- Serio? - zawiedziony głos osoby, której ulubiony mit rodzinny legł właśnie w gruzach. - Naprawdę nic takiego nie powiedziałaś?

- Nie. Ale raz, gdy wystraszyłam się wiewiórki, Dadi spojrzała na mnie pogardliwie i powiedziała coś w stylu: „I pomyśleć, że pochodzisz od Nababa, który gołymi rękoma zabił tygrysa”. A ja...

- Czy ja dobrze usłyszałam? Wiewiórki?

- To była wyjątkowo wielka wiewiórka. A ja powiedziałam Dadi: „Ten wzór cnót, którego masz na myśli, to ten sam facet, który zgwałcił matkę Taj?”.

- Czeka! - Samia podniosła rękę, aby mnie uciszyć. - Niech zgadnę. Odparła oczywiście, że to nie był gwałt. On był przecież Nababem.

- Gorzej. Zadeklamowała *Ledę z łabędziem*.

Samia zgięła się wpół ze śmiechu.

- Cała Abida Nani! Pełna niespodzianek.

Jeśli zastanawiacie się, w jaki sposób jestem z Samią spokrewniona, z jej słów moglibyście wywnioskować, że skoro moja Dadi jest jej Nani, czyli mój ojciec i matka Samii są rodzeństwem, to Samia i ja jesteśmy kuzynkami. To nie takie proste. Dadi jest matką mojego taty. Nie jest jednak matką matki Samii, co sugerowałoby słowo „Nani”, tylko siostrą matki matki Samii, więc Samia i ja jesteśmy dalszymi kuzynkami. Skoro już jesteśmy przy drzewie genealogicznym mojej rodziny, powiem wam jeszcze, że moi dziadkowie, Dadi i Dada albo Abida i Akbar, jeśli wolicie poufałość imion, również byli dalszymi kuzynami, a Dada był jednym z tych trzech synów, nie-całkiem-bliźniąt, które przysporzyły rodzinie tyle cierpienia. Ale o tym później. Choć oczywiście naprawdę było to wcześniej.

- Śmieję się - mruknełam, spoglądając na obraz przedstawiający cesarza i dworzan na polowaniu, który wisiał w mieszkaniu, odkąd pamiętam. Cesarz na koniu, otoczony uzbrojonymi dworzanami. Jaki dworzaniek pozwoliłby swojemu władcy zbliżyć się do tygrysa na odległość choćby ręki? - Ale to naprawdę podsumowuje poglądy Dadi na monarchię. Nabab jako Zeus, rozważ wszelkie podobieństwa. Ona uważa, że był bogiem. Lecz gdy zgwałcił matkę Taj, nie był nawet Nababem. Był tylko następcą

tronu. Choć nie twierdzę, żeby tytuł bądź jego brak w ogóle robił tu jakąś różnicę.

Samia wstała, ściągnęła z półki tom wierszy i zaczęła go kartkować.

- *Suno* - powiedziała. „Jakże mają jej palce paniczne i błędne / Odepchnąć od słabnących ud pierzastą chwałę?”³ Daj swojej Dadi *qatré* zaufania. Wiersz jest o uwodzicielskiej mocy władzy, tak? Więc czy był to gwałt, czy też uwiedzenie? Oto jest pytanie. Palce są paniczne, uda słabną. Jedno i drugie. Jesteśmy zbyt nowoczesne, aby zrozumieć nimb otaczający następców tronu. I bogów pod postacią łabędzi. I, zaczekaj jeszcze... Tak się teraz zastanawiam, skąd domniemanie, że matka Taj nie miała na to ochoty?

Odwróciłam się.

- Dadi nie potrafi pojąć złożoności pewnych spraw.

- Od naszego ostatniego spotkania twoje spojrzenie na nią zmieniło się o sto dwadzieścia trzy stopnie.

- Przez te cztery lata wszystko się zmieniło. Wszystko.

Samia zarzuciła mi ramiona na szyję i przyciągnęła mnie do siebie, a moja głowa spoczęła na jej piersi.

- Czy z Zeusowym gwałtem na Ledzie, tudzież uwiedzeniem, jo *bhi*, nie wiązały się czasem jakieś bliźnięta?

- Faktycznie! Tego samego, dnia gdy Zeus uczynił, co uczynił, Leda uprawiała seks ze swoim mężem, Tyndareosem. Dziewięć miesięcy później złożyła dwa jaja. Z jednego wyskoczyli Helena i Polluks, dzieci Zeusa, a z drugiego Kastor i Klitajmestra, dzieci Tyndareosa. To dopiero nie-całkiem- bliźnięta!

- *Arre*, może więc pochodzimy od Ledy.

- To tylko mit, matolku. I to nie z naszego kręgu kulturowego.

- Punkt pierwszy: teksty starożytnych Greków zachowały się tylko w arabskich przekładach, które z arabskiego przełożono z powrotem na języki europejskie, dopiero gdy Europejczycy zeszli z drzew i postanowili zająć się kulturą. Moja babka, mieszkająca w swoim małym domku nad Morzem Śródziemnym, pozostaje w tej kwestii niewzruszona. I, po drugie, nie wydaje mi się to o wiele bardziej nieprawdopodobne czy mityczne od przygód, które miała nasza własna rodzinka. A przy okazji, słyszałaś o przygodzie Sameera z jaszczurką? W kiblu. Skubana *chhipkali* praktycznie zaatakowała go. Była tego samego koloru co podłoga i poruszała się z zawrotną prędkością.

Samia rozkręciła się i opowiedziała mi anegdotę, która mogłaby zająć godne miejsce obok naszych najlepszych historii o jaszczurkach. Na przykład obok tej o babce Samii i Sameera, która w czasie oficjalnego bankietu zdarła z siebie sari, bo myślała, że jaszczurka przebiegła jej po plecach. Czy obok tej o babce Dadi, która jaszczurkę dostrzegła na poduszce pod stopami, a jej reakcją było zeskokowanie z palankinu i ukazanie twarzy mężczyznom, którzy nie byli ani eunuchami, ani bliskimi krewnymi. A także obok tej o czerwonej jaszczurce z grubą szyją, która wspięła się po kracie koło okna naszego kuzyna Usmana, przyczyniając się do licznych wrzasków i ogólnej paniki, kiedy to matka Usmana wyrzuciła z siebie cztery najstraszliwsze z możliwych słów: „To wlało do domu!”.

W collegeu znana byłam z umiejętności snucia opowieści, ale nikomu nie zdradziłam, że powtarzam tylko znane historie, a moje zdolności gawędziarskie są zdolnościami papugi. O, cała moja rodzina jest gadatliwa, więc wdychałam to ich gadulstwo i przechowywałam je w tych za-

³ W.B. Yeats, *Leda i Łabędź*, tłum. Stanisława Barańczaka, „Przekrój” 1994, nr 21, s.16.

kamarkach płuc (w pęcherzykach, oskrzelach), których nazwy sugerują tajemnice wykraczające poza oddech i krew. Gdy zachodzi taka potrzeba, potrafię wydychać odpowiednie słowa i rozpowszechniać mit, który pozostaje jedynie mitem, bo zapomina o Mariam Apie.

Mit, za którym stoi jedynie nasza wspólna, uniwersalna, stuprocentowa gadatliwość. Ale gdy jedyną publiczność stanowią ja sama, wszystkie puenty, *bon moty* i cięte riposty tworzą jedynie szum znaczeniowy. Zaczynam tęsknić za czymś tak cichym jak smużka dymu.

Nikt ze znajomych by w to nie uwierzył. Może nawet ja sama w to nie wierzę. Może.

- Ale, ale, Aliya - rzuciła Samia. - Wiewiórka?

TLR

Rozdział trzeci

Korzystając z okazji, że mogę ci zagrozić, że jeśli nie odpowiesz, nie dostaniesz obiadu, upominam się o odpowiedź, czemu chcesz wracać do Stanów Spotworzonych Ameryki i robić jeszcze magisterkę z pedagogiki? - Samia podciągnęła rękawy.

- Co, chcesz mnie walnąć?

- Nie - zabrała mi kubek. - Chcę namoczyć naczynia w wodzie z płynem. Chodź do kuchni i odpowiedz na mój *savaal*.

- Decyzje - oznajmiłam, sadowiąc się na kuchennym blacie. - Gdzie, co, dlaczego. Nie daję sobie z nimi rady. Więc przedłużam czas podjęcia decyzji, rzucając się w wir kolejnych studiów.

Samia założyła gumowe rękawiczki, co niespodziewanie uświadomiło mi, że jest już zupełnie dorosła. Zaczęłam się zastanawiać, czy o mnie dałoby się powiedzieć to samo, biorąc pod uwagę, że podczas zmywania wciąż potrafię poparzyć sobie ręce i nic mnie nie obchodzi, co z moim manikiurem zrobi płyn do mycia naczyń. Samia wymierzyła we mnie złoty palec.

- Moje pytanie brzmi: pedagogika, dlaczego?

- Ach, nie ma to jak pytanie „dlaczego”! - wzruszyłam ramionami. - Koleżanka miała akurat formularze zgłoszeniowe na różne uczelnie pedagogiczne.

Samia rzuciła we mnie ściereczką.

- A co z historią?

- Naszym rodzinnym historykiem jesteś ty.

- Aloo, gdy miałam osiemnaście lat, o historii wiedziałam tyle co ty.

A ty miałeś wtedy lat czternaście -w ustach Samii nawet najprostsza uwaga była w stanie zabrzmieć jak wściekłe oskarżenie.

- Ja wiedziałam więcej. Ale po pierwszym tygodniu w collegeu dostałam list od Dadi.

Któregoś dnia chciałabym znowu być z ciebie dumna. Dojdzie do tego dopiero wtedy, gdy zrozumiesz, czym jest duma. Duma! W angielskim to jeden z grzechów głównych. Natomiast w języku urdu określają ją dwa słowa a zarazem imiona: Fakhr i Nazish. Imiona te niejednokrotnie pojawiają się w naszym drzewie genealogicznym. Aby zrozumieć kim jestem i kim ty jesteś, musisz cofnąć się do tych słów, tych imion i tych ludzi. Dlatego dobrze, że jesteś w Ameryce, gdzie znajduje się tyle książek. Studiuj historię, moja droga Aliyo, ale nie historię Mogolów czy Anglików w Indiach, choć nasze dzieje tak często się z nimi krzyżują. Studiuj dzieje Dard-e-Dilów. Wiem, że nie ufasz historiom płynącym z moich ust. Jedź więc do kraju, który własną historię przekreśla, a gdy zaczniesz drwić z jego arogancji i kłamstw, udaj się do biblioteki i wśród tomów spowitych pajęczyną poszukaj własnych dziejów, własnej przeszłości. Kiedy to zrobisz, gdy ujrzysz w druku stare opowieści, którymi tak emocjonowałaś się przed snem, zobaczymy, czy nie poczujesz ukłucia Fakhr i Nazish!

- Aliya! Co było w tym liście?

- Pisała, że chce żebyś studiowała historię. Więc tego nie zrobiłam.

Otworzyłam lodówkę i ukucnęłam. Moja kuzynka Samia była wielobicielką kanapek. Chleb, majonez, musztarda, salami, pieczeń wołowa w plasterkach, sałata, pomidory, korniszony, sałatka z tuńczyka. Boże, co za nuda!

Za bochenkiem chleba skryła się sosjerka, przypominająca lampę Aladyna. Wyjęłam ją z lodówki, trzymając w obu dłoniach, i podniosłam do twarzy. Tamaryndowiec!

- Co tam jest? - Samia wyciągnęła rękę w stronę sosjerki. - *Imii?*

- Piątkowe wieczory.

W piątki Masood miał wychodne. O świcie wyjeżdżał dokądś na rowerze i nie było go cały dzień, a nakrywaniem do stołu, zmywaniem i podgrzewaniem mrożonek zajmowaliśmy się my - Ami, Aba, Mariam Apa i ja. Mariam Apa na obiad nierzadko zjadała resztki z wczorajszej kolacji, a Aba zawoził mnie na targ, gdzie kupowaliśmy *aloo puri* z marynowaną marchewką i chałwą na osłodę. Masood wracał dopiero po zmierzchu, w mokrym ubraniu, z włosami pachnącymi solą i lśniącem, srebrzystym piaskiem przylepionym do skóry.

Wyciągał do mnie dwie pięści niczym bokser gotowy do ciosu. Ja wybierałam i klepałam jedną z nich, a Masood odwracał i otwierał dłoń, w której ukazywała się przezroczysta torebka z cukierkiem z tamaryndowca.

Na pewien czas, nie tak dawno temu, straciłam wspomnienia o Masoodzie. Chciałabym myśleć, że wspomnienia te wróciły za sprawą siedzącego mi na ramieniu dobrego aniołka, choć tak naprawdę przywrócił mi je wstyd, że reaguję zupełnie jak niektórzy moi krewni. Wstyd i zapachy jedzenia, dosłownie ciągnące mnie w stronę Masooda. Smak chilli

przyprawiał mnie czasem o łzy, ale nie dlatego, że moje podniebienie nie było w stanie znieść tej palącej ostrości.

Znowu wwąchałam się w sosjerkę. Tamaryndowiec. Dopiero w college'u, gdy półki uginające się od przypraw i potraw ze wszystkich stron świata w sklepie Stop 'n' Shop zmusiły mnie do zrobienia czegoś z moją nie-istniejącą terminologią kulinarną w języku angielskim, pobiegłam po słownik urdu-angielski i dowiedziałam się, że *imli* to tamaryndowiec. Tamaryndowiec. Kilka dni później zdałam sobie sprawę, że słowo to ma wiele wspólnego z imieniem Taimur.

Taimur Hind. Aby wyjaśnić, jakie znaczenie ma dla mnie to imię, muszę wrócić do historii trojaczków, czyli nie-całkiem-bliźniąt. Ich ojciec, mój pradziadek, na wieść o okolicznościach, w jakich przyszły na świat, przeraził się tak, że zapomniał chwilowo o jakach i ich mleku, i skoncentrował się na próbach uniknięcia katastrofy. Miał dobre intencje, ale w mojej rodzinie „dobre intencje” to synonim do „ptasi mózdzek”. Oświadczył: „Nazwiemy ich Sulaiman, Taimur i Akbar”. Myślał, że obdarzenie synów imionami wielkich władców uchroni ich przed wszelkimi klęskami, ale nie wziął pod uwagę, co by się stało, gdyby ich słynni imiennicy – Sulaiman Wspaniały, Akbar Wielki i Taimur, zwany Tamerlanem albo Taimurem Chromym, choć kalectwo w niczym mu nie przeszkadzało i nikt nie myśli o nim jako o kalece - byli braćmi. Przy nich konflikty Romulusa i Remusa, Aurangzeba i Dara Shikoha czy Ryszarda Lwie Serce i Jana Bez Ziemi wyglądałyby na zwykłe braterskie poszturcanki. (Choć w wypadku Ryszarda i Jana, ich legendarne animozje mogły równie dobrze zostać wyolbrzymione dzięki opowieściom o Robin Hoodzie, a poza tym, nigdy nie darzyłam krzyżowców specjalną sympatią).

Wracając do trojaczków. Tym, który przyszedł na świat na przełomie nocy, był Taimur. Bracia go uwielbiali i zawsze wyklócali się o to, który z nich dzieli z Taimurem dzień urodzin. Czy rodzisz się w momencie, gdy na świecie pojawia się twoja głowa, jak utrzymywał mój dziadek - Akbar, czy też dopiero wtedy, gdy każdy cal twego ciała znalazł się już poza łonem matki, jak twierdził Sulaiman.

Taimur, zapytany o dzień swoich urodzin, odpowiadał: „Urodziłem się pomiędzy braćmi”. A gdy trochę podrośł, dodawał: „Nie ma nic bardziej umownego niż podział na dni”.

Co wiem o Taimurze? Był najpiękniejszym z braci, Akbar był najbardziej elegancki, a Sulaiman najbardziej czarujący. Gdy Taimur miał cztery lata, odgryzł nos pluszowemu reniferowi należącemu do Dadi. Abida w odwecie ugryzła go w palec wskazujący. Piłkę do krykieta odbijał idealnie i bez wysiłku, ale w angielskiej szkole z internatem osiągał gorsze wyniki niż Akbar, bo po skończonym *runie* często zapominał stuknąć kijem o murawę. Uwielbiał wiersze Emily Dickinson. Przed wyjazdem do szkoły miał angielską guwernantkę, która nazywała go Percym (Sulaiman był Alfredem, a Akbar - Gordiem). Grał na sitarze i klawesynie. To on namówił braci, żeby zeskoczyli z nim z balkonu, z drugiego piętra pałacu Dard-e-Dil, gdy w wieku lat szesnastu przyjechali do domu na wakacje. Ich połamane nogi i wstawiennictwo Nababa w końcu przekonały ich ojca, by pozwolił im na ukończenie szkoły średniej w pałacu Dard-e-Dil, razem z kuzynostwem, pod okiem preceptorów. Taimur nie cierpiał polityków, jeszcze zanim stało się to modne. Jego najcenniejszą rzeczą była laska, należąca niegdyś do Liaquata⁴, którą albo ukradł, albo dostał w prezencie od samego Liaquata, po tym, jak udawał, że chce ją

⁴ Liaquat Ali Khan (1896-1951) - pierwszy premier Pakistanu.

ukraść (są różne wersje tej opowieści, ja wolę tę drugą). W czasie jednego posiedzenia potrafił pochłonąć straszne ilości smażonej okry, choć poza tym nie odznaczał się jakimś szczególnym apetytem. W 1938, na krótko przed zamierzonym wyjazdem braci do Oksfordu, zniknął.

Zniknął i tak już pozostało. Przez dwa tygodnie rodzina spodziewała się najgorszego, aż przyszedł list, opatrzony zamazanym znaczkiem i adresem napisanym ręką Taimura, z charakterystycznymi pętelkami w literach D. Na widok tej koperty listonosz oblał się poranną herbatą i pognął na rowerze do pałacu.

Gdy rodzinie dostarczono list, Dadi była akurat u swoich kuzynów - Akbara i Sulaimana - i choć przysięga, że czytała go tylko raz, cały czas potrafi wyrecytować jego treść, wodząc palcami po wymaginowanych pętelkach w literach D.

Bracia moi, urodziliśmy się rok po masakrze w parku Jallianwala. Pomyślcie o tym, gdy będziecie spacerować oksfordzkimi ścieżkami, ucząc się, jak stać się Anglikami i odnosić sukcesy. Mnie brakuje waszej zdolności wymazywania, ba! - unikania historii. Ten list jest ostatnią rzeczą, jaką czynię przed zatrudnieniem się u angielskiego oficera, w charakterze ordynansa. Pogodziłem się już z moim miejscem w historii, a gdy wrócicie z Oksfordu i zaczniecie pracować dla ICS czy prowadzonych przez Anglików kompanii handlowych, przekonacie się, że jedyną różnicą między nami będzie to, iż ode mnie wymaga się wspanialszego munduru. Nigdy więcej nie dostaniecie ode mnie żadnej wiadomości, bo wyrzekam się języka angielskiego. Lata angielskiej edukacji odebrały mi, niestety, szansę nauczenia się pisania w języku urdu. Od chwili naszych urodzin wisiła nad nami klątwa, która teraz się spełni. Klątwa polega na tym -

Akbarze i Sulaima- nie - że jesteśmy jak latawce, którym podcięto sznurki. Chodziliśmy do szkoły w miejscu, gdzie nie było słońca i wierzyliśmy, że to oznacza, iż nie potrzebujemy cienia. Nie jestem Anglikiem, wy też nie. Nigdy też nimi nie zostaniemy, mimo naszych fokstrotów, kijów do krykieta, naszych five o'clockow i how do you do.

Nie jestem już zanglicyzowanym Percym.

Jestem - Taimur Hind

Dadi zawsze zamykała recytację esem-floresem ostatniego D. I zawsze, zawsze kończyła słowami:

- Myśleliśmy, że to kawał. To musiał być kawał. Napisał „ba!”. Nigdy nie mówił „ba!”, chyba że w żartach, gdy parodiował naszego wuja Ashrafa.

- Co byś zrobiła - zdobyłam się raz na odwagę, żeby zapytać - gdybyś znalazła się w domu jakiegoś Anglika i ujrzała tam służącego ze śladem po twoich zębach na palcu wskazującym?

Gdyby Dadi wtedy zapłakała, jak się spodziewałam, nasze stosunki mogłyby przetrwać to, co nastąpiło wkrótce potem. Ale ona odrzuciła tylko głowę do tyłu i odparła:

- Służący we własnym domu to jedno, ale po co miałabym przyglądać się służbie u innych?

Machinalnie zanurzyłam palce w tamaryndowcu.

- Wiesz, dlaczego naprawdę myśleli, że list Taimura to żart? - spytałam, odstawiając sosjerkę. - Nie mogli uwierzyć, że ktoś z Dard-e-Dilów mógłby zostać służącym.

Samia pokręciła głową.

- Skąd wiesz, czy twoja wersja zdarzeń jest bliższa prawdy niż wersja oficjalna? Gdy zgłębiam stare źródła historyczne, staram się dowiedzieć o ich autorach jak najwięcej.

- O nie! A więc należysz do tej samej bandy co Sara Smith, z którą chodziłam na zajęcia z Szekspira. Twierdziła ona, że dobrze byłoby wiedzieć coś więcej, nie, o relacjach Szekspira z tymi, no, córkami, nie, bo wtedy rozumielibyśmy, tego, no, *Króla Leara*, lepiej, nie?

- Przymknij się, mała.

- Zdejmij te koturny, to pogadamy.

To na parę sekund zamknęło jej usta. Po chwili jednak rzuciła:

-Są tutaj.

- Kto? W zagadkach jesteś najlepsza.

- Nasi krewni z Indii. Niektórzy z nich są tutaj. Zaprosili mnie na przedpołudnie. Co ty na to? Pójdiesz ze mną?

Rozdział czwarty



Jedną z indyjskich krewnych poznałam lata temu, w Karaczi. Pamiętam, że tego dnia ubrana byłam w koszulkę z dziurą po kuli. Fakt, że nie miałam jej na sobie w momencie, gdy dziura powstała, w niczym mi nie przeszkadzał. Nie pozbawiał kultowej kreacji swej wojennej chwały i nie odciągał uwagi od jej sfatygowanego splendoru. *Dhobi* wiozł nam właśnie świeżo wypraną bieliznę, gdy ktoś strzelił w jego wózek, ciągnięty przez osła. Nie udało się ustalić motywów tego czynu. Nie wiadomo, czy stał za nim jakiś sekciarz (nasz *dhobi* był szytą), czy też dosłownie osioł (osioł naszego *dhobi* trzy razy z rzędu wygrał zawody, co podobno bardzo rozzłościło niejakiego pana Billo, który nie miał jednego palca, i dlatego należało się mieć przed nim na baczności). Osioł stracił koniuszek ucha, a moja koszulka wyhaftowaną literkę W. Od tego momentu widniejący na niej napis głosił: NIE KURZAJ MNIE! Osioł uzyskał bardziej aerodynamiczny kształt, a ja na pewien czas uzyskałam przydomek Kurzaj, który w skrytości ducha uwielbiałam.

Brat Samii, Sameer, powiedział kiedyś: „Nie ma czegoś takiego jak dygresja, jest tylko dodatkowy szczegół”.

Więc, jak mówiłam, miałam siedem czy osiem lat, gdy szofer odwoził mnie i koleżankę z jakichś urodzin. Nie miałam jeszcze ochoty wracać do domu, więc kazałam szoferowi zawieźć mnie do Samii i Sameera.

Gdy wkroczyłam do bawialni, gdzie zgromadził się spory tłumek krewnych, nikt na mnie nawet nie spojrzał. Uwaga wszystkich skupiona była na siwowłosej kobiecie w sari, która zapalała właśnie papierosa. Oznajmiła ona: „Ja papierosy traktuję tak, jak Prufrock łyżeczki do kawy”. Wyobraziłam sobie tę Prue Frock: wysoką, szczupłą i rudowłosą, w sukni. Pomyślałam, że to pewnie jakaś Angielka, którą ta nieznajoma poznała w młodości, jeszcze za czasów rządów brytyjskich. Oczyma wyobraźni widziałam ją, jak podnosi do ust trzonek łyżeczki i wydmuchuje srebrzysty dym. Pamiętam, że chciałam zrobić na nieznajomej wrażenie - tyle tylko, że wcale nie wydawała mi się nieznajoma. Było w niej coś bliskiego... Czy faktycznie tak wtedy myślałam, czy też myślę tak dopiero teraz? Wiem na pewno, że chciałam zrobić na niej wrażenie. Zaczęłam więc bawić się dziurą po kuli, żeby przyciągnąć jej uwagę. W tym momencie w drzwiach za mną pojawiła się mama Sameera – moja ciocia, Zainab - i poprosiła swojego szofera, żeby odwiózł mnie do domu.

- Jedna z krewnych Zaheera była u nas na podwieczorku - Zainab Phupi wyjaśniła później mojej mamie. - Pech chciał, że oprócz niej zjawił się cały *pultan* moich krewnych, więc odchodziłam już od zmysłów, i kolejne dziecko, którego trzeba pilnować, nie było mi potrzebne do szczęścia.

Aby odwrócić uwagę od mojej hańby, spytałam tatę:

- Kim jest ta Prue i co ma wspólnego z papierosami i łyżeczkami do kawy?

Nie dał mi satysfakcjonującej odpowiedzi, ale następnego dnia, gdy powtórzył to Dadi, myślałam, że babcia za chwilę umrze. Przycisnęła dłoń do serca, a drugą ręką chwyciła mnie za ramię, paznokciami wbijając się w żywe ciało.

- Krewna Zaheera Phupy - powiedziałam i powtórzyłam uwagę srebrnowłosej kobiety. - Dadi, co się stało?

Dadi odepchnęła mnie, sięgnęła po telefon i drżącymi, upięścienionymi palcami wystukała sześciocyfrowy numer swojej siostrzenicy.

- Zainab, gdzie ona jest? - powiedziała władczym głosem do słuchawki. - Wiem, że tam jest. Zaraz u was będę.

Byłam na tyle blisko, że usłyszałam odpowiedź Zainab Phupi:

- Była tu tylko na jeden dzień. Teraz jest już w drodze do Anglii.

Dadi zamknęła oczy i spuściła głowę. Musiała też wydać jakiś dźwięk, choć nie pamiętam, żebym go usłyszała, bo Zainab Phupi stwierdziła:

- Byliśmy przekonani, że nie chcesz jej widzieć. Zawsze mówiłaś...

- Zawsze! Co ty wiesz o zawsze? Dorastałyśmy razem. - Dadi powiedziała to tak, jak zdetronizowana monarchini mogłaby powiedzieć: „razem panowałyśmy nad światem”. - Nie widziałam jej ponad trzydzieści pięć lat, a wy po prostu zakładacie, że zawsze mnie rozumiecie.

Krew jest gęstsza niż czas, krew jest gęstsza... - Po czym usiadła na zimnej, marmurowej posadzce i zapłakała.

Był to chyba jeden z tych momentów, gdy wyobraźnią nadrabiam luki w pamięci. Jestem prawie gotowa przysiąc, że pamiętam, jak Mariam Apa otacza Dadi ramionami i kołysze ją uspokajająco.

Samia szturchnęła mnie, więc uniosłam głowę, którą opierałam o pokryte brudem okno metra.

- *Jet lag*. To nasz przystanek?

Metro pędziło dalej, więc Samia nawet nie zaszczyciła mnie odpowiedzią.

- Jakiś przystojny *desi* nie może oderwać od ciebie wzroku. Obok tej kobiety z fioletowymi włosami.

Pozornie niedbałym ruchem odrzuciłam włosy na bok, zmieniając nieco kąt patrzenia.

- Gdzie?

- Właśnie wstał - szepnęła.

Spojrzałam na mężczyznę zmierzającego w moją stronę. Nagle poczułam straszną ochotę, żeby też wstać i spotkać się z nim w pół drogi. Gdzieś pomiędzy fioletowowłosą kobietą a Samią, i objąć go.

- Cześć, Aliya - powiedział, siadając naprzeciwko. - Pamiętasz mnie?

- oparł stopę na kolanie, a dłoń położył na adidasie. Palcami mógł spokojnie sięgnąć od czubka buta do kostki.

- Samolot - powiedziałam tak niefrasobliwie, jak tylko mogłam. - Siedziałeś po drugiej stronie przejścia. I podałeś mi walizkę.

Wyciągnął rękę.

-Cal.

- Nie wyglądasz na Caleba - oświadczyła Samia, podając mu rękę, zanim ja zdążyłam się ruszyć. – Jestem jej starszą kuzynką.

- Witaj, starsza kuzynko. Właściwie nazywam się Khaleel. Ale gdy mieszkasz na Zachodzie, urodziłeś się w miejscowości o nazwie Doopay, a twoje nazwisko brzmi Ass, nie chcesz dalej pograżać się z powodu imienia, które według niektórych brzmi zupełnie jak chark- niecie. To „kh”, rozumiecie?

- Mogło być gorzej - wyszczerzyła się Samia. - Mógłbyś nosić imię Kuth.

- To mój starszy brat.

-Zmyślasz - stwierdziłam.

Odwrócił się, żeby na mnie znowu spojrzeć.

- Może i tak, ale do tego nie przyzna się żaden dobry gawędziarz.

- Przez cały lot z Bostonu do Londynu widziałam, jak postukujesz palcami o adidasy - powiedziałam. – Niezła rozpiętość. - Co jakiś czas kontrolę nad moim aparatem mowy przejmuje złośliwy demon, który każe mi rzucać uwagi tego typu. Wyciągnęłam rękę i przyłożyłam dłoń do dłoni Khaleela. Zgiął palce, naciskając na końce moich paznokci. Kciukiem dotykając lekko pieprzyka na moim wskazującym palcu. Pomyślałam o meczetach, kościołach i dywanikach modlitewnych. Złożone ręce. Dłoń na dłoni. Złączone palce, naśladujące wieżę. Jaka święta moc kryje się w dłoniach?

Nie chcę przez to powiedzieć, że moje myśli w tym momencie należały do pobożnych.

Cofnęłam rękę.

- A więc możemy spokojnie założyć, że twoi rodzice nie przyплыnęli do Hameryki na pokładzie *Mayflower* - Samia miała smykałkę do dowia-

dywania się wszystkiego na temat pochodzenia rozmówcy podczas pierwszych pięciu minut konwersacji. -

- Nie, na pokładzie *Pakistan International Airlines*. Moi rodzice są z Karaczi. Tak samo jak rodzice Aliyi. I pewnie twoi też. Ja tam nigdy nie byłem, ale może wkrótce będę.

- Czy jesteś spokrewniony z Assirą i Yousufem Ass? - stopa Samii wylądowała na mojej, sygnalizując Jest Boski, Ale Okej, Ty Zobaczyłaś Go Pierwsza.

- Assira Ass! Nie sędzę. Nie brzmi znajomo. A szkoda. Ciocia Assira Ass.

Pociąg z wizgiem hamulców zatrzymał się przy Green Park.

- To nasz przystanek? - spytałam.

Samia pokręciła głową.

- A więc gdzie będziesz mieszkał? Jak odwiedzisz Karaczany?

- Z rodziną. Nazywa się to Liaquatabad. Co to za miejsce?

Samia podskoczyła i pociągnęła mnie za sobą.

- Aliya! To nasz przystanek. Przytrzymaj drzwi. Cał, miło było cię...

- i już byliśmy na zewnątrz, patrząc, jak pociąg odjeżdża.

- Nie wierzę... - zamknęłam oczy, a świat łagodnie kołysał się dookoła.

- Przykro mi, Aloo. *Arre*, zaczekaj. Wyminęłam ją i zaczęłam biec, aż wydostałam się z tunelu metra. Wokół mnie śmigały samochody, a po drugiej stronie ulicy, z witryny *Pakistan International Airlines*, uśmiechała się do mnie tekturowa stewardesa. Byłam wykończona podróżą, a dookoła mnie Londyn tętnił życiem. Poczułam dziką ochotę, żeby znowu mieć pięć lat i móc oznajmić, że kładę się na środku ulicy, bo jestem zmęczona. Móc płakać, że chcę wracać do domu, do Mariam Apy. Móc

rozmawiać z każdym, kto wyda mi się miły - niezależnie od tego, skąd pochodzi i gdzie mieszka jego rodzina.

- Posłuchaj - Samia otoczyła mnie ramieniem, co okazało się czułym, choć unieruchamiającym manewrem. - Czy kiedykolwiek, na przykład podczas wycieczek z Sameerem, gdy właśnie nauczył się prowadzić albo gdy robiłaś *chuker maro* po mieście w poszukiwaniu najlepszych kebabów, czy kiedykolwiek, powtarzam, zawędrowałaś do Liaquatabadu? Czy gdybym spytała cię, jak się tam dostać, potrafiłabyś mi pomóc?

- Odejdź.

- Nie ma takiej opcji. Och, *ehmuk*, to Amerykanin. Zielona karta i cała reszta. Jeśli faktycznie planuje wybrać się do Karaczi, już pewnie cała rodzina szykuje mu potencjalne oblubienice.

- Uff! Te stereotypy...

- Co stereotypowego widzisz w tym, że ludzie chcą, aby ich dzieci były nareszcie bezpieczne? Wiesz, jak w Karaczi mówi się o naszej dzielnicy? Disneyland.

-I?

- W Liaquatabadzie mieszka biedota. Biedota, ludzie niższych stanów, a nie MY. Jak jeszcze mogę ci to przybliżyć? Wśród naszych znajomych nie ma nikogo, z kim on mógłby wymienić się numerami telefonów, Aloo.

Nikogo. Muszę ci to powiedzieć, zwłaszcza ze względu na... - odwróciła się. Była zirytowana, a może sfrustrowana.

- Dokończ zdanie.

- Ujmę to inaczej. Po tym, co zdarzyło się cztery lata temu, nikt, nawet ty sama, nigdy nie uwierzy, że mogłabyś coś do niego czuć. Możesz mnie walnąć, *Thaassh! Dhuzh! Dharaml*, jeśli przyniesie ci to ulgę.

Jej życzeniu mogło stać się zadość, gdyby nie jakiś zgarbiony człowiek o kaprawych oczkach, który pociągnął mnie za rękaw.

- Gdybym cierpiał na zaniki pamięci i zobaczył cię, modliłbym się, żebyś okazała się częścią mojego życia.

- Może tak było - powiedziałam. - Może jestem. Łzy podeszły mu do oczu.

- Nasze życia czekają tylko na wspomnienia. To wszystko - pocałował mnie w rękę i odszedł.

Samia przynajmniej trzymała język za zębami. Zaczęła iść ulicą, kilka kroków przede mną, ale tak wsłuchana w moje kroki, że gdy przystanąłam, zdrapując z buta kawałek banana, obejrzała się, żeby sprawdzić, co ze mną. Nie chciałam na nią patrzeć. Jak mogła wyciągnąć mnie w ten sposób z wagonu? Jak mogła? A może mogła? Może nie mogłaby tego zrobić bez mojego przyzwolenia? Może mogła, bo w tym ułamku sekundy między rzuconym przez Khaleela słowem „Liaquatabab” a chwytniem mnie za rękę, zdążyłam już pomyśleć o ucieczce? Gdybym cierpiała na zaniki pamięci, czy zostałabym w tym metrze? To by dopiero było. Uwolnić się od wszelkich zapamiętanych uprzedzeń. Myśleć tylko o danej chwili, o tej chwili i dotyku jego palców.

Doszłam do wniosku, że nasze życia nie czekają na wspomnienia. One są tymi wspomnieniami kaleczone. Och, doskonale wiedziałam, które wspomnienia mnie okaleczyły. Okaleczyły mnie tak, że teraz uciekłam od Khaleela. Chciałam krzyknąć: „Ale ja już zaakceptowałam to, co stało się cztery lata temu!”. Zdekonstruowałam to, przeanalizowałam i odcięłam się od postawy, podyktowanej stuleciami wsobnego snobizmu, jaką przyjęli moi krewni. Czemu moje serce nie potrafi być tak wyzwolone jak mój umysł? Czemu słowo „Liaquatabab” odczułam jak uderzenie pięścią w splot słoneczny?

Może od raniących wspomnień nie ma ucieczki. Myślałam, że tym, co pozwala ruszyć dalej, jest czas. Ale jak mogę w to wierzyć, należąc jednocześnie do mojej rodziny? Jesteśmy chodzącymi ranami. Weźmy krewną, do której właśnie szłyśmy, Baji. Od Podziału minęło pięćdziesiąt lat, a według Samii ona wciąż żywi urazę do tej części rodziny, która przeniosła się z Indii do Pakistanu. Nie byłam w stanie tego pojąć. Jak całe to pokolenie przetrwało tak długo tylko na goryczy wydarzeń roku czterdziestego siódmego? Jedna osoba czy dwie - to jeszcze rozumiem, ale, Boże, nasza rodzina jest ogromna, a mimo to nie podjęto żadnych kroków pojednawczych między jej indyjską a pakistańską częścią.

Razem dorastali: Dadi i Baji, trojaczki i tabuny kuzynów. Byli dla siebie tym, czym dla mnie byli Samia i Sameer, a ja dla nich. Byli dla siebie tym, czym Mariam Apa... O Boże. Jak można przestać tęsknić za ludźmi, których się kochało, jeszcze zanim potrafiło się powiedzieć „kocham”? Gdybym mogła wybierać, czy odziedziczyć tę umiejętność, czy zdecydowałabym się na nią?

Zmień temat, powiedziałam sama do siebie. Pomyśl o powodach, przez które powinnaś przestać złościć się na Samię.

- No więc słuchaj - powiedziała, gdy kilka minut później dogoniłam ją, nabrawszy już całkowitego przekonania, że wyskoczenie z metra w tym momencie było przykre, ale właściwie dobrze się stało, bo oszczędziło mi przyszłych upokorzeń. - Nie mów niczego, co mogłoby sprowadzić rozmowę na tematy związane z Podziałem.

I nawet niech ci przez myśl nie przejdzie, żeby zrobić jakąś aluzję do swoich dziadków. Baji głównie ich obarcza winą za rozłam w rodzinie. A zwłaszcza twoją Dadi. Na najmniejszą wzmiankę o niej zaczyna się wściekać. Nie ważyłam się spytać, dlaczego.

- Więc może wyjaśnisz mi, kim konkretnie jest dla nas ta cała Baji.

- Nasze babcie są jej dalekimi kuzynkami.

- Ulżyło mi. To najmniej skomplikowane wyjaśnienie, jakie w życiu słyszałam.

- Rzecz jasna nie skończyłam. Twój dziadek, Akbar...

- Wiem, jak nazywał się mój dziadek, dzięki.

- Przymknij się. Pamiętaj, że to nie Ameryka, więc przy przechodzeniu przez ulicę musisz najpierw spojrzeć w prawo, nie w lewo. Akbar i Baji, tak naprawdę nazywa się Farahnaz, ale wszyscy mówią na nią Baji, byli kuzy- nami. Ojciec Akbara...

- Ten od jaków.

- Tak, ten od jaków, miał przyrodniego brata, imieniem Abdul. Baji jest właśnie córką Abdula.

- Coś jeszcze?

- Jej matka miała wyjątkowo ponętne łokcie.

-Aha.

Obecność „ludzi bez rodziny” w naszym drzewie genealogicznym zawsze wyjaśniało się w następujący sposób. Szła sobie ona, szedł sobie

ón. Ona miała ponętne łokcie. Dziewięć miesięcy później urodziło się ono. Wiele nasłuchałam się o kobietach, które weszły do rodziny, rozpychając się swymi ponętymi łokciami, ale pierwszy raz miałam poznać potomkinię jednej z nich.

(Przy okazji, matka Taj nie miała ponętnych łokci. Może właśnie dlatego, w przeciwieństwie do pozostałych kobiet niskiego stanu, nie wyszła za ojca swojego dziecka i nie zajęła miejsca w *zenanie*, gdzie inne kobiety knuły, spiskowały, zawierały sojusze, wyklócały się o względy, żartowały, zaprzyjaźniały się ze sobą, plotkowały o mężczyznach, droczyły się z eunuchami i miewały ze sobą namiętne romanse. Ten ostatni punkt nie należał do ustnej historii mojej rodziny, ale Samia orzekła kiedyś, że absurdem byłoby nie brać tego pod uwagę, a reakcja Dadi - dezaprobata, a nie zaprzeczenie - przekonały Sameera i mnie, że Samia miała chyba nosa).

Samia stanęła przed jakimś blokiem i zadzwoniła do mieszkania numer 8. Zanim któryś z mieszkańców zdążył zareagować, wpuścił nas odźwierny i wskazał nam drogę do windy.

- Jest wielkości mojego pokoju w internacie - zauważyłam, wchodząc do windy. Dopiero wtedy, słysząc swój głos, zdałam sobie sprawę, jak bardzo się denerwuję. Padłam na pluszową wykładzinę i zamknęłam oczy. Winda, mrużąc potakująco, pomknęła w górę.

- Wstawaj.

Drzwi rozsunęły się. Chwyciłam dłoń Samii i dźwignęłam się do góry. Kuzynka strzepnęła z mojej bluzki psikłaki, poprawiła kołnierzyk, podszczypała policzki, żeby nabrały rumieńców, i odgarnęła mi włosy z twarzy.

- Powinno jej się spodobać - zapewniła i nacisnęła na klamkę mieszkania numer 8.

Stało się inaczej.

TLR

Rozdział piąty

Ty!

Zabrzmiało to jak zarzut. Zamrugałam oczami, żeby rozproszyć ciemności przedpokoju otwierającego się na bawialnię szczelnie wypełnioną meblami, obrazami i książkami, ale w moim polu widzenia wciąż nie było nikogo.

- Ty! - rozległo się ponownie. Tym razem dostrzegłam na kanapie małą kobiecinkę, otoczoną stertą materiału. Czy był to faktycznie materiał, czy jacyś inni małe ludzie? Samia zgrabnie pokonała labirynt stołów, podeszła do niej i wykonała ukłon *aadaab*, po czym schyliła się i pocałowała ją w pomarszczony policzek.

- Baji, dość już tych władczych póz. Przestraszysz ją. Stinky! Smelly!

Otworzyły się drzwi i do pokoju wpadło dwoje dzieci. Porwały z kanapy zwoje materiału, włączyły światło i zniknęły w czeluściach pokoju, z którego chwilę wcześniej przybiegły. Zanim przybrałam odpowiednią pozycję do wykonania ukłonu, udało mi się potknąć o dwa stoły. Baji nie odpowiedziała na mój *aadaab* zwyczajowym „*jeeti raho*”, więc jej nie pocałowałam. Niezależnie od jej stosunku do moich dziadków, nie powinna była odmawiać mi życzeń dalszego życia. Maniery przede wszystkim. *Qaida. Saleeqa*. Czy nikt jej tego nie wpoił? To za sprawą

genów ponętnych łokci, pomyślałam. Samia właśnie usiadła. Ja czekałam, aż mi się to zaproponuje.

- Miej wzgląd na swoje nogi - powiedziała Baji. Gdyby nie to, że w czasie całego lotu z Bostonu do Londynu udało mi się zmrużyć oka, czekałabym na bardziej uprzejmą propozycję. Byłam wykończona, więc padłam na fotel.

- A jak się miewa twoja dadi? - spytała.

Spojrzałam na Samię, która właśnie zajęta była przesuwaniem scyzoryka, tak żeby Baji nie mogła po niego sięgnąć. Od razu poczułam się bezpieczniej.

- O, jak to Dadi - zaczęłam wymijająco machać rękami. – Sama wiesz.

- Nie, nie wiem. Nie widziałyśmy się od czasu Podziału.

- A, tak, Podziału - zaczęłam zastanawiać się, co byłoby w stanie uratować tę konwersację. Chyba nawet nagie odtańczenie bhangry nic by tu nie pomogło. – Do słowa Podział trudno znaleźć interesujący rym. Chciałam raz napisać na zajęcia *ghazal* po angielsku. Z rymem do „Podział”. Podział. Oddział. Przydział. Brzmi jak durna wojskowa przyśpiewka, a rymy żeńskie też nie pomagają. Obstrzał. Morał. Potencjał. Puginał.

- Niewypał - dodała Baji.

- Regał - powiedziała Samia, ratując sytuację.

Baji oparła się o poduszki kanapy i uśmiechnęła się do mnie, bynajmniej nie po przyjacielsku.

- Ze względu na Samię nic już w tym temacie nie powiem. Jednak jeśli napiszesz kiedyś ten wiersz o Podziale, koniecznie musi to być lament.

- *Ghazal* - powtórzyłam nieugięcie. - To miał być *ghazal*. Uwielbiam *ghazale*. Między innymi za to, że w każdym kolejnym dystychu mogą

pobrzmiwać inne tony. Czyż tak właśnie nie jest? To, co dla jednego jest lamentem, dla kogoś innego może być elegią. – Masood powiedział mi kiedyś, że jego babka przemierzyła pieszo ponad sto mil, żeby w 1947 dotrzeć do Pakistanu. Gdy przybyła do swojej nowej ojczyzny, padła na kolana. Tak długo całowała ziemię, że pakistański pył na stałe wniknął jej do gardła i do końca życia każdy jej głębszy oddech kończył się kaszlem. Lata później, gdy jakiś lekarz zaproponował, że wyleczy ją z tego kaszlu, zagroziła, że połamie mu nogi. Kim była Baji, że mogła bezkarnie sugerować, iż w wierszu nie warto sławić historii matki Masooda?

- Mój brat zginął w czasie zamieszek tuż po Podziale. Twoi dziadkowie i cała reszta tych Dard-e-Dilów, którzy postawili na Pakistan, już zdążyli wyjechać i byli w Karaczi, więc mój brat zginął za nich.

- Za nich?

- W imię tego, w co oni wierzyli.

Zmyślała. Byłam o tym przekonana. Żaden z Dard-e-Dilów nie zginął w Popodziałowych zamieszkach. Wszyscy bezpiecznie dotarli do Pakistanu pierwszą klasą, ze zbrojną eskortą, drogą lądową albo powietrzną. Ci, którzy zostali w Dard-e-Dil, zamieszkałym głównie przez ludność muzułmańską, zabarykadowali się w pałacu i dopóki najgorsze nie minęło, nie wyściubiali zeń nosa.

- Był moim bratem przyrodnim - podjęła cicho Baji. - Mieliśmy różnych ojców. Prawie z nim nie rozmawiałam. Bo widzisz, nie należał do rodziny panującej. Był za mało królewski, więc mógł spokojnie paść ofiarą czegoś tak pospolitego jak zamieszki.

Dlaczego okna nie były otwarte? Nie mogłam złapać tchu.

Zadzwoił dzwonek i nawet Baji zdawała się zadowolona, że nam przerwano. Stinky, a może Smelly, śmignął ze swojego pokoju do ba-

wialni. Przeskoczył przez jeden stolik, pod drugim się przeczołgał, nad trzecim wywinął koziółka i otworzył drzwi wejściowe. Zanim osoba, która dzwoniła, zdążyła wejść, on zdołał już przeskoczyć, przeczołgać się i przekoziółkować z powrotem.

- Rehana Apa! - Samia ucałowała nowo przybyłą, młodszą wersję Baji, tyle że z włosami do pasa. Jej łokcie były zwyczajne.

- Moja wnuczka - wyjaśniła Baji. A do Rehany rzuciła: - To jest Aliya. - Rehana Apa uśmiechnęła się promiennie i objęła mnie.

- Te kuzynowskie czułości mogą zaczekać - stwierdziła Baji. - Rehana, może byś ją tak przyniosła.

Ja? Herbatę?

- Mogę pomóc? - zaoferowałam.

- Nie, sądząc po tym, co było kiedyś - brzmiała odpowiedź Baji.

Samia zdawała się tak samo zaintrygowana jak ja. Usiadłyśmy z powrotem w fotelach. Rehana Apa wyszła z pokoju, a Samia podjęła z Baji dyskusję o tym, jak trudno znaleźć w Londynie pralnię chemiczną, której można by powierzyć sari. Ja natomiast usiłowałam rozgryźć swoją niechęć do kobiety, którą pierwszy raz widziałam na oczy. Czy moja niechęć brała się stąd, że Baji nie przywitała mnie z otwartymi ramionami? Przecież zazwyczaj na oziębłość reagowałam wzruszeniem ramion. Dlaczego więc tak się tym przejęłam? Nie wiedziałam o niej nic. Jeśli nie liczyć kwestii łokci oczywiście, choć o to nie mogło chodzić. Wszak do jej wnuczki nie żywiłam żadnych wrogich uczuć. O Rehanie myślałam wyłącznie ciepło. Więc cóż jeszcze? Baji jest skłonna wściec się na wzmiankę o mojej babci. Już samo to powinno zbliżyć nas do siebie. W ciągu ostatnich kilku lat i ja często wściekałam się na Dadi.

Myśląc o tym, przypomniałam sobie wyjaśnienie Samii, że Baji wini Dadi za rozpad rodziny po Podziale i aż krew zalała mnie z wściekłości. Jak ona śmie? „Razem dorastałyśmy” - krzyknęła Dadi, gdy ominęła ją okazja zobaczenia się z tajemniczą Prufrockową krewniaczką z Indii. Popłakała się. Osunęła się na marmurową posadzkę... Moja Dadi siedziała na tej twardej, zimnej podłodze, a ja, choć byłam tylko dzieckiem, wiedziałam, że łzy, które roni, są stare, bardzo stare.

Poczułam, że teraz ja mam łzy w oczach. Żeby je odegnąć, zaczęłam zerkać na oprawione zdjęcia, w ilościach hurtowych porozstawiane na stolikach i porozwieszane na ścianach. Znakomitą większość stanowiły czarno-białe zdjęcia, poprzetykane gdzieniegdzie sepią. Znalazło się też kilka kolorowych. Baji cały czas rozmawiała z Samią, ale gdy pochwyciła moje spojrzenie, gestem wyciągniętej ręki wskazała jedną z fotografii na ścianie. Wstałam i podeszłam bliżej.

Tło stanowił pałac Dard-e-Dil. Od razu go rozpoznałam. Przedstawiające go zdjęcia i obrazy wisiały też w mieszkaniu Dadi w Karaczi. Wiedziałam, że to konkretne ujęcie mogło powstać tylko wtedy, gdy fotograf oparł się o marmurowy posąg Nur-uhJahana, założyciela dynastii Dard-e-Dil. Za plecami osób, które pozowały do zdjęcia, widać było łukowate wejście na werandę, z której wchodziło się do części pałacu zamieszkałej przez najbliższą rodzinę Dadi. Jej ojciec, choć spokrewniony z rodziną królewską tylko przez małżeństwo, posiadał cenną umiejętność rozśmieszania Nababa, był więc na dworze niezastąpiony. Oficjalnie nosił tytuł ministra. Wydaje mi się raczej, że pełnił funkcje nadwornego błazna. Mój drugi pradziadek, niegdyś dworzanin, późniejszy entuzjasta jaków, był nieco bardziej niezależny (albo nieco mniej popularny na dworze) i nie mieszkał w pałacu. Nie był jednak na tyle niezależny czy

niepopularny, żeby mieszkać daleko za murami. Gdyby fotograf przesunął aparat o jakieś trzydzieści stopni w górę, zobaczylibyśmy miejsce na dachu pałacu, z którego przez prześwit między drzewami widać było dom, gdzie facet od jaków wychowywał wraz z żoną trojaczki. (Dadi zawsze używa w tym kontekście słowa „dom”. Tyle że w skład tego „domu” wchodziły między innymi stajnie, meczet i sady owocowe).

Jednak to nie tło tej fotografii zwróciło moją uwagę - podziwiając *Mona Lisę*, nie przywiązuje się wagi do ramy. Całą swoją uwagę skupiłam na pozujących do zdjęcia trzech chłopakach i dziewczynie. W pierwszej chwili uzmysłowiłam sobie, że nigdy wcześniej nie widziałam wspólnego ujęcia wszystkich trzech braci.

Obejmowali się, stali tak blisko siebie, że równie dobrze mogliby być trojaczkami syjamskimi, ubranymi w *sherwanis*. Ich ciemne szyje kontrastowały z białymi kołnierzykami. Mieli też identyczne przedziałki oraz zaczesane do tyłu, wypomadowane włosy. Abida, która na tej fotografii wyglądała tak młodo, że nie potrafiłam myśleć o niej jako o Dadi, stała z przodu. Trudno było ocenić, czy opiera się o pierś środkowego ze swoich kuzynów, czy nie. Ze zdziwieniem spostrzegłam, że uśmiech goszczący na jej twarzy nie jest uśmiechem Dadi. Patrząc na tę nastoletnią dziewczynę, przysuwającą się do nieprawdopodobnie pięknego chłopca, po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, o co chodzi w wyrażeniu „tryskała szczęściem”.

- Jak widzisz, mam na ścianie fotografię jej i twojego dziadka - oznajmiła Baji. - Mimo tego, co mówiłam wcześniej. Nie myśl, że żywię w stosunku do nich jednoznaczne uczucia. Nie myśl, że jestem zwykłą, zgorzkniałą staruchą.

- Baji - powiedziała Samia. - Proszę cię.

- To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. Chodź tu i usiądź, Aliyo. - Baji wskazała poduszkę leżącą koło niej na podłodze. Nie widziałam, kiedy Rehana wróciła do pokoju, ale właśnie pomagała Samii przysunąć ławę bliżej w stronę Baji, a pod pachą trzymała rulon papieru.

- Chciałabym oficjalnie wyrazić swoją dezaprobatę dla tego, co ma nastąpić - oświadczyła Rehana.

- Tak, tak, słyszałyśmy. A teraz rozłóż ją – nakazała Baji, po czym zwróciła się do mnie: - Oczywiście wiesz o Babujim? - Machnięciem ręki nakazała Rehanie podać mi jedną z filiżanek z herbatą, które nie wiedzieć kiedy pojawiły się w pokoju na stoliku na kółkach.

Skinęłam głową, dziękując Rehanie. Potem kiwnęłam nią jeszcze raz, na znak, że wiem, o kim Baji mówi. Babuji zajmował się drzewem genealogicznym Dard-e-Dilów, podobnie jak przed nim jego ojciec, a jeszcze wcześniej dziadek. Mówiło się (żaden z moich pakistańskich krewnych nie przyznawał się do bycia autorem tej opowieści, bo to oznaczałoby, że był w kontakcie z indyjską częścią rodziny), że Podział i będące jego skutkiem migracje w żaden sposób nie wpłynęły na skrupulatność, z jaką ród Babujiego nanosił na drzewo wszelkie informacje o narodzinach i śmierci kolejnych Dard-e-Dilów po obu stronach problematycznej granicy.

- To kopia, skrócona kopia drzewa genealogicznego, sporządzonego przez Babujiego - wyjaśniła Rehana, rozkładając i rozwijając płachtę na ławie.

To była skrócona kopia? Ława miała ze cztery stopy na cztery, a wywijające się brzegi płachty z trzech stoławy zwieszały się na podłogę. Do sporządzenia drzewa zastosowano skomplikowany system kolorów. Były tu wszystkie możliwe odcienie fioletu, zieleni, żółci, czerwieni i

błękitu. Wyglądało na to, że bezpośredni, patrylinearni potomkowie pierwszego Nababa zaznaczeni byli na fioletowo. Nie wiedziałam, co miały oznaczać pozostałe kolory. Być może odległość dzielącą danego członka rodziny od bezpośredniego potomka w linii męskiej. Tak, faktycznie. Pokolenie moich dziadków wisiało tuż pod brzegiem ławy, ale dostrzegłam wpisane na niebiesko imię Dadi. Jej matka była czerwona. Trzeba było cofnąć się o całe pokolenie, żeby wysledzić fioletową babkę Dadi.

Na pewno Dadi jest wściekła, że ona sama jest zaledwie niebieska! Pewne pocieszenie stanowił fakt, że małżeństwo z Akbarem umożliwiło Dadi posiadanie fioletowych dzieci. Pokolenia Samii i mojego nie było widać, ale wcale nie musiałam na nie patrzeć, żeby wiedzieć, iż gałąź Samii nie była fioletowa od czasów jej praprababki. Ja byłam fioletowa, ale moje dzieci będą chyba czerwone. O ile nie poślubię jakiegoś fioletowego. Zastanowiło mnie, czy jeśli poślubię nie-fioletowego Dard-e-Dila, moje dzieci będą czerwone? A może w takim przypadku stosuje się odcień cynobrowy? I jakie to w ogóle ma znaczenie?

- Czy to jest to, co myślę? - Samia wskazała na dwoje imion gdzieś pośrodku drzewa, zaznaczonych parą czarnych gwiazdek. Teraz i ja zaczęłam dostrzegać pary imion z gwiazdkami, porozrzucane po całej plan-szy. Imion tak znajomych, że odpowiedź na pytanie Samii okazała się zbędna. Nie-całkiem-bliźnięta. Jako dziecko wypisałam sobie te imiona bezpośrednio na skórze, po jakiejś gorącej kąpieli. Wszystkimi porami chłonełam tę legendę, owijającą się wokół moich kończyn jak serpentyna.

- To jest najsmutniejsza ze wszystkich opowieści o bliźniętach - Rehana przesunęła paznokciem pod imionami Inamuddin i Masooma, oznaczonymi przy pomocy gwiazdek.

Baji westchnęła i położyła mi dłoń na ramieniu:

- Jesteśmy, kim jesteśmy.

Baji przynajmniej w jednym przypomniała Dadi potrafiła mówić banały w taki sposób, że brzmiały jak objawienia.

- A może uważam tak tylko dlatego, że jestem architektem - dodała Rehana.

Inamuddin i Masooma byli bliźniętami urodzonymi po dwóch stronach północy, prawie trzysta lat przed numerem, jaki wywinał Akbar ze swoimi braćmi. Wuj bliźniąt, Nabab Hamiduzzaman, świadomy istnienia klątwy nie-całkiem-bliźniąt, rozkazał nadwornemu lekarzowi otruć niemowlęta i oznajmić, że zmarły śmiercią naturalną. Ktoś powinien był opowiedzieć staremu Hamowi historię Edypa lub Lady Makbet, albowiem po dokonaniu tego czynu nie zaznał już spokoju. Nie mógł spać, modlić się. Nie mógł wypłukać z ust posmaku trucizny. Aż pewnego dnia zjawił się na dworze wędrowiec o stopach zakurzonych pyłem dalekich dróg i oczach lśniących blaskiem niewypowiedzianych przepowiedni. Na widok tych oczu Nabab z miejsca udzielił mu audiencji. Wędrowiec zbliżył usta do ucha władcy i zdradził mu sposób na uzyskanie odkupienia. Oto, co usłyszał Ham: Zrównaj z ziemią mauzoleum, które właśnie zaczęłaś budować dla kości swoich przodków, potomków i tych, co pomiędzy nimi. Uczyń z tego miejsca sanktuarium dla pielgrzymów ze wszystkich krańców świata.

Zastanawiacie się, co dalej? I w jaki sposób ta wieszczba sprowadziła nieszczęście na nasz ród? Pomyślcie o Mogołach. Pomyślcie o symbolu ich potęgi i chwały, a jeśli macie choć trochę oleju w głowie, od razu przyjdzie wam na myśl Tadź Mahal. Chodzi o to, że szach Tahan odkupił - w tajemnicy i za ciężkie pieniądze - plany zburzonego mauzoleum od

strażnika archiwów Dard-e-Dilów. Jediną rzeczą, którą zmienił podczas kopiowania planów dla wykonawcy robót była nazwa. Możecie się śmiać, ale my wiemy, że Tadż Mahal powinien naprawdę nazywać się Dii Mahal. Inne nie-całkiem-bliźnięta pozbawiły Dard-e-Dilów bogactw, władzy, wolności i jedności, a Masooma i Inamuddin sprawili, że nasz ród nie przeszedł do historii. I, na Boga, zasłużyliśmy sobie na to.

Kiedy? - spytacie. Kiedy do tego doszło? Jestem zatem zmuszona przyznać, że działo się to u szczytu potęgi Mogołów, gdy Dard-e-Dil nie był jeszcze królestwem, tylko częścią Imperium Mogołów, a Nabab Hamiduzzaman nie był wcale Nababem. Tytuł ten przyznali mu pośmiertnie późniejsi Nababowie, którzy nastali w czasach, gdy uniezależniliśmy się od Mogołów. Więc tak naprawdę stary Ham był jedynie potomkiem niegdyś potężnego rodu, który miał tyle rozumu, że potrafił się od razu przypodobać Mogołom i otrzymał w zamian stanowisko *subehdara*, głównego zarządcy prowincji, które wcześniej prawdopodobnie - a później z całą pewnością - składały się na królestwo Dard-e-Dil. Stanowisko to nie było dziedziczne. Czasami byliśmy wysyłani na rubieże Imperium, bo zgodnie z mogolską polityką zarządca cały czas powinien być w drodze, ale zawsze udawało nam się obejść te zasady i wrócić na swoje. Dlaczego Mogołowie nie widzieli w nas zagrożenia? Może dlatego, że uważali nas jedynie za pozornie nieskutecznych pochlebców - dość kompetentnych w roli zarządców, a przy tym uniżonych? Może też dlatego, że Mogołowie nam ufali, podziwiali nas, uznawali nas za kuzynów z linii Timurydów? Jednocześnie wiedzieli, że kilka lat spędzonych z dala od Dard-e-Dil wystarczało, aby przypomnieć kuzynom, iż ich władza i autorytet całkowicie zależy od łask Mogołów. Przez cały szesnasty i sie-

demnasty wiek ich plan odnosił pozytywne efekty. Ale rola ubogiego krewnego nie przypadła do gustu Hamiduzzamanowi.

Moim zdaniem doszła tu do głosu desperacka chęć bycia suwerenem oraz świadomość własnej bezsilności wobec władcy. Oba impulsy popchnęły go do szalonego czynu, jakim było dzieciobójstwo. Widział, że era rządów Wielkiego Mogoła, Akbara, ma się ku końcowi i wyczuwał w tym szansę na wyrwanie się spod rządów Mogołów. Gotów był usuwać wszelkie przeszkody stojące na drodze do świetlanej przyszłości Dard-e-Dilów, nawet jeśli jedną z tych przeszkód stanowiła para kwilących noworodków.

- Taj - odezwała się Baji, wrywając mnie z tych rozważań. W pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że myśli o architektonicznym cudzie szacha Jahana. Ale nie.

- Taj, akuszerka - powtórzyła, wodząc starannie umalowanym paznokciem wokół imienia Nababa, który zabił tygrysa gołymi rękami - z głową pełną rodzinnych opowieści, nie miała powodu, dla którego mogłaby kochać te jakże prawowite dzieci, którym pomagała przyjść na świat. Skąd możemy wiedzieć, czy nie skłamała, nie zmyśliła... No dobrze, wyrażę się jasno. Skąd wiadomo, że Akbar, Taimur i Sulaiman nie urodzili się jednego dnia, tuż przed północą albo tuż po niej?

- Bo ich matka...

- Sarnio, daj spokój. Ja rodziłam w epoce sprzed tych superśrodków przeciwbólowych i znieczuleń zewnątrzoponowych, Rehano, gdybyś sama przez to przeszła, nie śmiałybyś się teraz, i uwierzyłabym we wszystko, tak, we wszystko, co ktoś później powiedziałby mi o biciu czy niebiciu zegara - uśmiechnęła się, jakby nagle przyszło jej do głowy coś, co sprawiło jej ogromną przyjemność. - Może Taj sama zastanawiała się,

czy trojaczki należy zaliczyć do nie-całkiem-bliźniąt. A potem spojrzała na zegar i pomyślała: „Dlaczego nie? Niech w to uwierzą. To będzie moja zemsta za to, jak potraktowali moją matkę i mnie”.

Pomyślałam, uwierzcie mi, o mojej wcześniejszej rozmowie z Samią na temat Taj. Pomyślałam, że nie jestem pierwszą kobietą w rodzinie, której rola Taj w tej opowieści nie daje spokoju. Powiedziałam więc:

- Cóż, rozumiem, dlaczego Taj jest ci bliska.

Nie wiem, czy to za sprawą atmosfery w pokoju, towarzystwa czy może kąta pochylenia głowy, dość powiedzieć, że jak tylko słowa te wydobyły się z moich ust, coś sprawiło, że zabrzmiały nie tak, jak chciałam. Kątem oka dostrzegłam, jak Samia kręci głowę, a Rehana odwraca twarz, ale Baji tylko roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu i ukazując wszystkie dziury w zębach.

- O, widzę w tobie Abidę. Widzę ją tak wyraźnie. Ty i ta twoja nieskalana krew. Spójrz...

Pochyliła się gwałtownie, żeby podnieść z podłogi zwinięty fragment drzewa i rozwinęła go na moich kolanach.

- Tu masz parę nie-całek, o której nie wiesz.

Gwiazdka obok imienia Mariam Apy.

Przerywana, ukośna linia łącząca je z innym imieniem z gwiazdką.
Moim.

Rozdział szósty

Pierwsze zdanie opowieści o Mariam przygotowałam sobie już dawno temu: *Przez wszystkie lata na pobytu w naszym domu kuzynka Mariam odzywała się tylko wtedy, gdy musiała zadysponować posiłek.*

Kolejne zdanie miało kilka wersji, zależnych od nastroju, w jakim akurat się znajdowałam. Zazwyczaj brzmiało tak: *Właściwie była raczeł) moją ciotką, a nie kuzynką, ale zawsze wołałam na nią „Apa”.* Gdy miałam ochotę na coś bardziej wymyślnego, mówiłam: *To dzięki niej poznałam fakturę, tembr, a czasem nawet smak ciszy.*

Gdy zobaczyłam u Baji te gwiazdki, w pierwszej chwili pomyślałam, że ten wstęp trzeba będzie zmienić.

Opowieść o Mariam musi zaczynać się od klątwy nie- całkiem - bliźniat.

Powinłam była pomyśleć: „Jak to możliwe? A chro- nologia, a nauka, a moje życie? Jak?”, ale rozproszyła mnie Rehana Apa, która właśnie wstała i ruszyła w moim kierunku.

Zdecydowanym ruchem wyciągnęła mnie z fotela i zwróciła się do Baji:

- Pamiętasz Hamleta? Idziemy z Aliją coś zjeść. Samia, ty zostań i zajmij się moją babcią. Zaraz zaczniesz zżerać ją sumienie - odwróciła się do mnie. – Dokąd pójdziemy?

„Hamleta?” - pomyślałam i odparłam:

- Gdzieś, gdzie mają pączki.

- A więc na Piccadilly Circus - zdecydowała.

W czasie drogi pozwoliła mi milczeć. Pewnie uznała, że rozmyślałam o gwiazdce przy moim imieniu. Ale ja myślałam o Ameryce. Dni do niedawna spędzane w collegeu pozostawiły w mojej głowie puste miejsca. Miejsca bez trajkotu mowy, miejsca bez faktury ciszy. Byłam tam obca, obojętna na wszystko, co się wokół działo. Mogłam całkowicie poświęcić się wieściom dochodzącym z domu i przejmować się każdą drobną niesprawiedliwością w nich zawartą.

- Właściwie nie mam ochoty na pączka - stwierdziłam. Przybrałam najbardziej akademicki ton, na jaki było mnie stać. - Słowo „pączek” jest znakiem, wizualny obraz pączka jest formą oznaczającą, a treścią oznaczaną jest nostalgia za innym życiem - machnęłam ręką. - Mogłybyśmy zamiast tego usiąść pod jakimś drzewem?

Rehana Apa oświadczyła, że zna wspaniałe drzewo. Faktycznie takie było. Cienisty buk w Green Parku, albo może wiąz, czy też dąb. Nie znam się na drzewach, ale czytałam wystarczająco dużo książek, których akcja toczy się w Anglii, żeby wiedzieć, iż żadne inne drzewa tu nie rosną.

- Co Baji miała pamiętać o Hamlecie? - usiadłam, nie zważając na wilgoć.

Rehana Apa dotknęła palcami trawy. Przekonała się, że trawa była mokra, wytarła rękę w chusteczkę i usiadła.

- Gdy Poloniusz mówi, że będzie traktował aktorów tak, jak na to zasługują, a Hamlet odpowiada: „Obejdź się z nimi tak, jak ci dyktuje własny honor i godność. Im mniej zasługują na twoją hojność, tym więcej będzie warta, gdy ją okażesz”⁵.

⁵ William Shakespeare, *Hamlet*, akt 2, scena 2, przeł. Stanisław Barańczak, Wydawnictwo Znak,

- Cóż za jaśniepańska uwaga - oświadczyłam. – Na zniewagi odpowiadaj szlachetnością, a twój rozmówca wyjdzie na buraka.

Rehana Apa pokręciła głową.

- Kocham Hamleta w tej scenie. Ona uzmysławia, że jeszcze smutniejsze jest to, do czego Hamlet jest później zmuszony.

Oparłam się o pień drzewa i starałam się nie gapić na Rehanę. Moja kuzynka. Musiała być ode mnie starsza o dobre dwanaście lat, ale teraz wcale nie wydawało się to dużą różnicą wieku. Właśnie rozmawialiśmy sobie o Hamlecie. Tyle było innych tematów, a my rozmawialiśmy o Hamlecie.

- Te dzieciaki u Baji. Twoje?

- Stinky i Smelly? - zaśmiała się. - Tak. Gdy urodził się starszy, Baji stwierdziła, że ma oczy zupełnie jak stary Nabab Binky. Więc spytałam go: „Chcesz się nazywać Binky?”. Na to on chwycił się rączką za nos i zmarszczył buzię, a mój mąż powiedział: „Mówi, że Stinky, a nie Binky”⁶. I tak już zostało, jak to zwykle z przydomkami bywa. Następne dziecko nie miało już szans.

- A naprawdę nazywają się...

- Omar i Aliya.

- -Serio?

Aliya?

Kiwnęła głową.

- Samia mówi, że w pakistańskiej części rodziny jest jakiś Stinker.

- Tak. A jego brat ma na imię Pongo. Dziwne, prawda? Nasze imiona pokrywają się, mimo całkowitego braku kontaktu między obiema stronami. W jaki sposób Samia skontaktowała się z tobą?

- Poznałyśmy się na wystawie „Skarby indyjskich ksiąg”. Obie krążyłyśmy wokół gabloty zawierającej miecz, którym nasz przeświecny przodek, Nur-ul-Jahan, walczył w bitwie pod Surkh Khait. Od słowa do słowa, po jakichś siedmiu sekundach doszłyśmy do tego, że jesteśmy spokrewnione. Czy sądzisz, że wasi – nasi krewni z Pakistanu będą mieli jej za złe zadawanie się z wrogiem?

- Nie. No, może jedna czy dwie osoby. Myślę, że po prostu przeważa ciekawość, jak się wam wszystkim wiedzie. A krewni z Indii? - Nagle zdałam sobie sprawę, że moja kuzynka nawet nie kibicuje tej samej drużynie krykietowej co ja. Nigdy nie przeżyjemy wspólnie radości ze zwycięstwa czy rozpaczy po przegranej, których tak często doświadczałam z Samią, Sameerem i wieloma innymi kuzynami, gdy siedzieliśmy razem przed telewizorem i nawzajem wbijaliśmy sobie paznokcie w ręce, w oczekiwaniu na wynik meczu jednodniowego.

- Pewnie zareagują tak samo. Z wyjątkiem, jak powiedziałaś, jednej czy dwóch osób - wyjęła mi z włosów zaplątaną gałązkę. - Poza tym, prawie wszyscy, którzy zostali w Dard-e-Dil, uczestniczą ze swoimi najbliższymi krewnymi w jakimś sporze o majątek, więc normę rodzinnych animozji wyrabiamy po jednej stronie granicy. A tak między nami, ja uważam, że Pakistan to był poważny błąd.

- Tak między nami, ja tak nie uważam. Cieszę się, że tę część rozmowy mamy już za sobą.

Roześmiała się i klepnęła mnie w rękę. Na chwilę zaległa cisza. Znow zaczęłam myśleć o nim. O Khaleelu.

Usiłowałam wyobrazić go sobie w Liaquatabadzie, ale nie miałam pojęcia, jak Liaquatabab wygląda. Oczywiście wyobraźni ujrzałam zatłoczone sklepiki, popękane rury kanalizacyjne i ciasne mieszkania z balkonami, na których suszy się pranie. Wszystko zapaskudzone przez wrony. Nie wiedziałam, czy miejsce to widziałam kiedyś na jawie, czy w koszmarach o Mariam Apy.

Spojrzałam na łokcie Rehany Apy i uświadomiłam sobie, że kłamstwem byłoby twierdzić, iż myśl o Liaquatabadzie jest mi wstrętna tylko i wyłącznie ze względu na wspomnienia, które mnie okaleczyły. Po prostu urodziłam się i dorastałam w świecie, któremu takie widoki były wstrętne. Byłabym wstrząśnięta, gdyby Rehana Apa przyznała się teraz do kontaktów z rodziną matki Baji.

Zacząłabym się zastanawiać, o czym ona z nimi rozmawia i jak może znieść myśl, że wywodzi się zarówno z Dard-e-Dilów, jak i z parweniuszy. Choć z drugiej strony, w ciągu ostatnich kilku pokoleń ich status mógł się polepszyć. Mogli być tak samo wytworni i dobrze wychowani jak Rehana i ja.

Rehana Apa zauważyła prawdopodobnie, że marszczę coraz bardziej czoło, bo położyła mi dłoń na ramieniu i oświadczyła:

- Jeśli dobrze rozumiem, Mariam jest od ciebie starsza. Jest starsza nawet ode mnie. Chcę przez to powiedzieć, że ten pomysł, jakobyście były bliźniaczkami, jest absurdalny. Babuji nie powie, dlaczego tak to oznaczył, ale to, że podobno nigdy się nie myli, nie oznacza jeszcze, że ma rację w tym konkretnym przypadku.

Więc opowiedziałam jej historię o jednoczesnym pojawieniu się Mariam Apy i moim.

Zaczął się to od listu, który, podobnie jak list Taimura, miał zamazany znaczek. List zaadresowany był do Sahibzady Nassera Alego Khana, a moja mama była wtedy na tyle nowa w rodzinie, że ta pompa bardzo ją rozbawiła. List, który mama wciąż przechowuje, brzmiał tak:

„Huzoor! Aadaab!

Mam nadzieję, że masz się dobrze i mam też nadzieję, że tę samą nadzieję żywisz o mnie. Piszę do ciebie, bo jest tu młoda kobieta, Mariam, która do niedawna nie miała tylko matki, ale od ostatniego miesiąca jest sierotą. Jej świętej pamięci ojcem był Sahibzada Taimur Ali Khan, którego imię znasz na pewno, a może nawet twarz, o ile masz stare zdjęcia. Ale nawet jeśli nie, jego twarz jest twarzą twego ojca. Zatem poznasz Mariam, bo widać w niej podobieństwo. Mariam wybiera się do ciebie w odwiedziny, a ja tak bardzo ją lubię, że proszę, zajmij się nią. Jeśli tego nie zrobisz, ona może tu wrócić, co mnie bardzo uszczęśliwi, ale nie chcę, żeby była smutna. Zatem proszę, zajmij się nią. Poza tym, jak jej tu nie ma, mogę marzyć, a jak jest, mogę tylko czekać na coś, co nie zdarzy się nigdy!"

Gdy tylko rodzice skończyli czytać ten list, ktoś zadzwonił do drzwi - zupełnie jak w filmie. Dźwięk dzwonka tak zaskoczył moją mamę, że - znowu w hollywoodzkim stylu - poliała list herbatą, rozmazując podpis, który moi rodzice widzieli w czasie czytania, ale później nie mogli go już sobie przypomnieć. Dziwaczny szyk zdań i styl przekonał ich, że autorem nie mógł być nikt ze znajomych.

A więc zadzwonił dzwonek. Mój tata, pewny, że reguły rządzące Hollywood jego nie dotyczą, zrobił marsową minę na widok plamy po herbacie. Powiedział, że to pewnie stróż nocny przyszedł po swoją miesięczną pensję. (Pensja stróża była i wciąż jest głodowa. Ile jednak można płacić komuś, kogo cała robota polega na jeżdżeniu po okolicy na rowerze i dmuchaniu w gwizdek, wydający wysoki, upiorny dźwięk, aż ciarki przechodzą człowiekowi po plecach).

Na tym etapie mojej opowieści Rehana przerwała mi, żeby zapytać, jakie jest moje zdanie o kinematografii Pakistanu. Musiałam wyznać, że nigdy nie widziałam żadnego filmu z Lollywood, ale brat Samii, Sameer, wybrał się raz ze swoim szoferem i kucharzem na taki film.

Wrócił z kina, zataczając się ze śmiechu. „A więc główny bohater, wystrojony w garnitur safari, jest na przyjęciu i kelnerka - nie kelner - kelnerka! Niby jak? - pyta, czego się napije. Więc ja zaczynam myśleć, czy zaskoczy nas wszystkich, zamawiając alkohol, ale nie, prosi o spritea light. Tyle tylko, że mówi to z pseudobrytyjskim akcentem, i naprawdę brzmi to jak »sraj dalej«".

Rehana Apa zaśmiała się.

- Musisz to opowiedzieć Baji. Będzie udawała zbulwersowaną, ale na pewno jej się spodoba. Ale wróćmy do twojej historii. Powiedziałaś, że zadzwonił dzwonek.

- Tak, zadzwonił dzwonek. Kilka sekund później do pokoju rodziców zapukała ayah, którą dopiero co zatrudniono ze względu na moje zbliżające się przyjście na świat. Oznajmiła, że przyszła jakaś begum i czeka w bawialni. Nic nie mówi, ale ma ze sobą dwie walizki.

- Cóż - powiedziała Ami. - Cóż. To pewnie ona.

- Co robimy? - Aba podniósł list pod światło, jakby szukał jakiejś sekretnej wiadomości napisanej sokiem z cytryny. - Co to może być za osoba?

- Jeśli służący, mimo swego snobizmu, usadzili ją w bawialni, to na pewno nie jest to wnuczka służącego - roześmiała się Ami. - Większość twoich krewnych trafia najdalej do pokoju telewizyjnego, a przecież wszyscy uważają się za samych książąt i księżniczki.

Moja mama potrafi czasem lekceważyć genealogię, bo choć nigdy o tym nie wspomina, wszyscy wiedzą, że jej rodowód sięga nawet dalej niż rodowód Dard-e-Dilów. Pochodzi z rodu Syed. Jest potomkinią Proroka Mahometa i w jej rodzinie było co najmniej czterech wielkich poetów. Jeden z nich został wygnany z Dard-e-Dil przez pewnego Nababa, który sam się miał za poetę. Przodek mojej mamy, po zapoznaniu się z jego twórczością, oświadczył: „Wiersz ten świadczy o sprawiedliwości Allacha. Jak Wszechmogący może pozwolić, aby na świecie istnieli jednocześnie ludzie uprzywilejowani od urodzenia - tacy jak ty - i ci, którzy na każdym kroku muszą borykać się z przeciwnościami losu - tacy jak ja? Oto jak: ty masz władzę i klejnoty; ja mam talent. A historia uczy, że piękne kuplety żyją dłużej niż piękne bankiety. Allach jest wielki". Rodzina taty twierdzi, że Nabab okazał wielkoduszność, bo zamiast zgładzić zuchwałego

poetę, kazał go wygnąć. Nigdy jednak nie mówią tego przy mojej mamie.

- Przesadzasz już z tym suspensem - oburzyła się Rehana Apa.

Suspens nigdy nie był w stylu Mariam Apy

Gdy moi rodzice weszli do bawialni, wstała niespieszona. „Mieliśmy wrażenie, że to my jesteśmy ubogimi krewnymi w potrzebie, nie ona" - wspomina mama.

„Choć gdy tylko jej się przyjrzelśmy, wszelkie podej-
rzenia o jej rzekomym ubóstwie poszły w niepamięć”. Ubrana była w sari z niebie-
skiego szyfonu. Jej lewe ramię ozdabiała trzy złote bransolety, a szyję
złoty łańcuch z wysadzonym diamentami wisiorem, przedstawiającym
imię Allacha napisane po arabsku. Mama spojrzała na jej kości policzko-
we, obojczyki, proste czarne włosy i rozpoznała w niej jedną z Dard-e-
Dilów.

- Witaj - powiedział Aba. - Ty chyba nie jesteś... Mariam?

Ta tylko rozpromieniła się w uśmiechu, od którego rozkwitały róże, a
Ami objęła ją. Siłę reakcji mojej mamy na daną osobę można wyliczyć,
mnożąc sekundy, które poświęciła na mówienie bez nabrania oddechu,
przez ilość słów, które udało jej się w tym czasie wypowie-
dzieć. Im wyższy wynik, tym mama wyczuwa większe pokrewieństwo z tą osobą.
Poznanie Mariam Apy zaowocowało wynikiem siedmiocyfrowym, tak
przynajmniej twierdzi mój tata, który był zawsze dobry z rachunków. W
każdym razie serdeczność, z jaką mama powitała Mariam, była tak oszo-
łamiająca, że minęło kilka dobrych minut, zanim tata zorientował się, że
Mariam Apa nie odezwała się ani słowem.

Rehana Apa wyjęła z torby długopis i zaczęła pisać cyfry na liściu.

- Siedmiocyfrowym? - zapytała. - Serio?

- Kto teraz przesadza z suspensem?

Aba przerwał monolog Ami, klepiąc ją po plecach i oświadczył:

- Właśnie dostaliśmy ten list - wskazał ręką w kierunku pokoju, w
którym czytali depeszę - i z żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci two-
jego ojca. Co się stało?

Mariam Apa uniosła wzrok w górę i wzniosła ręce w geście pełnego
rezygnacji zdania się na moc wyższą.

- No tak, oczywiście - powiedział Aba. - Ale może jakieś szczegóły?

Mariam Apa położyła rękę na sercu i uderzyła się lekko w piersi.

Ami chwyciła jej dłoń.

- Możesz mówić?

Mariam Apa kiwnęła głową.

- Aha - powiedziała Ami. - No tak. Może więc pokażę ci twój pokój. Zostaniesz u nas, rzecz jasna. Nawet nie ma mowy, żebyś zatrzymywała się gdzieś indziej. Dowiedzieliśmy się o twoim przybyciu dopiero przed chwilą, więc łóżko nie jest jeszcze pościelone, ale to śliczny pokój, mój ulubiony w całym domu. Wolę go nawet od naszego, ale Nasser z jakiegoś powodu nie chce w nim ze mną mieszkać. Ale tobie na pewno...

Wtedy do bawialni wszedł Masood. Zaczął pracować dla moich rodziców kilka miesięcy wcześniej. Wszyscy, którzy skosztowali potraw przez niego przyrządzonych, chwalili go pod niebiosa jako „kucharza, którego się zdobywa i nigdy nie pozbywa”.

- Begum Sahib - zwrócił się do mamy w języku urdu. - Co mam przygotować na kolację?

Zanim Ami zdążyła otworzyć usta, zrobiła to Mariam Apa:

- *Aloo ka bhurta, achaargosht, pulao, masoor ki daal, kachoomar.*

Moja mama, zaskoczona, że Mariam Apa właśnie zaordynowała jej ulubione potrawy, w tym właśnie momencie zaczęła rodzić.

Przez cały czas Mariam Apa trzymała ją za rękę, a Aba siedział w poczekalni i wykonywał ćwiczenia autohipnozy. Ginekolog zalecił jej mamie, aby lżej jej było znosić poród.

Pomiędzy skurczami Ami wyznała, że w razie narodzin dziewczynki mieli zamiar nazwać ją Mariam. Jednak w domu nie może być dwóch osób o imieniu Mariam. Całe szczęście, że - mając na uwadze historię

Dard-e-Dilów - przygotowali się na możliwość bliźniąt i mieli w zanzardzu jeszcze drugie imię: Aliya.


- Tylko nie mów, że twoim zdaniem właśnie dlatego kwalifikujesz się jako nie-całkiem-bliźniaczka - prychnęła Rehana Apa.

Mariam i Aliya miały być bliźniaczkami. A Mariam i ja przyszłyśmy na świat - nie dosłownie, przyznaję, ale *na. pewien* świat - świat zamieszkały przez moich rodziców, Dadi, Masooda, Samie, Sameera i całą resztę, tego samego dnia. Ale to nie wszystko. Wszyscy, których znam, stawali się jeszcze bardziej gadatliwi w towarzystwie Mariam Apy. Wszyscy, tylko nie ja. Słyszałam, że bliźnięta w łonie matki potrafią porozumiewać się ze sobą bez słów, jeszcze zanim wykształci im się język, gardło i krtań.

Czy twierdzę, że Mariam Apa dzieliła ze mną łono Ami?

Nie całkiem.

Rozdział siódmy

asnęłam pod tym drzewem, a obudziłam się w pokoju gościnnym w Palmer Mouse. Śniłam, że Rehana Apa wyciąga z torby komórkę, a Dadi pyta mnie o jakość serwisu herbacianego Baji. Przy pomocy Samii gramolę się do taksówki, a Ami mówi: „Ależ oczywiście, że jesteście bliźniaczkami. Nie wspominałam o tym?”.

Gdy ponaglące odgłosy dochodzące z mojego brzucha w końcu zmusiły mnie do zwleczenia się z łóżka, po zapachu perfum Samii i jej kluczach nie było już śladu. Ich miejsce zajął aromat wciąż gorącej *haandi* z kurczaka *karhai* na kuchence i karteczka z informacją, żeby „dodać całe zielone chilli *ipudine* - albo może *dhaniye*?”

W każdym razie to zielone, wiesz które, i gotować na średnim ogniu przez dwie minuty". Obok *haandi* leżała łyżka oblepiona przyprawami i rosółem, ale zignorowałam ją. Sięgnęłam po czystą, żeby wymieszać chilli i kolendrę. Masood zawsze powtarzał, że łyżka dotykana przez dwóch kucharzy psuje smak potrawy.

Odmierzyłam dwie minuty. („Mierzyć czas gotowania? Ważyć składniki?" - słyszałam w głowie niedowierzający głos Masooda. „Jak mogę ci powiedzieć, *ile* i *jak długo*?”.

Tyle, żeby mięso i przyprawy mogły się nawzajem przeniknąć. Tak długo, żeby smaki nabrały mocy". Tego dnia nauczyłam go nowych słówek i ułożyłam powiedzonko: „Dobry kucharz nie odmierza, tylko miesza, nie waży, tylko warzy i nie liczy, tylko *lychee*". Angielski jest w Ka-

raczi językiem postępu, a ja nauczyłam Masooda tyle, żeby mógł śmiać się z moich kalamburów).

Kurczak wyszedł niezły, ale nie nadzwyczajny.

Ktoś mnie wołał. Wyjrzałam przez okno na parking. Stał tam Khaleel. Cał Ass z miasteczka Doopay w Massachusetts. Nogi się pode mną dosłownie ugięły. Aby ukryć tę chwilę słabości, udałam, że opieram się o zlew. Ale jak tu być damą, gdy wokół piętrzą się brudne gary? Chwyciłam filiżankę i pomachałam nią w jego stronę. Kciuk miał zatknięty za kieszeń džinsów, adidasy zamienił na brązowe, skórzane półbuty. Bawił się okularami przeciwsłonecznymi i wyglądał jak typowy Amerykanin. Powiedziałam sobie: „Chciałabym być przez niego wytypowana”.

- Hej! - krzyknął. - To dla ciebie. - Wyciągnął przed siebie puszkę śledzi.

- Czyżbym była śledzona?

Roześmiał się.

- Obiecałem sobie, że jeśli się nie połapiesz, to sobie pójdę - nagle wyraz jego twarzy stał się niepewny. - Cały czas mogę sobie pójść. Tylko że teraz to już nie zależy ode mnie.

- Czekał - złapałam zapasowe klucze i biegiem rzuciłam się ze schodów. Na zakręcie, tuż przed korytarzem z oszklonymi drzwiami, zwolniłam i ruszyłam statecznym krokiem.

- Jak? - spytałam, stając w drzwiach.

- Z identyfikatora na twojej walizce. Na lotnisku. Zapamiętałam adres, bo jeden mój znajomy mieszkał kiedyś w tym domu - wskazał budynek po drugiej stronie ulicy.

Ramię Adama wyciągające się do Boga. Gdy pierwszy raz w życiu stanęłam w Kaplicy Sykstyńskiej, uderzyła mnie myśl, czy Michał Anioł zdawał sobie sprawę ze swojego bluźnierstwa. Kto w ogóle zwracałby uwagę na Boga, gdy tuż obok Adam przeciągał się zmysłowo?

Khaleel opuścił rękę.

- Posłuchaj... Przepraszam, to strasznie głupie. Po prostu myślałem o tobie i nagle się zjawiłaś.

- A potem znikłam.

- Jak tylko wspomniałem, że moja rodzina mieszka w Karaczi.

- Co? Nie, skąd. Samia po prostu za późno zorientowała się, że to nasz przystanek. Czasami potrafi być strasznie rozkojarzona - równie dobrze mogłabym oświadczyć, że Samie przyzywa UFO, które właśnie wylądowało za Ritzem. Umiem opowiadać, ale nie potrafię kłamać. Samia, rozkojarzona!

- Rozkojarzona? A może raczej nie lubi kojarzyć par? - wyszczerzył zęby, oparł się o samochód i splótł ręce. Typowa poza jestem-taki-cool-że-wszystko-zniosę.

- Więc cóż takiego straszego jest w Liaquatabadzie, że na samą wzmiankę o nim dajecie nogę?

- Karaczi jest ogromne, naprawdę. Tam, gdzie kiedyś było morze, bagno czy nieużytek teraz jest asfalt, beton czy inny rodzaj ziemi jałowej.

- Albo mówisz o okrucieństwach kwietnia, albo odpowiadasz na moje pytanie - powiedział.

Nie zdziwiło mnie, że zna Eliota. W samolocie miał *Wiersze wybrane* Johna Ashberyego.

-Nigdy nie byłam w Liaquatabadzie. Ale to jest właśnie w tej części Karaczi.

-Wktórej?

- W tej.

- Masz zamiar rozwinąć tę myśl?

- Jestem w minimalistycznym nastroju. – Khaleel podniósł brwi. Pomyślałam, że zamierza odejść. Dodałam więc:

- Nie mów, że nie słyszałeś o wielkim podziale klasowym w Pakistanie.

- A, więc to o to chodzi? - czubkiem jednego buta potarł o piętę drugiego. - Więc jestem chłopakiem z drugiej strony barykady. W Stanach było mi ciężko - oznajmił, zanim zdążyłam pomyśleć, co odpowiedzieć - bo wiedziałem, że inne dzieci za moimi plecami śmieją się z akcentu moich rodziców, z ich ubrań, z ich cudzoziemstwa. Radziłem sobie z tym tak, że mówiłem tym dzieciakom, żeby albo odpuściły, albo przestały udawać, że się ze mną przyjaźnią. Większość wybierała pierwszą opcję. Chcę przez to powiedzieć, że dość wcześnie zdecydowałem, że wolę już nie mieć kolegów, niż wstydzić się rodziców. Więc nie oczekuj, że zacznę przed tobą tłumaczyć się z mojej rodziny, tylko dlatego że... - złapał się za głowę. - Psiakrew, nie moglibyśmy dokądś pójść? I pogadać?

Jasne, że mogliśmy. Tylko że nie na górę. Nawet tego nie zaproponował. Po prostu poszedł za mną do kafejki za rogiem. Gdy mieliśmy przechodzić przez ulicę, lekko dotknął mojego łokcia. Przekonało mnie to, żeby nie szukać szczęścia między jednym pędzącym autobusem a drugim. Usiedliśmy przy stoliku na zewnątrz. Zamówiłam kawę, on poprosił herbatę.

- Opowiedz mi o Karaczi - poprosił. Zanurzyłam w kawie kostkę cukru i obserwowałam, jak zmienia kolor.

Nie spytał: „Jak jest w Karaczi?”. O to pytała większość ludzi, zupełnie jakby myśleli, że na to pytanie da się odpowiedzieć jakimś prostym porównaniem. Moja standardowa odpowiedź zazwyczaj brzmiała: „Jak na kurzej fermie”.

Khaleelowi jednak opowiadałam o czerwcu, lipcu i sierpniu. W czasach college'u znałam w Karaczi tylko te trzy miesiące. Semestr wiosenny zawsze kończył się w połowie maja, ale jakiś miesiąc zawsze spędzałam z przyjaciółmi z uczelni albo z kuzynostwem w Nowym Jorku. Bilet powrotny rezerwowałam na 16 czerwca albo krótko po tym terminie, kiedy to Dadi zdążyła już wyjechać do Paryża. Spędzała tam trzy letnie miesiące ze swoim młodszym synem, Alim. Zawsze docierała tam najpóźniej 16 czerwca, w dniu jego urodzin.

- Ale latem w Paryżu jest okropnie - zauważył Khaleel. - Gorąco i bezwietrznie. I wszyscy paryżanie wyjeżdżają na wieś.

- Dadi nie cierpi monsunów. Jeśli nadchodzą wcześniej, ona wcześniej wyjeżdża.

- Czemu?

- Nigdy nie pytałam - uciełam. Miałam jednak swoje podejrzenia. Unikając monsunów, Dadi unikała wspomnień z dzieciństwa w Dard-e-Dil. Siostra Dadi, Meher, powiedziała mi kiedyś, że gdy były dziećmi, ulubionym świętem Dadi był festiwal organizowany z okazji rozpoczęcia pory deszczowej. Pałacowe drzewa owijało się jedwabnymi sznurami, a kilka stóp nad ziemią rozwieszało się na nich kolorowe deszczułki. Najmłodsze dziewczynki wybiegały na dwór, pobrzękując bransoletami, i śpiewały monsunowe pieśni, huśtając się coraz wyżej i wyżej. W licznych namiotach stoły biesiadne zastawione były różnorakimi potrawami, głównie z mango. W kulminacyjnym momencie Nabab wyciągał z

kieszeni brylant w kształcie kropli deszczu i wręczał go dziewczynce, której udało się rozbujać najwyżej i nie przerwać śpiewu. Dadi opuszczała Karaczi przed porą monsunów, żeby nie przypominać sobie blasku swojego dawnego życia.

- A ja myślałem, że monsuny są nieprzewidywalne - zdziwił się Kha-leel. - Czy to nie jest tak, że jednego roku zaczynają się wcześniej, a innego w ogóle ich nie ma?

- No proszę, trafił mi się specjalista od światowej meteorologii. Mon-suny w Karaczi, lato we Francji...

- Jestem Francuzem.

- Daj spokój.

- Nie, naprawdę. Moi rodzice są profesorami fizyki. Oboje. Mają fioła na punkcie podróży, więc uczą w różnych miejscach na świecie. Gdy byliśmy we Francji, dostałem obywatelstwo. Nie chcieli, żebym został obywatelem USA, bo to było w latach siedemdziesiątych – Wietnam i te sprawy. Nie chcieli, żebym po osiągnięciu pełnoletności zo-stał wciągnięty w jakąś wojnę, którą uważaliby za moralnie naganną. -

Ale we Francji wojsko jest obowiązkowe.

- Cóż, może kłamię. Może nie jestem Francuzem. A może byłem już w wojsku.

- Do czego zmierzasz?

- Nie szufladkuj mnie ani mojej rodziny na podstawie Liaquatabadu.

Zajrzałam do filiżanki.

- Bardzo staram się nie szufladkować Liaquatabadu.

- Więc w czym problem? Dlaczego nie wskoczyłaś z powrotem do tego metra?

- Bo to był mój przystanek.

Khaleel wylał trochę herbaty na spodeczek i podniósł go do ust. Dyskretnie rozejrzałam się, żeby sprawdzić, czy nie widzi nas nikt ze znajomych. W tym momencie moja rodzina o rodzinie Khaleela wiedziałaby już wszystko. Byli to ludzie pracowici i porządni, ale nie profesorowie. Do Stanów, kraju wielkich możliwości, dotarli tylko z tym, co mieli na grzbietach. Od świtu do nocy pracowali za śmieszne pieniądze i obiecywali sobie, że ich synowi będzie lepiej. I tak też się stało. Miał tyle talentu i szczęścia, że dostał stypendium, zasymilował się, może zaproponowano mu (a on wykorzystał) wyjazd do Anglii czy Francji, gdy jeszcze chodził do szkoły. Przez rok studiował w zagranicznym collegeu. Teraz myślał o powrocie do Karaczi, by pokazać krewnym rodziców, że owszem, Assom w USA się udało. W żaden sposób nie można było się domyślić, jak skromne były początki Khaleela, chyba że zdradził się akurat jakimś drobnym zwyczajem wyniesionym z domu, na przykład siorbaniem herbaty ze spodeczka.

- Gdybym ci powiedział, że piję w ten sposób, aby zobaczyć twoją reakcję, nigdy się nie dowiesz, czy powiedziałem prawdę, czy też po prostu zobaczyłem twoją reakcję i staram się usprawiedliwić - wytarł usta serwetką. - Uściśnijmy więc sobie dłonie i pożegnajmy się.

- Nie - nadszedł czas, żeby oduczyć się sztuki rezygnacji. Wiedziałam, że teraz nie mam możliwości odejścia, ucieczki. Było tyle skomplikowanych, a zarazem oczywistych powodów, że nie byłabym w stanie odejść z godnością, nie oglądając się za siebie.

- Gdy przyjadę do Karaczi, odwiedzisz mnie w Liaquatabadzie?

Są chwile, gdy cały świat wstrzymuje oddech.

- W collegeu znalazłam pewnego chłopaka. Nie był nikim ważnym. Jednak w czasie naszej ostatniej rozmowy powiedział: „Problemem nie do przeskoczenia jest to, że gdy o mnie myślisz, posługujesz się logiką”.

- Więc co teraz myślisz?

- Każdego wieczoru Mariam Apa (wspominałam o niej w samolocie? Kuzynka mojego ojca) po skończonej kolacji zostawała w jadalni, podczas gdy Masood sprzątał ze stołu. Patrzyła przez szklane drzwi prowadzące do ogrodu na krzew hibiskusa, z którego jedna gałąź odstawała w bok. Palcem wskazującym wodziła w powietrzu wzdłuż wygiętej linii tej gałęzi, jakby chciała ją pogłaskać. *Mali* nie mógł zbliżyć się do tego krzewu. Sama go przycinała, podlewała i nawoziła. Każdego wieczoru kreśliła w powietrzu linię jego odstającej gałęzi. Chciałabym to zrozumieć.

- Kim jest Masood?

- Kucharzem. Z tego co mi wiadomo, jedyną osobą, z którą Mariam rozmawiała.

- No dobrze. Czas się skończył - zaczął wachlować się serwetką. - Przypuszczam, że zmyślasz.

- Potrawy, które przyrządzał Masood, były jedynym jedzeniem, jakie Mariam brała do ust. Cały czas chcesz uścisnąć mi rękę i odejść?

- Co to ma być? Próbujesz na mnie sił jako Szeherazada?

- Nie. Nie mogłabym czekać tysiąc i jedną noc.

- A na co konkretnie chciałabyś czekać?

W tej chwili mogłaby go pochłonać ziemia, a ja nigdy nie zapomnę, jak dotknął palcem mojego łokcia. Nedorzeczna myśl. Wspomnienie nie jest w stanie przetrwać.

Jakże straszliwy jest poranek, gdy budzisz się i twoją pierwszą myślą nie jest wspomnienie osoby, która odeszła. Wtedy dopiero okazuje się, że z powodu złamanego serca nie można umrzeć.

Poruszyłam łokciem. Przysunęłam się bliżej.

- Co teraz, Khaleel? Co teraz zrobimy?

- Dlaczego nie możemy poczekać i przekonać się, dokąd nas to zaprowadzi?

- Z powodu Liaquatabadu - nie mogłam uwierzyć, że powiedziałam to głośno. Zamiast się obrazić, uśmiechnął się do mnie, jakby był wdzięczny za prawdę.

Uregulował rachunek i wyszliśmy.

- Lekcja historii - powiedział. - Po Buncie w 1857...

- Powstaniu.

- Słucham?

- Nie buncie, powstaniu. Słowo „bunt” sugeruje, że wystąpienie nie zatoczyło szerszych kręgów i ograniczało się tylko do pewnej części sił zbrojnych. Choć faktem jest, że zaczęło się od bengalskich Sipajów, to...

- Wszystko jedno. Chodzi o to, że po stłumieniu Powstania, mogolski cesarz został odarty ze wszystkich przywilejów, pozbawiony wszelkich praw. Zmarł w biedzie, a jego potomkowie cierpieli niedostatek. Urodzili się książętami, umierali jako żebracy na ulicach Delhi. - Khaleel zatrzymał się przy spożywczym, żeby kupić torbę jabłek. Wyjął jedno i zaczął chrupać.

W moim starym podręczniku do historii było zdjęcie ostatniego Mogoła, Bahadura Shaha Zafara, zrobione już po Powstaniu. Spoczywał na *charpoyu* na jakimś zakurzonej podwórku. Nie miał uroczystych szat, klejnotów. Nie było przy nim ani jednego sługi. Ale chyba zupełnym

przypadkiem zwracał twarz w stronę aparatu. W życiu nie widziałam czegoś równie żalospnego jak jego spojrzenie. Patrząc na to zdjęcie, chciałabym móc powiedzieć, że nawet w tych warunkach wciąż wyglądał na władcę.

Jednak tak nie było. Wyglądał na oszołomionego i przygnębionego.

-Więc w Liaquatabadzie mogą wciąż żyć potomkowie tych książąt. Myślałaś o tym? Może jestem jednym z nich. Chciałabyś, żebym był mogolskim księciem?

Pokręciłam głową.

-Nie rozumiesz. Myślisz, że jedyna komplikacja polega na moim przekonaniu, iż liczy się tylko rodowód. W samolocie, gdy opowiadałam o nie-całkiem-bliźniętach, nie wspominałam o ich pierwszej parze. Chcesz posłuchać?

-Chcę. Proszę, mów.

Historię tę usłyszałam pierwszy raz tamtego ranka w mieszkaniu Baji. Tuż po tym, jak Samia zauważyła gwiazdki na drzewie genealogicznym i tuż przed wzmianką Rehany Apy o nie-całkach, które pozbawiły nas praw do mauzoleum Tadż Mahal. Może więc powinnam była opowiedzieć o nie-całkach wcześniej, ale chyba zgodzicie się, że tu pasuje to lepiej.

Cofnijcie się myślą do zagraconego mieszkania Baji i momentu rozwijania płachty z drzewem.

- Chwileczkę - zawołała Samia. - A te dwie to kto? - Tuż obok imienia Nur-ul-Jahana, założyciela rodu Dard-e-Dil, bohatera bitwy pod Surkh Khait, widniały imiona jego obu żon, Kulsoom i Shahrukh. Imiona te opatrzone były gwiazdkami.

Kulsoom znalazłam. Jej ojciec, Qadiruddin Shah, w 1423 walczył u boku Nur-ul-Jahana w bitwie pod Surkh Khait. W historii Qadiruddina nie ma nic oryginalnego. Jako potomek dawnego królewskiego rodu z Persji, marzył o przywróceniu rodziny do dawnej świetności. Brakowało mu zarówno środków, jak i zdolności. W bliskowschodnim zbójcy, Nur-ul-Jahanie, widział, jak czytamy w jego memuarach: „człeka tak ambitnego, że wydarłby sobie i zjadł własną wątrobę, jeśli tylko miałyby mu to zapewnić jakieś awantaże”. Co pewnie oznacza tyle, że Nur-ul-Jahan miał zdolności, a Qadiruddin ich nie miał, ale potrafił je rozpoznawać u innych. Shah postanowił związać swój los z losem Nur-ul-Jahana. Wystroił się w ceremonialne szaty królów Persji, zaoferował Nurowi swe usługi i, zgodnie z jego własnymi słowami, swym wyglądem i obejściem zrobił na hardym wojaku tak wielkie wrażenie, że ten, zaledwie po kilku minutach od introdukcji, zaproponował Qadiruddinowi stanowisko doradcy. (Wielu moich krewnych uznaje tę relację za cokolwiek podejrzaną. Nur-ul-Jahan wywodził się z królewskiej, wyrafinowanej dynastii Timurydów, zatem jakieś stare perskie szaty nie byłyby w stanie zrobić na nim aż tak piorującego wrażenia. Prawdą jednak pozostaje fakt, że jego babka, córka Tamerlana, została poślubiona człowiekowi, który znany był raczej z podżegactwa niż finezji, i to w jego właśnie plemienu dorastał Nur-ul-Jahan. Prawdą jest też, że Nur-ul-Jahan miał wielu, wielu doradców).

Po bitwie pod Surkh Khait i towarzyszących jej niewielkich zamieszkach, zaaranżowano ślub pomiędzy córką Qadiruddina, Kulsoom, i nowym władcą, Nur-ul-Jahanem z Dard-e-Dil (nikt nie wie, dlaczego dla swojego królestwa wybrał taką właśnie nazwę). Wkrótce po zapewnieniu nowej królewskiej rodzinie nienaganego perskiego rodowodu, którym

można było podratować mocno już rozwodnioną krew Timurydów, Qadiruddin został otruty.

O Nur-ul-Jahanie słyszałam tyle opowieści – znałam imię jego żony, Kulsoom, córki Qadiruddina - więc jak tylko Samia zwróciła moją uwagę na gwiazdki, natychmiast zauważyłam, że jedną z nich opatrzone jest jej imię. Ale o jej nie-całkiem-bliźniacze, tej Shahrukh, nigdy wcześniej nie słyszałam.

Baji zaśmiała się, widząc zdezorientowanie rysujące się na twarzy Samii i mojej.

- Biedna Shahrukh! Zesłana na margines historii. - Oparła się wygodnie i uśmiechnęła. Po jej minie, podobnej do tej, jaką często widywałam u Dadi, poznałam, że za chwilę uraczy nas jakąś porywającą opowieścią.

- Żona Qadiruddina zmarła w połogu, a jej dziecko oddano do wykarmienia mamce. Mamka miała córkę, Shahrukh, która urodziła się tego samego dnia co Kulsoom. Powiadają, że ojcem Shahrukh był brat Qadiruddina. Możliwe, że to tylko plotka, powstała na skutek wielkiego podobieństwa w wyglądzie, zachowaniu i sposobie mówienia Kulsoom i Shahrukh. Nawet sam Qadiruddin nie potrafił ich rozróżnić. A zatem po ślubie Nur-ul-Jahana i Kulsoom wrogowie Qadiruddina powiedzieli Nurowi, że Qadiruddin poprzysiągł nigdy nie zhańbić swego rodu, pozwalając na związek córki z rodziną barbarzyńskiego zbója. Dlatego za żonę oddał Nurowi Shahrukh, nieślubną córkę mamki.

- To dlatego Nur otruł Qadiruddina.

- Dokładnie tak, Aliyo Begum. Ale żeby umocnić swoje rządy, Nur-ul-Tahan w dalszym ciągu potrzebował rodowodu Qadiruddina, dlatego poślubił też przybraną siostrę swojej żony.

- Shahrukh! - wykrzyknęłam.

- Kulsoom! - powiedziała Samia.

Baji znowu się roześmiała.

- Cóż, nie wiadomo. Wrogowie Qadiruddina mogli kłamać, ale mogli też mówić prawdę. Obie przybrane siostry nigdy nie wyjawily, która jest która, a gdy zmarła mamka, nie stało nikogo, kto potrafiłby je odróżnić. Przez całe życie obie reagowały zarówno na imię „Kulsoom”, jak i „Shahrukh”. Obie twierdziły, że wywodzą się z dynastii perskich królów i mówiły o mamce „matka”.

- Więc to one były pierwszymi nie-całkiem-bliźniaczkami? - Przesu-
nęłam palcami po ich imionach. Gdy Baji kiwnęła głową, stwierdziłam: -
A więc mit kłamie. Pierwsze nie-całki nie sprowadziły na rodzinę nie-
szczęścia. No dobrze, może nie przyniosły Qadiruddinowi nic dobrego,
ale jeśli chodzi o ród Dard-e-Dilów... to znaczy Kulsoom była przecież...
O Boże.

Baji klasnęła w dłonie i z satysfakcją zaczęła się wpatrywać we mnie
i w Samię. Patrzyłyśmy na siebie szeroko otwartymi ze zdumienia ocz-
mi.

- Wszyscy pochodzimy od nieślubnego dziecka raamki - zachichotała
Baji. - Albo i nie.

- Widzisz więc - oświadczyłam Khaleelowi - że problem Liaquataba-
du nie leży w samej krwi. Gdyby tak było, moje zachowanie nie byłoby
naganne, a jedynie głupie.

- Eee... no. Hej, czy to jakaś twoja kuzynka?

W drzwiach do kiosku stała kobieta, której nigdy wcześniej nie wi-
działam. Kobieta miała ciemne włosy i piękne oczy.

- Wszystkie dla was wyglądamy tak samo, co? Ech, wy Amerykanie!

Spojrzał, żeby upewnić się, czy na pewno żartuję, po czym roześmiał się.

- Nie mów, że ty nie widzisz podobieństwa. Ale nie, to chyba jasne, że nie jest z tobą spokrewniona.

- A to czemu? - Minęliśmy ją i aż się obejrzałam, bo faktycznie odniosłam wrażenie, że wygląda trochę jak Samia.

- Przyjrzałaś się jej rękom? Na pewno nie pochodzi z wyższych sfer.

- Bo co, do chiromancji wystarczy ci jedno spojrzenie?

- Nie, ale na pewno pracowała w życiu rękami. Zauważyłaś, jakie ma wystające żyły?

Nieopodal stała ławka, więc usiadłam. Znów spojrzałam na kobietę o pięknych oczach i z całkowicie skrytymi pod golfem obojczykami. Kha-leel zawołał mnie, a gdy nie otrzymał odpowiedzi, przyłożył mi rękę do czoła. Jego nadgarstek znalazł się kilka cali od moich ust. Drugą dłoń położył mi na kolanie. Gdy spojrzałam w dół, zobaczyłam w niej nadgryzione jabłko ze śladami po zębach. Podniosłam głowę i uśmiechnęłam się.

- Jak mówiłam, nie chodzi tu tylko o krew, czy jak się to współcześnie określa, zaplecze kulturowe. To nie takie proste.

Kobieta o pięknych oczach przeszła obok, pogrążona w rozmowie z jakimś mężczyzną. Usłyszałam jego pytanie:

- Jak tam twoja najnowsza rzeźba?

- Rzeźbiarka. Stąd te dłonie - wstałam. - A ja już miałam do niej podejść i powiedzieć... W najgorszym wypadku rozkazać: pokazuj obojczyk... albo coś równie zręcznego.

- A więc o co chodzi, jeśli nie o krew?

- Wiesz, czego się dzisiaj dowiedziałam? Że mam sprowadzić zagładę na moją rodzinę. Ja i Mariam - wyrzuciwszy to z siebie, pierwszy raz zaczęłam o tym myśleć. O, wiele razy opowiadałam historie o niecałkach. Klątwa nie-całkiem-bliźniąt. Nieuchronne nieszczęścia idące za nimi krok w krok. Ale gdybyście spytali mnie, czy wierzę, czy naprawdę wierzę w te opowieści, roześmiałabym się wam w twarz. Ale te gwiazdki przy moim imieniu i przy imieniu Mariam... Wspomnienie tego, co zrobiła i jak zareagowała na to moja rodzina. Coś bardziej pierwotnego niż logika, cynizm czy trzeźwy duch lat dziewięćdziesiątych sprawiły, że poczułam się bezradna, słaba i zniewolona.

- Cal - powiedziałam, wzięłam od niego ogryzek i wyrzuciłam do kosza. - W innym życiu, może nawet w innym roku, przedstawilibyśmy sobie swoich przyjaciół, oglądalibyśmy razem filmy, gadalibyśmy o bzdurach przez telefon, a ja zamawiałabym za ciebie potrawy w restauracjach! Ale, zamiast tego, jutro wsiadam w samolot i lecę do domu. I wciąż mamy maj. Bo tym razem zarezerwowałam bilet na maj. Spójrz, doszliśmy już do mojego domu. Widzę w oknie Samię, więc nawet gdyby wpadło mi do głowy, żeby zaprosić cię na górę, teraz tego nie zrobię. A więc masz rację. Podajmy sobie ręce na pożegnanie.

- Aliya, ja nie mam zamiaru podawać ci ręki. Nie ma mowy. Proszę, darujmy sobie cywilizowane pożegnania i przemówienia z gatunku jakaszkoda-że-poznaliśmy-się-w-złym-momencie, okej?

- A więc co?

Gdy kilka minut później weszłam do mieszkania, Samia oglądała telewizję. Kiedy na mnie spojrzała, szybko oderwała się od swojego zajęcia.

- Co ty... Co ci jest? Dziwnie wyglądasz – podeszła bliżej. - Jesteś pijana, czy co? - Nachyliła się, żeby powąchać mój oddech. - To cydr?

TLR

Rozdział ósmy



Wni słowem nie zdradziłam się przed Khaleelem, że wyjeżdżam z samego rana. Mimo to wypatrywałam go, ruszając spod Palmer House do czekającej już na mnie taksówki. Niewyspana Samia oświadczyła jednym ciągiem, że bym nie była głupia i że nie, nie mam już właściwie czasu, i Boże, czyja naprawdę myślałam, że uwierzyła w moje zapewnienia, że potrzebuję tych kilku dodatkowych minut, bo nie cierpię się z nią żegnać?

- Ale tak właśnie jest - odparłam.

- Czy ty masz zamiar płakać? - zamrugła oczami i zaczęła mi się przyglądać. - Tak! Boże, Aliya, nie płakałaś przeze mnie od czasu, gdy miałaś świnkę, a ja ci powiedziałam, że ulgę może ci przynieść tylko zgromadzenie w łóżku starych, woniejących szmat. ŚWINKA miała być skrótem od...? Śmierzące Waciaki I Narzuty Kończą Atak.

To rodzinna tradycja. Gdy wyjeżdżasz, rób to z uśmiechem.

Ale samoloty i lotniska gaszą uśmiech na twarzy. Rzeczy, które zazwyczaj mnie śmieszą, na lotnisku zdają się być zwiastunami apokalipsy. Tym razem nie było inaczej. Gdy stałam w kolejce w oczekiwaniu na kontrolę, urzędnik lotniska oświadczył, że moja walizka ma „nieodpowiednie proporcje”. Czyli co? Jest za duża? Za szeroka? Za wysoka? Pociągnął nosem, ustąpił i ruszył dalej. W okienku do wydawania biletów powiedziano mi, że „komputer odmawia współpracy i nie chce pani roz-

poznać". „Więc proszę go zmusić" – oświadczyłam z mocą. Facet stojący za mną szepnął „Farrah" i zaczął nucić melodię z *Aniołków Charliego*. Nie ma to jak magia lat siedemdziesiątych. Osoba w okienku potraktowała mnie jednak poważnie. Tak długo waliła w klawiaturę, aż komputer wypuł w końcu moje nazwisko. Jednak w odpowiedzi na zadany jej afront, maszyna przydzieliła mi miejsce w części dla palących.

Gdy znalazłam się już na pokładzie, cierpliwie czekałam, aż samolot wystartuje i zgasną lampki przy tabliczkach z zakazem palenia. Wtedy to grupka mężczyzn – ignorując wcześniejsze skrzekliwe instrukcje stewardesy – podniosła się ze swoich miejsc w części dla niepalących i ustawiła z papierosami blisko mojego siedzenia.

- Przepraszam - zaczęłam. - Czy któryś z panów nie zamieniłby się ze mną na miejsca? Nie chcę siedzieć w części dla palących.

- A kto by chciał? - stwierdził mężczyzna o wypiętych dłoniach, zaciągając się marlboro.

W tym momencie dostrzegłam już swoje ofiary. Trzech Pakistańczyków, prawdopodobnie robotników. Na ich użytek powtórzyłam pytanie w urdu.

- Oddaj tej pani swoje miejsce - powiedział jeden z nich, machając ręką do żylastego, brodatego kolegi.

- Tak. Chciałbyś, żeby całą drogę do Karaczi cierpiała niewygody? - spytał drugi. - Nie nauczyli cię manier?

Żylasty odwrócił się do mnie.

- Nasze miejsca to 8D, E i F. Proszę sobie wybrać, które pani chce. To, który z nas tu zostanie, ustalimy już między sobą.

Wybrałam miejsce najbliższej przejścia. Usiadłam i zamknęłam oczy, udając, że śpię. Dwóch z nich wróciło, zostawiwszy żyłastego w oparach dymu.

Mężczyzna siedzący obok mnie zwrócił się do swojego towarzysza:

- Jak to jest, że największą ochotę, żeby zapalić, ma się właśnie w czasie startu samolotu? Większą nawet niż przed Iftari czy latem, gdy kończy się Ramzan i bez papierosa trzeba obejść się ponad czternaście godzin?

W samolocie mogę robić tylko dwie rzeczy: mówić albo wspominać.

Zaczęłam wspominać Ramzan.

Oficjalnie znany jako miesiąc postu, dla mnie Ramzan zawsze oznaczał miesiąc ucztowania. Przez pierwszych osiemnaście lat mojego życia powstrzymywanie się od jedzenia i picia od świtu do zmierzchu miało więcej wspólnego z żarliwością kulinarną niż religijną. Posiłek Iftari zawsze zamawiała Mariam. Od czasu jej zjawienia się w naszym domu, to ona ordynowała potrawy. Wszyscy zarzekają się, że choć Masood od początku był świetnym kucharzem, to czarodziejem stał się dopiero wtedy, gdy Mariam zaczęła mówić mu, co ma gotować. (Sama byłabym sceptycznie nastawiona do tych zapewnień, ale na własne oczy widziałam, jak różni ludzie usiłowali odtworzyć potrawy Masooda. Brali od niego przepisy, a nawet pożyczali jego garnki, patelnie, deski do krojenia oraz noże. Jednak nigdy nie udało im się stworzyć potrawy, którą można by uznać za Masoodową. „*Haath mein maza hai*” - zawsze powtarzała Dadi - rozkosz płynie z jego ręki. Ale może rozkosz płynęła z głosu Mariam). Niezależnie od tego, co było skutkiem, a co przyczyną, aby w pełni docenić Iftari Mariam i Masooda, należało doprowadzić się do takiego

stanu wygłodzenia, żeby usiąść i móc zajadać się przez bite półtorej godziny, bez przerwy.

W salonach całego kraju udręczone panie domu narzekały, że całe to poszczenie do spółki z upałem, sprawia, że ich kucharze robią się nieznośni. Oczywiście, każda czuła się winna, że każe kucharzowi harować nad gorącym paleniskiem. Masood to uwielbiał. Wyganiał nas z kuchni, mówiąc: „Jeśli poczujecie zapach mojego jedzenia, nie będziecie w stanie dotrzymać postu do zmierzchu. Idźcie, idźcie, zanim stanę się narzędziem w ręku Shaitana i przeze mnie traficie do piekła”. Pozwalał zostać jedynie Mariam Apie, która mogła siekać, mieszać i patrzeć, czego nigdy indziej nie robiła.

Och! Te potrawy, które wychodziły spod ich rąk!

Zaczynaliśmy oczywiście tradycyjnie, od przepisowych daktyli, symbolizujących wierność pierwszym muzułmanom na arabskich pustyniach, ale potem... dalej z obżarstwem! Zakrecone *jalaibeas*, gorące i kleiste, które jak tylko się je nadgryzło, zaczynały ociekać gęstym, słodkim syropem. Kostki z ziemniaków, maczane w jogurcie i posypane ziołami. Trójkąciki smażonych *samos*, mniejsze - napelnione mielonym mięsem, większe - ziemniakami i zielonymi papryczkami chilli. Kebaby *shami* ze słodko-kwaśnym sosem z *imli*. Liście szpinaku smażone w cieście z ciecierzycy. *Nihari* z wielkimi kawałami szpiku pływającymi w gęstym sosie i z mięsem tak miękkim, że samo rozpływało się w ustach. *Lassi*, które tak wspaniale gasiło całodniowe pragnienie, że zaczynaliśmy się zastanawiać, po co w ogóle pić colę, jeśli mieszanka mleka, jogurtu i cukru w zupełności nam wystarcza. Cały wybór deserów - *gulab jamoons*, *ladoos*, *burfi*.

Na Iftari po zachodzie słońca zawsze gromadziło się u nas co najmniej dziesięcioro ludzi. Zawsze w którymś momencie uczyty ktoś podnosił głowę znad trzeciej dokładki i pytał: „Mariam, ty już skończyłaś? To obelga dla tego jedzenia. Jest boskie!”. A Mariam Apa, która zawsze jadła tylko tyle, żeby okazać, że jej smakuje, robiła ruch ręką, jakby łowiła w powietrzu słowa, wkładała je sobie do ust i połykała, co miało oznaczać: „Żywię się twoimi pochwałami”. Wtedy też spoglądała na Masooda, który właśnie wnosił gorące chlebki *naan* do *nihari*, i uśmiechała się serdecznie, spojrzeniem gratulując mu sukcesu. Masood skłaniał głowę, co wyglądało nie tyle jak pełen szacunku *salaam*, ile przyjęcie w pełni zasłużonej pochwały.

(Gdy o jedzeniu Masooda opowiadałam ludziom, którzy nie mieli z nim styczności, zawsze spotykam się ze spojrzeniami pełnymi powątpiewania. Powiem tylko tyle: Dard-e-Dilowie z pokolenia Dadi przysięgają, że najwspanialsze jedzenie, jakiego kosztowali, pochodziło z kuchni Masooda. Takich pochwał nie należy lekceważyć, biorąc pod uwagę, że pochodzą z ust ludzi, którzy jadali przy słynnych stołach pałacu Dard-e-Dil. Pałacu, szczycącego się całymi legionami kucharzy, a każdy z nich specjalizował się w tylko jednym typie dań. Tak więc był na przykład kucharz od potraw z ryżu i kucharz od *parathas*, czy też kucharz od deserów i kucharz od kebabów).

Jedynym posiłkiem, który przewyższył nawet te z okresu Ramzanu, był obiad ugotowany przez Masooda i Mariam Apę, gdy dostałam się do collegeu w Stanach. Podczas posiłku wybuchłam płaczem.

- Ale kto mi teraz będzie gotował?

Masood prawie że dotknął mojego ramienia.

-Nie martw się, Aliyo Bibi. - Wtedy pierwszy raz powiedział do mnie „Bibi”, a szacunek wiążący się z tym tytułem sprawił, że poczułam się jeszcze bardziej nieszczęśliwa. - Gdy przyjedziesz do domu na święta, tak cię odkarmię, że na pokład samolotu trzeba cię będzie wtoczyć.

-Obiecujesz?

- Obiecuję - uśmiechnął się.

Dwa tygodnie później już go nie było.

Naciągnęłam na głowę firmowy koc linii lotniczych i starałam się wyrównać oddech, żeby tylko nie myśleć o odejściu Masooda i tym, co po nim nastąpiło.

Gdy powiedziałam Samii, że nigdy nie opowiadam historii Mariam, nie byłam z nią całkowicie szczerą. Przyznaję, nigdy nie powiedziałam jej w całości, ale pewne fragmenty udało mi się wyrzucić z siebie albo zdradzić mojej współlokatorce z collegeu, Celeste. Genialnej, rewolucyjnej, wielo-wielonarodowościowej, niepoddającej się żadnym kategoryzacjom artystycznej duszy, która pierwsza wprowadziła się do naszego pokoju w internacie (ja byłam wciąż w podróży) i postanowiła sprawić, że w Massachusetts poczuje się jak u siebie w domu, a to za pomocą specjalnie spreparowanego plakatu z Che Guevara. Wyobraźcie sobie: na początku pierwszego roku wchodzę do swojego przestronnego, kolorowego pokoju i widzę podobiznę - sześć stóp na trzy – długowłosego mężczyzny o pięknych oczach, z mango w jednej ręce i kijem do krykieta w drugiej; z zębami ociekającymi krwią.

Betel, wyjaśniła Celeste kilka tygodni później, gdy już czułam się na siłach, żeby podać w wątpliwość jej wizję artystyczną.

Gdy już się rozpakowałam, pierwszym pytaniem Celeste było: „Kto to?”. A było to czarno-białe zdjęcie Mariam Apy, oprawione w ramkę,

które postawiłam na moim biurku. Do końca semestru udało mi się nie wchodzić w szczegóły, kiedy to Celeste oświadczyła:

- Zamierzam namalować twoją kuzynkę - Mariam. Jakież sugestie?

- Tak. Możesz spróbować namalować ją starszą? Żebym wiedziała, co upływ czasu mógłby zrobić z jej twarzą.

Celeste skierowała całą swoją uwagę ze zdjęcia Mariam Apy na mnie.

- Ludzie zazwyczaj wolą, żeby malowana osoba wyglądała na obrazie młodziej.

Roześmiałam się.

- Pomyśleć tylko, Mariam Apa starsza... starsza i szczęśliwa. Czy ty, nigdy jej nie widząc, jesteś w stanie to sobie wyobrazić? Bo ja bardzo bym chciała.

- A więc zmarła? - Celeste nigdy nie gustowała w owijaniu w bawełnę.

- Moja babka uważa, że tak byłoby lepiej.

- No dobra, mów.

Pewnie nigdy nie dowiem się, jak Celeste była w stanie zrozumieć coś z tego potoku bezładnych słów, który wtedy nastąpił. Ale teraz mam już jaśniejszy umysł. A więc, głęboki wdech, zapomnijcie o Massachusetts i o locie, a opowiem wam o dniu zniknięcia Masooda, dwa tygodnie po tym, jak nazwał mnie Bibi.

Gdy po powrocie do domu stanęłam na podjeździe, wiedziałam już, że coś jest nie tak. Jedyńm zapachem, jaki uderzył mnie w nos był zapach świeżo nawiezonego ogródka sąsiadów. Wbiegłam do kuchni, w której stała tylko Ami i w zdumieniu wpatrywała się w półkę z przyprawami Masooda.

- Co się stało? Gdzie on jest? Zachorował?

- Nie, nie zachorował. Musiał wyjechać. Zmarł jego ojciec. Masood jest teraz głową rodziny. Odszedł.

- Na jak długo? - nawet przez chwilę nie pomyślałam o stracie Masooda. Zastanawiałam się tylko, jak długo będę musiała obejść się bez jego jedzenia.

- *Jaan*, on odszedł. Potrzebują go tam. To tereny feudalne, sama rozumiesz. Jego ojciec był podobno kucharzem w domu *zamindara*, więc teraz Masood musi przejąć jego obowiązki. Powiedział, że przykro mu, bo nie miał czasu się z tobą pożegnać, ale musiał złapać poranny pociąg.

- Ale jak my teraz... - rozejrzałam się po kuchni, ogromnej i obcej. - Gdzie jest Mariam Apa?

Ami pokręciła głową.

- Nie wiem. Już znaleźliśmy nowego kucharza. Tego, który pracował dla twojej Dadi, gdy Mohommed miał urlop. Zaczyna od jutra, ale nie wiem, czy Mariam... Nie wiem, co z nią. Nie wiem.

Myślałam tylko: nigdy już nie usłyszę jej głosu. Ale gdy spostrzegłam, że ręce Ami drżą nad słoiczkami przypraw, i że nie patrzy mi w oczy, pomyślałam: o Boże.

Nie chodzi tylko o to, że rozmawiała wyłącznie z nim i wyłącznie o jedzeniu. Gdy jadła, musiało to być jedzenie przygotowane przez niego. Kiedy dwa lata temu Masood wziął swojego ojca na *haj*, pielgrzymkę do Mekki, zamroził dla niej jedzenie na cały tydzień, żeby nie umarła z głodu.

- Gdzie ona jest? - spytałam.

- W swoim pokoju. Gdy Masood wyjeżdżał, poprosił ją, żeby jadła, bo inaczej zachoruje, co sprawi mu ogromny ból. Ona tylko uśmiechnęła się i... uścisnęła go. Na moment. Uścisnęła go na pożegnanie.

Patrzyłam na mamę z otwartymi ustami. Uścisk - mimo różnicy klas i płci. I nawet nie był od niej dużo starszy. Czy ich palce zetknęły się kiedykolwiek wcześniej, na przykład gdy podawali sobie pomidory? Wątpiłam w to. Uścisk? Nawet mi by to nie przyszło do głowy, choć to mnie, gdy byłam mała, Masood nosił na barana.

Gdy weszłam do pokoju Mariam Apy, leżała jak gdyby nigdy nic na łóżku, pogrążona w lekturze wieczornych gazet. Stałam w drzwiach i wypatrywałam na jej szyi pulsującej żyły, kurczowego zaciskania palców, dziwnie skulonych ramion czy przygryzionych warg. Dostrzegłam jedynie lekką zmianę w wygięciu warg, sygnalizującą świadomość, że jest obserwowana.

- Będziesz jadła? - wydusiłam z siebie i rzuciłam się na jej łóżko. Pokręciła głową, nawet na mnie nie patrząc.

Dotknęłam jej dłoni. Mariam, z głową wciąż odwróconą, odgarnęła mi włosy z twarzy. Jej palce były tak sztywne, że, przestraszona, szarpnęłam głową. Rigor mortis, pomyślałam ni w pięć, ni w dziewięć. Powinam była uzmysłwić sobie, że jest taka spięta, bo stara się powstrzymać drżenie. Ale wtedy byłam w stanie dostrzec jedynie, że jej ciało składa się z samych zagłębień. Widziałam zagłębienia pomiędzy obojczykami i szyją, zagłębienie wnętrza jej dłoni, zupełnie jakby usiłowała się powstrzymać przed wyciągnięciem ręki po jałmużnę, zagłębienie ust.

Odsunęłam się i wstałam.

- Nie możesz mi tego zrobić.

Jej powieki opadły i podniosły się. I znowu opadły.

Trzy dni później wciąż nie wzięła do ust ani kęsa, a Aba tłukł się po domu, pomstując na upartość kobiecego rodu. Ewidentnie szukał zwady, ale Ami i ja schodziłyśmy mu z drogi, bo byłyśmy zbyt przygnębione, żeby podjąć wyzwanie.

W ciszy, jaka nastąpiła po którymś z przeciągających się wybuchów, usłyszeliśmy huk otwieranych drzwi. Stała w nich Cioteczka Tano, stara przyjaciółka rodziny.

- Zgadnijcie, kogo spotkałam? - oznajmiła, nadstawiając policzek do pocałowania.

- Po prostu powiedz - zaproponował Aba.

- Pinkie!

- Myślałem, że jest w Londynie.

- Nie, nie, tę drugą Pinkie. Żonę Rasha.

Ami udała zainteresowanie.

- Naprawdę? Co u niej słyhać?

- A co nas to obchodzi? - rzucił Aba.

- Obchodzi cię, mój drogi, bo właśnie spędziła tydzień w rodzinnych stronach, ze swoim bratem, Jahangirem.

- Jahangir! Co u niego słyhać?

- A co nas to obchodzi?

Ami lekko klepnęła Abę po rękę.

- Oczywiście, że nas obchodzi. Nie widzieliśmy się z nim od...? Trzech lat? Od śmierci jego żony. Przestał przyjeżdżać do miasta. Nie wiem czemu. Na wsi musi czuć się taki samotny.

- Co za tragedia - wymamrotała Cioteczka Tano, przyciskając sobie dłoń do czoła. - Była taka młoda. Mam ich zdjęcie, zrobione podczas balu noworocznego. Wyglądają na bardzo szczęśliwych.

- No tak, to był bal przebierańców - zauważył Aba.

- Coś podobnego. Co za komentarz. Ayesha, słyszałaś, co powiedział twój mąż? Byli razem całkiem szczęśliwi.

- Szczęśliwi? Daj spokój. Wszyscy wiedzieli, że miał na boku całą masę innych kobiet - Aba wziął gazetę i otworzył ją z miną człowieka, który po toczącej się rozmowie nie spodziewa się już niczego ciekawego.

- Taaak. Ale taki już miał zwyczaj. Aba opuścił gazetę.

-Co takiego?

- Tak, tak. Nabrał takiego zwyczaju jeszcze przed ślubem. Nie można oczekiwać, żeby mężczyzna po ślubie zmieniał swoje przyzwyczajenia.

Po tej uwadze nastąpiła długa cisza. W końcu Aba spytał:

- Jak to się stało, że o tym rozmawiamy?

- Właśnie o tym chciałam z wami pomówić! Masood jest kucharzem u Jahangira!

W pokoju Mariam Apy zaskrzypiało łóżko.

- Oczywiście - zakrzyknęła Ami. - Że też nie skojarzyłam. To dlatego nazwa wioski Masooda brzmiała tak znajomo.

- Nie rozumiecie? - zawołała Cioteczka Tano. - Nie widzicie, jak to może rozwiązać problem Mariam? Jahangir jest wdowcem. Masood jest jego kucharzem. Mariam, panną umierającą z głodu.

Usiłuję sobie przypomnieć, jak na to zareagowałam. Nie pamiętam.

- Oszalałaś? - powiedział Aba, przyglądając się jej tak, jakby rozważał konieczność spryskania jej pestycydami. - Myślisz, że wydam własną kuzynkę za człowieka, którego ledwo zna? Żeby mieszkała w jakiejś

zabitej deskami wiosce? I to nie za normalnego człowieka, tylko człowieka, który ma te swoje... zwyczaje. Myślisz, że zrobię to tylko dlatego, żeby mogła dobrze jadać? Po moim trupie!

- Nie - szepnęła Ami. - Po jej trupie. Pamiętam swoją reakcję. Pomyślałam: to jak z filmu.

Jakie to absurdalne. Chciałam powiedzieć: Cioteczko Tano, wykonałaś swoje zadanie, a teraz powiedz nam, gdzie on jest. Dziękujemy, dziękujemy. Teraz możesz już iść. Stery przejmują ją.

- No to może Mariam tam zamieszka czy coś - zasugerowałam. - Kupi dom w okolicy.

- Sama? - Cioteczka Tano podniosła brwi.

Aba odrzucił gazetę i wzniosł w górę palec, mający znamionować Myśl.

- Nie, oczywiście że nie. Ale może teraz, gdy wiemy już, gdzie Masood przebywa, może... Tak. Dlaczego wcześniej nie przyszło nam to do głowy? Moglibyśmy mu płacić, żeby co tydzień przysyłał porcję jedzenia. Pociągiem. Albo nawet samolotem, jeśli w tej zapadłej dziurze mają coś na kształt lotniska. Można by to załatwić.

Mariam Apa wkroczyła lekko do pokoju. Podniosła rękę Ami, wskazała na jej obrączkę, a potem na swój nagi palec i pokiwała głową.

- Nie - powiedziałam. - Nie możesz.

Pierwszy raz w życiu zignorowała mnie. Podała Abie gazetę i pokazała mu coś.

- Co to ma być? Rozkład jazdy pociągów? Mariam, ty chyba żartujesz.

Nie żartowała. Poznałam to od razu, bo zaczęły mnie piec oczy. A więc nie mogłam zostać. Nie mogłam zostać, żeby słuchać zdezoriento-

wanej Cioteczki Tano, której szalone pomysły ktoś raz potraktował poważnie. Nie mogłam zostać, żeby patrzeć na zdumienie i wściekłość Aby. Nie mogłam zostać, żeby wysłuchiwać próśb Ami: nie postępujmy pochopnie, zaczekajmy jeszcze, nawet jeśli zdecydujesz się kogoś poślubić, to nie jego, a jeśli jego, to nie teraz, poczekaj, ślub trzeba zaplanować, tak się tego nie robi. Nie mogłam.

Pobiegłam do swojego pokoju, zamknęłam drzwi na klucz i rozpłakałam się, choć nie wiedziałam dlaczego. Zaczęłam walić pięściami w ścianę. Minęło pół godziny, a Mariam Apa nie zapukała, więc płakałam dalej. Kiedy usłyszałam, jak Aba wyciąga walizki ze schowka, zwlekłam się z łóżka. Wyszłam ze swojego pokoju i udałam się do Mariam. Czekała już na mnie, z ramionami otwartymi tylko na tyle, żebym się w nie zmieściła. Moje cierpienie zmniejszyło się odrobinę, bo choć wiedziałam, że odejdzie, wiedziałam też, że on - Jahangir - będzie musiał ją pokochać.

- Mieliśmy w klasie chłopaka, który nazywał się Jahangir - wyszłochałam. - Wołaliśmy na niego *Jangia* - majtasy. - Obie roześmiałyśmy się, wciąż trwając w uścisku.

Ona i Aba wyjechali następnego dnia. Mariam spakowała wszystkie swoje ulubione ubrania i książki. Ami wciąż powtarzała w wielkim zaniepokojeniu:

- Ale przecież dopiero masz go poznać. To wszystko.

Do ślubu, jeśli w ogóle do niego dojdzie, minie jeszcze sporo czasu.

Jednak znała Mariam Apę na tyle dobrze, że wiedziała, iż nie będzie żadnego planowania, przygotowań, poszanowania dla tradycji i sporządzania listy gości, która uwzględniałaby wszystkich ludzi, jacy kiedykolwiek mieli z Mariam Apą czy jej krewnymi jakikolwiek kontakt.

Gdy wyjechali, w domu zapanowała dziwna cisza.

Ami i ja udałyśmy się do osobnych pokoi i wyobrażałyśmy sobie, co czeka Mariam Apę na końcu tej podróży. Nie mogłam wyobrazić sobie Faceta Od Majtasów inaczej niż jako karykaturę samego siebie. Zadręczałam się myślą, jak Mariam powita Masooda - czy znowu go uściska? I dlaczego, zastanawiałam się, dlaczego, gdy wymyślaliśmy sposoby na ocalenie Mariam Apy, o jednym z nich nawet nie wspomnieliśmy?

Tego dnia kilka razy rozmyślałam, jak będzie się nam żyło bez Mariam Apy. Przekonywałam się, że mnie też tu wkrótce nie będzie, a może do czasu, gdy wrócę na wakacje, Mariam Apa zdąży już przekonać Majtasa, żeby przeprowadzić się do Karaczi i wybudować dom na pustej działce obok nas, z wielką kuchnią dla Masooda. Następnego dnia Aba wrócił sam,

- No i? - Ami i ja powitałyśmy go w drzwiach.

- No i wyszła za niego.

Spojrzałam na Ami, a ona na mnie. Wiedziałam, że myśli to samo co ja. Tyle tylko, że ją to bardziej przeraża.

Obie zastanawiałyśmy się: Jak? Jak to ująć? Ujęłyśmy to najprościej, jak się dało:

- Za kogo?

Całe życie spędziłam pod tym dachem, ale przysięgam, zadałam to pytanie, bo nie znałam odpowiedzi.

Rozdział dziewiąty



Kolejny raz postawić stopę na ojczystej ziemi. Nowoczesne lotniska uniemożliwiają nam odprawienie tego rytuału. Żadnej ziemi. Od razu znajdujemy się w nadziemnym korytarzu, który prowadzi nas w stronę kontroli celnej i paszportowej oraz punktu wydawania bagażu. Pozbawiona możliwości odstawiania Ryszarda II („tak łkając, śmiejąc się, witam cię, moja ziemio”⁷), nauczyłam się wyciągać głowę do przodu albo w bok, w stronę okna i wyczekiwać na przechył skrzydła samolotu, moment opuszczenia strefy chmur, i - już tuż-tuż - wypatrywać olbrzymiej polaci Karaczi, skrzęcej się pod pociemniałym niebem. Zawsze kochałam tupet tego miasta, tę determinację, która zmusza je noc w noc do zapalania świateł. Nie w nadziei na pobicie gwiazdzistości nieba, ale z samej potrzeby rywalizacji. W porównaniu z Karaczi, podświetlone wieżowce wypadają blado. Wrzeszczą: jestem wyższy, jaśniej oświetlony, hej, spójrzcie na mnie! - i współzawodniczą jedynie między sobą.

Gdy tak patrzyłam na ziemię w dole, część świateł nagle zamrugła i zgasła. Na pokładzie rozległo się zbiorowe, na poły rozbawione, na poły rozdrażnione westchnienie. „Awaria *bijli*” - powiedział ktoś za mną i wszyscy obserwowaliśmy, ile świateł znowu rozbłyśnie, co oznaczałoby dopływ prądu z generatora awaryjnego. Okazało się, że niewiele, a głos za mną rzucił w urdu: „No, coś mi się widzi, że to nie Clifton ani Defen-

⁷ *Ryszard II*, akt 3, scena 2, w: William Shakespeare, *Dziela wszystkie*, t. VIII, *Kroniki*, tłumaczenie Macieja Słomczyńskiego, Wydawnictwo Zielona Sowa, str. 61.

ce". Na wzmiankę o tych elitarnych dzielnicach pasażerowie wo-kół mnie zaczęli się śmiać, wszyscy z wyjątkiem kobiety siedzącej po drugiej stronie przejścia, która pochwyciła moje spojrzenie i uśmiechnęła się do mnie smutno. Każda z nas rozpoznała w tej drugiej osobę, która mieszkała albo spokojnie mogłaby mieszkać w zamożnej okolicy.

Podczas kontroli paszportowej ja i ta kobieta znalazłyśmy się na samym końcu długiej kolejki, złożonej głównie z mężczyzn. Jednocześnie zawołałyśmy: „Damy!”.

Okrzyk ten natychmiast podjęli mężczyźni z kolejki: „Damy! Damy tędy!” i mimo kilku niechętnych pomruków natychmiast przepuszczono nas przodem.

Urzędnik lotniska spojrzał na moje zdjęcie w paszporcie. Zrobiłam je rok wcześniej, gdy miałam akurat wyjątkowo dobry dzień. Urzędnik pociągnął nosem i zaczął mi się usilnie przyglądać, w końcu stwierdził, że to zdjęcie mojej starszej siostry. Przysunął mi je do twarzy, żeby znaleźć ostateczne potwierdzenie dla swojej teorii, ale mężczyźni stojący wokół mnie rozwiali te wątpliwości. „O, zna pan przecież tych artystów fotografów. Przy wywoływaniu zawsze coś przy zdjęciu pomajstrują” - powiedział jeden. Drugi potwierdził: „Retusz, retusz”.

A trzeci podsumował: „To wszystko kobiece sprawy”. Na co urzędnik burknął: „A mi się wydaje, że czasami do kobiecych spraw przywiązujemy za dużą wagę”. Jednak przepuścił mnie.

Na bagaż, całe szczęście, czekałam krótko. Gdy bagażowy wyprowadzał moją walizkę z terminalu, usłyszałam jeszcze obwieszczenie płynące z głośników:

„W całym terminalu obowiązuje zakaz palenia i żucia *paanu*”. Skojażyło mi się to z czerwonymi zębami Che i nagle ucieszyłam się, że Celeste nie mogła sobie pozwolić na skorzystanie z mojego zaproszenia i spędzenia lata w Karaczi.

Po wyjściu z terminalu od razu natknęłam się na czekającego na mnie Sameera, który powitał mnie tak wylewnym uściskiem, że na nasz widok ktoś zaczął gwizdać.

- Boże, dziewczyno! - wyszczerzył się Sameer. - Widok twój tratuje moje serce.

- Uważaj, bo zaraz całego cię stratuję – roześmiałam się. - Ale, Sammy, ten upał!

- Upał to jeszcze nic, problemem jest wilgotność - machnął ręką w kierunku swojego samochodu. – Twój rodzic mieli cię odebrać, ale odwoziłem na lotnisko współpracownika, więc zaproponowałem, że mogę na ciebie zaczekać.

- Współpracownika? - podniosłam brwi. - A jak też odnajdujesz się w świecie korporacji?

Zmarszczył się.

- Lepiej by było, gdyby ten kraj miał jakąś godną wzmianki politykę gospodarczą. Moja rada brzmi: studiuj najdłużej jak się da - otoczył mnie ramieniem. - A poza tym, że poczułem przemożną chęć powitania ulubionej kuzynki, pojawiła się jeszcze kwestia telefonu od US - Ukochanej Siostry, która zadzwoniła, żeby powiedzieć mi, co się stało i że jesteś trochę roztrzęsiona. Więc przybyłem zaoferować ci me ramię.

Wzruszyłam ramionami.

- Kupił mi kawę. I to by było na tyle.

- Kto?

- Jak to kto? Więc o czym rozmawiałeś z Samią?

- O Baji. O drzewie genealogicznym. O tym, co gwiazdy mówią o tobie i Mariam.

- A. O tym.

- O tym. - Nic już nie powiedział. Wsiedliśmy do nowiutkiego oliwkowego civica (wyglądało więc na to, że brak polityki gospodarczej nie doskwiera Sameerowi aż tak bardzo), zapłaciliśmy bagażowemu (ignorując jego błagania o dolary) i opuściliśmy względny porządek lotniska, wjeżdżając w zgiełk kolorowych autobusów, trąbiących samochodów i śmigających skuterów. Obok wlekły się ciężarówki załadowane belami siana, przypominającymi grzyby, więc Sameer zjechał na skrajny pas i zwolnił, żeby je przepuścić. Mężczyzna z samochodu obok otworzył przyciemnianą szybę i uwodzicielsko uniósł brew znad przeciwsłonecznych okularów w stylu lat osiemdziesiątych. Wkrótce straciliśmy go z oczu, bo widok przesłonił jakiś van, z naklejonymi na tylną szybę pojedynczymi literami alfabetu, układającymi się w napis: JESTEM TOMKIEM SAWYEREM.

Uśmiełam się do łez.

- Ach, te absurdy, jakie Karaczi oferuje nam na każdym kroku tylko po to, żeby nasze poczucie humoru pozostało nienaruszone.

- Te absurdy to nic w porównaniu z wiarą w stare rodzinne mity.

- Sam Mere! - walnęłam go pięścią w ramię. - Gdyby to była jedna para bliźniąt albo dwie, można by to uznać za przypadek. Ale tak wiele, tyle lat i za każdym razem... - Wyprzedziliśmy Tomka Sawyera, który okazał się być kobietą. - Oczywiście, wiem, że to absurdalne. I naprawdę potrzeba sporego naciągania, żeby uwierzyć, że Mariam i ja... ale i tak w dalszym ciągu czegoś tu nie rozumiem.

Był na tyle uprzejmy, że nie śmiał się z mojej potrzeby rozumienia wszystkiego i wszystkich.

- Dlatego właśnie tym razem nie przyjechałaś w środku czerwca?

- Mówiła coś o tym?

- Twoja dadi? Niezupełnie. Ale kilka godzin temu zadzwoniła do mnie i zrobiła mi kazanie, żebym jechał ostrożnie i uważał na ograniczenia prędkości.

- A to tu są jakieś ograniczenia prędkości?

- W teorii. Denerwujesz się, że wkrótce znowu ją zobaczysz?

Denerwowałam się? Może i tak, ale to określenie nie wydawało mi się właściwe. Kto pierwszy zdecydował, że coś tak skomplikowanego jak emocje można zamknąć w słowa. Oczywiście, kiedyś moje uczucia w stosunku do Dadi były tak proste, że wystarczały na nie tylko dwie sylaby: „miłość”. A potem usiłowałam przekonać samą siebie, że moje uczucie jest w dalszym ciągu proste. Jednak powiększyło się tylko o jedną sylabę, antonim miłości. Ale nigdy nie mogłam w to uwierzyć.

- Nie ma jej chyba u mnie w domu, co? - spytałam.

- Teraz? Nie, nie sędzę. Wydaje mi się, że miała na dzisiaj dość stresów związanych z rodziną.

- Jakich? Co się stało?

- Mama właśnie jej powiedziała. Przyjeżdża moja babcia.

- Meher Dadi? Boże, miej nas w swojej opiece.

Nie zrozumcie mnie źle. Siostra Dadi, Meher, jest babcią, jaką zawsze chciałam mieć. Jest o dwa lata młodsza od Dadi i dość wcześnie opowiadała rolę zbuntowanej młodszej siostry. Gdy miała trzynaście lat oświadczyła, że ma zamiar uciec z domu, a swoją obietnicę spełniła pięć lat później. Mężczyzna, z którym uciekła, pochodził z bardzo dobrej ro-

dziny. Jego przymioty sprawiały, że w oczach mojego pradziadka i tak był faworytem do ręki Meher, zatem obie rodziny były zadowolone z tego związku. (Kiedyś, gdy oglądałyśmy razem *Burzę*, Dadi zaczęła się śmiać z planów Prospera, aby wydać Mirandę za Ferdynanda i oświadczyła: „Mój ojciec był Prosperem, a Meher Mirandą”). Mąż Meher zmarł, zanim ta zdążyła dojrzeć do pozycji szanowanej wdowy. Odtąd Meher spędzała wieczory, grając w brydża z moim tatą i jego kolegami, i dopytywała się, kiedy któryś z nich zamierza ożenić się z jej córką. Jeden z nich w końcu to zrobił - Zaheer, stary przyjaciel taty. Zaraz po ich ślubie Meher sprzedała dom i oznajmiła, że wybiera się do Grecji, a przy okazji może jeszcze zacząć brać lekcje pilotażu. Swoją córkę, Zainab, spytała: „Zaheer jest bogaty i w najbliższym czasie raczej nie będziecie się rozwodzić, tak więc chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym przepuściła cały mój majątek?”.

Potem wyruszyła nad Morze Śródziemne, gdzie nie tylko nie przepuściła majątku, ale pomnożyła go za sprawą kilku rozsądnych inwestycji na europejskim rynku papierów wartościowych. Co jakiś czas wracała do Karaczi. Wtedy między nią a Dadi dochodziło do karczemnych awantur. Kłóciły się o błahostki. Miałam piętnaście lat, gdy zorientowałam się, że „Apollo”, który za nią tęsknił, a przez którego nie mogła zostawać w Karaczi na dłużej, to wcale nie pies. I owszem, nauczyła się latać. Na dowód tego miała nawet gogle lotnicze.

Samia powiedziała kiedyś, że: „Gdy dokopie się do wnętrza obu siostr, to w gruncie rzeczy okazuje się, że są jedną i tą samą osobą”, na co ja odparłam, że Meher może nawet mogłoby to przekonać, ale Abida stwierdziłaby z pewnością, że kopanie w jakimś gruncie nie licuje z jej godnością.

- Więc co myślisz o Baji? - Sameer machnął ręką, usiłując odgonić chłopca, który wyskoczył na środek ulicy, żeby na czerwonym świetle umyć nam przednią szybę. Chłopak zignorował go i zaczął energicznie przecierać ją brudną szmatką, zostawiającą na szybie tłuste ślady. Sameer otworzył okno i zaczął się na niego wydzierać, a chłopak śmignął przed maską i z jeszcze większą energią zabrał się za szybę z mojej strony. Podniosłam leżący na podłodze naddarty banknot dwurupiowy i tuż po zmianie świateł wręczyłam go chłopakowi.

- Byłam zbyt przerażona, żeby myśleć. Ale Rehana Apa jest czarująca - nagle przyszło mi do głowy coś, o czym powinnam była pomyśleć już dawniej. - Sameer, ilu znasz krewnych z Indii?

Sameer pokręcił głową i spryskał szybę.

- Ja, osobiście? Żadnych. Samia i Rehana Apa poznały się w Londynie kilka tygodni po moim wyjeździe. Tak więc nie znam ani Rehany, ani Baji, ani Stinko, ani Skunky, czy jak tam się te dzieci nazywają. Pamiętasz tę krewną z Indii, którą widziałas u nas, jak byliśmy dziećmi? Tę, która według ciebie mówiła o damie nazwiskiem Prue Frock? No więc ona napisała do mojej babci list z kondolencjami po śmierci dziadka, na który odpowiedziała mama, kończąc go grzecznościowym zwrotem, w rodzaju jeśli-kiedyś-będziesz-w-Karaczi. Nikt się nie spodziewał, że Prue Frock skorzysta z tego zaproszenia, więc gdy kilka tygodni później odpisała (Boże, nie wierzę, że wcześniej ci o tym nie mówiłem), powstała wielka *tamasha*, bo akurat wybierała się na kilka godzin do Karaczi. Stawaliśmy na głowie, żeby utrzymać to w tajemnicy przed twoją dadi. Prue Frock już więcej się nie odezwała. Może umarła? – Wzruszył ramionami, dłonie wciąż opierając na kierownicy. - Nasze dalsze kuzynki, wiesz, Wykrochmalone Ciotki i cała ta linia, pewnie utrzymują dawne kontakty.

Może niektóre z nich bywały nawet po drugiej stronie granicy. A teraz, gdy i tak wszyscy tak dużo podróżują... Wiesz, że mały Usman prawdopodobnie dostanie się na Oksford? I to do kolegium Akbara i Sulaimana. Więc chyba tak, faktycznie coraz częściej będziemy się spotykać na neutralnym gruncie. Ale moim zdaniem, im bliżej jest się związanym z twoją dadi, tym mniejsze ma się szanse na usłyszenie o jakimś rodzinnym pojednaniu. Wiesz, że ją kocham, ale zawsze miała odpały na punkcie rodziny z Indii.

- Wyobrażasz to sobie? Mógłbyś zerwać kontakty ze mną albo z Samią?

Dotknął ręką jednego ucha, potem drugiego.

- Boże, broń nas przed takimi okropieństwami - powiedział to z taką żarliwością w głosie, że przez chwilę myślałam, że się ze mnie nabija.

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że bank wyśle mnie do Hongkongu. To atrakcyjna propozycja, i Bóg jeden wie, jak bardzo chciałbym czasami uciec od tutejszej rozlazłości, przemocy, korupcji... Odrzucenie tej oferty byłoby głupotą. Zawodowym samobójstwem. Ale w żadnym miejscu nie czuję się tak dobrze jak tutaj. Żadne towarzystwo nie zastąpi towarzystwa rodziny. Tego nauczyłem się wcollegeu.

Wyłączyłam klimatyzację i otworzyłam okno. Byliśmy teraz o wiele bliżej morza. Przy prędkości, z jaką jechał Sameer, dawało to przyjemny wiaterek. Wciągnęłam w nozdrza pizmowy zapach *motii* buchający zza murów domów i podgłośniłam radio. Dire Straits i mój najukochańszy album wszech czasów, *Brothers In Arms*. To mógł być każdy inny dzień czy każdy inny rok zeszłej dekady. Sameer prowadzi, ja zajmuję się muzyką i wentylacją. Toczymy niespieszne rozmowy o tym, co będziemy

robić w przyszłości i czego nie wiedzieliśmy o przeszłości, a światła drogowe jak zwykle stanowią dla Sameera jedynie sugestię, a nie nakaz.

Chłopaki z Karaczi prowadzą samochód w specyficzny sposób - jedną ręką. Zdałam sobie z tego sprawę, dopiero gdy pojechałam do Stanów. Odsuwają siedzenie do tyłu, dalej niż to konieczne, lewą rękę opierają na udzie, żeby w każdej chwili móc zmienić bieg, a prawą, idealnie prostą, wyciągają sztywno przed siebie i ściskają nią kierownicę. Gdy trzeba skrócić, otwierają pięść i, otwartą dłonią opartą na kierownicy, wykonują okrężny ruch, który przypomina czyszczenie okna szmatką. To może i głupie, ale bardzo seksowne.

- No dobra, przyznaj się - rzucił Sameer.

- Do czego?

- Kim jest ten tajemniczy „on”, o którym zaczęłaś mówić na lotnisku? Ten, który kupił ci kawę?

- Właśnie zastanawiałam się, jak on prowadzi. Spodobałby ci się. Byłeś kiedyś w Liaquatabadzie?

- Mam nadzieję, że to była zmiana tematu.

- Dlaczego? Cholera, dlaczego?

- Bo skoczyły ceny benzyny. Imię?

- Khaleel. Zmień temat.

- Khaleel? A więc *desi*.

- Zmień temat, Sameer.

- I mieszka w Liaquatabadzie? Poważnie?

- Zmień temat, proszę cię. Sammy, proszę.

- Dobra. Ale kiedyś musimy o tym pogadać. Hej, a słyszałaś o Godzilce? Jaszczurce w mojej łazience?

Zamknęłam oczy i zapadłam w fotel.

- Tak. Była tego samego koloru co podłoga i poruszała się z zawrotną prędkością. Ale opowiedz, nie kępuj się.

Gdy ponownie otworzyłam oczy, po drugiej stronie przedniej szyby znajdowała się ściana mojego domu, a tata wsadzał właśnie głowę przez okno, żeby pociągnąć mnie za nos.

- O, Geraldine Chraplin. Madame Drzemka Jahan. Moja mama dała Sameerowi prztyczka w ucho.

- Sammy, nasz zbawienny środek nasenny.

Dom.

TLR

Rozdział dziesiąty



dy w końcu obudziłam się następnego dnia, w mojej głowie powstała myśl, że dzisiaj zobaczę Dadi. Zignorowałam ją.

Kilka minut później, gdy popchnęłam drzwi do kuchni, zastałam w niej Wasima, klęczącego na podłodze i ugniatającego mąkę do *chappatis*. Uśmiechnął się na mój widok.

- Kim jest ta nieznajoma? *Mali* chciał rano podlać rośliny pod twoim oknem - udał, że trzyma w ręku wąż i wydobył z siebie dźwięk, jaki wydaje tryskająca woda - ale zabroniłem mu tego, bo mógłby cię obudzić. Gości w tym domu traktuje się po królewsku.

- Mam nadzieję, że i ty będziesz mnie tak traktować - chciałam powiedzieć. Jednak mój urdu nigdy nie był na zbyt dobrym poziomie, więc *umeed* pomyliło mi się z *amrood* i powiedziałam w końcu: „Mam guajawę, że i ty będziesz mnie tak traktować”.

Wasim roześmiał się i nastawił wodę.

- Ciągłe myślisz o jedzeniu.

W kuchni Masooda jakże mogło być inaczej? Usiadłam na blacie, stopy oparłam na stołku. Rankami, przed wyjściem do szkoły, lubiłam siadać tu i patrzeć, jak Masood przygotowuje lunch. Zawsze wstawał przed świtem, żeby przyrządzić potrawy, które poprzedniego dnia zleciła mu Mariam Apa. „Słońce może się wspinać albo spłonąć” - powiadał często. „Pierwsze etapy wędrówki Słońca po niebie są tymi najbardziej stromymi i śliskimi. Zupełnie jak etapy wspinaczki na K2. A więc Aftab

Sahib wspina się po niebie i nic innego nie robi. Ale gdy znajduje się blisko szczytu, jest mu już tak łatwo, jakby wspinał się po łagodnym wzgórzu, więc może rozglądać się po kuchniach i rozsyłać promienie".

Jedyny moment chwały na lekcjach języka urdu przeżyłam, gdy zgłosiłam się do odpowiedzi i powiedziałam, że tak, znam jeszcze inne określenie na słońce, oprócz *sooraj*. Brzmi ono: *aftab*. O mały włos walenie byłoby byka, dodając *Sahib*. Zdecydowałam szybko, że taka formalność jest uzasadniona w przypadku Masooda, który musi zwracać się do słońca per pan, ale ja mogę mówić do słońca po imieniu.

Wasim zapytał:

- Gotowałaś tam?

„Tam” oznaczało Amerykę. Pokręciłam głową. Dawniej patrzyłam, jak gotuje Masood. Widziałam kształty i kolory zamieniające się w fakturę. Byłam świadkiem, jak zapach przekształca się w aromat. Obserwowałam, jak obtoczone w przyprawach warzywa, które w ogródku rosły każde z osobna, na patelni Masooda owijały się wokół siebie. Gotować? Znam swoją wartość, ale znam też swoje granice.

Dostałam filiżankę herbaty i wyszłam z kuchni. Gdy cztery lata temu Wasim zaczął u nas pracować, byłam pewna, że nie zagrzeje tu miejsca. Jak ktoś mógł zastąpić Masooda? Jeden kucharz już próbował, ale odszedł. Zatrudnił się u krewnych, którzy pobrali się kilka dni po ucieczce Mariana i Masooda. Z Wasimem było inaczej. Wcześniej zorientował się, że wszyscy dość niechętnie składamy zamówienia, więc bez żadnych pytań czy komentarzy przejął inicjatywę i zaczął serwować potrawy, które według wszelkich standardów (tyle że nie Masoodowych) były naprawdę bardzo dobre. Sądzę, że musiał wiedzieć o Mariam i Masoodzie. W końcu Cioteczka Tano, jedna ze znamienitszych plotkarek w Karaczi,

wszystkie najpiękniejsze szczegóły tej historii zasłyszała podobno od *ayi* swoich dzieci. W związku z tym Aba stwierdził, że jeśli złożą się razem siatkę informacyjną służących oraz kółko brydżowe Dadi, pakistański wywiad może pakować manatki.

Sącząc herbatę, podeszłam do drzwi pokoju Mariam. Czas na rytuał, który od czterech lat był integralną częścią mojego pierwszego poranka w domu. Jednak tym razem do drzwi przyklejona była karteczka, a jej radośna żółcień zniweczyła moje wysiłki stworzenia nastrojowej atmosfery. „Dziecko!” - głosił napis, skreślony ręką mamy. „Dopiero co wróciłaś do domu po dziewięciomiesięcznej nieobecności, a nas (twoich rodziców) nie ma przy twoim boku, żeby po przebudzeniu nakarmić cię tostami i jajeczniczką *rumbletumble*. Hai hai! Kryzys w pracy. Pewien nadęty politykier doszedł do wniosku, że potrzebny mu jest dłuższy podjazd, na wypadek gdyby przyjmował VIP-ów czy VVIP-ów, o VVVIP-ach nie wspominając. Prace budowlane są już w toku! Prawdziwy *musibat*. Ale na lunch wrócimy, o ile nie zagrozi nam śmiercią. Może nawet będziesz jeszcze spała, w takim wypadku podrzemy tę wiadomość i udamy, że cały czas byliśmy w domu. Buziaki, Ami”. I to wszystko na jednej, maleńkiej karteczce, zapisanej z dwóch stron.

Wyrzuciłam ją z pamięci, zamknęłam oczy, otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Przypomniałam sobie, jak pokój Mariam Apy wyglądał kiedyś. Na ścianie - wiersz Ghaliba, zilustrowany przez Sadequaina. Grafika przedstawiała kartkę papieru, wypełnioną do połowy słowami w urdu. Na pierwszym planie widać było dłonie o krwawiących opuszkach palców. Jedna z nich dzierżyła zakrwawione pióro, gotowe do zanurzenia się w krwi ciekącej z podrapanych palców. Towarzyszący tej grafice kuplet potrafiłam wyrecytować, gdy miałam trzy latka:

در دِلِ اِنْفِوَسِ كِتَبِ جَاوِدِ اِنْ كَوَكَلِ اَلْوَدِ اَلْغَلِيَانِ وَكَارِ اِنْفِوَسِ اَخَا سَخْوَرِ چَكَانِ اِنْفَا

W konwencjonalnym tłumaczeniu brzmi to mniej więcej tak: „Jak długo pisać mam o bolącym sercu? Pójdź! Pokażę mej miłości/zranione palce, skrwawione pióro”. Jednak dla mojej rodziny słowa „dard-e-dil” na początku kupletu zawsze stanowiły inwokację naszego nazwiska, a nie dosłownie „bolące serce”. Więc wers ten czytamy tak: „Jak długo pisać mam o Dard-e-Dilach?”.

A ta bliżej nieokreślona Miłość, którą przyzywa i o której zazwyczaj mówi się, że może odnosić się zarówno do kobiety, jak i mężczyzny? Naszym zdaniem odnosi się to do wszystkich nas: tych, którzy byliśmy i tych, którzy będziemy. Nic dziwnego, że jesteśmy tacy pokręceni. W wieku trzech lat wyobrażałam sobie, że Ghalib - Ghalib! - w niemym błaganiu pokazuje mi swoje zakrwawione ręce, abym pozwoliła mu przestać.

W biblioteczce było jeszcze więcej Ghaliba niż na ścianie. Była też Woolf, był Faiz, Faulkner, Rumi i Hikmet, i cała półka poświęcona Agacie Christie. Niektórzy uznawali to za dziwne, ale ja zawsze widziałam w tym głęboki sens - kobieta zamykająca się przed światem otacza się książkami. Celeste spytała mnie kiedyś: „Czy ona potrafiła... czy pisała? Żeby się z tobą porozumieć?”. Nie, nie pisała. Ale oczywiście mogła, gdyby tylko chciała. Szuflada jej szafki nocnej wypełniona była po brzegi eklektycznym zbiorem muzyki. Każda kasetka opatrzona była opisem,

sporządzonym jej własnym, pochyłym charakterem pisma. Na niższej półce szafki stał przenośny magnetofon.

Dlaczego był przenośny?

Otworzyłam oczy. Pokoju Mariam Apy już nie było. Stałam w jakimś salonie z miękkimi kanapami, gotowymi na przyjęcie ewentualnych gości i przekształcenie się w łóżka. Od czasu mojej ostatniej wizyty zmieniono tu nawet zasłony, zastępując cytrynowe, wybrane przez Mariam, biało-niebieskimi w geometryczne wzory. Pokój Mariam Apy przetrwał tylko w rytuale moich wspomnień i tylko tam czekał na jej powrót.

Przeszłam po marmurowej posadzce, położyłam się na kanapie i wyjrzałam przez drzwi wiodące na taras i ogród położony za nim. Mariam i ja dzieliłyśmy ten taras, bo nasze pokoje przylegały do siebie. Sączyłam herbatę, spoglądając na spodeczek.

Cał był krótko obcięty z tyłu głowy, a odległość pomiędzy linią jego włosów a kołnierzykiem wynosiła tyle, co szerokość dłoni. Gdy się zegnaliśmy, położyłam mu tam rękę, palcami zapuszczając się w dół, w stronę kręgosłupa.

Dlaczego odtwarzacz był przenośny?

Cztery lata temu Sameer spytał:

- Myślisz, że oni... no wiesz? W domu twoich rodziców?

- Nie bądź głupi - odparłam. - Jasne, że nie. To chyba oczywiste.

Prawdą jest, że moi rodzice i ja śpimy bardzo lekko, a wraz ze zwiększaniem się liczby włamań do domów znajomych, stawaliśmy się coraz bardziej wyczuleni na nocne hałasy. Usłyszelibyśmy więc trzeszczenie podłogi, szelest ubrania, przemykanie się na palcach. Ale prawdą jest też, że cztery lata temu pożądanie było dla mnie abstrakcją.

Położyłam dłoń na ścianie nad kanapą. Pod tą właśnie ścianą stało łóżko Mariam Apy. Ścianę tę - uzmysłowiłam to sobie dopiero w zeszłym roku - dzieliła częściowo z kwaterą Masooda. Postukałam w nią, przyłożyłam do niej ucho. Solidny mur. Gdy prawie piętnaście lat temu rodzice projektowali nasz dom, w tym miejscu widzieli mój pokój, a że wybiegali myślą naprzód, do czasów gdy będę nastolatką i ogłuszający ryk muzyki stanie się w tych okolicach nieunikniony, postarali się, aby przynajmniej ściany były dźwiękoszczelne. Nikt już nie pamięta jak to się stało, że skończyłam w pokoju obok.

Wyszłam na taras. Nie tak dawno temu, jeszcze w collegeu, obudziłam się raz w środku nocy z wizją, jak Mariam Apa w nocnej koszuli otwiera drzwi na taras, wykrada się do ogrodu i skręca w stronę kwatery Masooda. Ale w końcu ogrodu był mur, oddzielający trawnik od betonowego chodnika wokół kuchni i pomieszczeń dla służby, a pod murem ro-

sło wielkie, pnące drzewo *falsa*. Z ulgą wtuliłam się w poduszkę, bo przypomniałam sobie o tym drzewie, a zwłaszcza o jaszczurkach, *girgirtach*, które śmigały po jego gałęziach i odstraszały wszystkich domowników. Opowiedziałam o tym śnie Celeste, a ona stwierdziła: „Daj spokój. Platoniczny romans, który mógł trwać od bez mała osiemnastu lat?”. Uparcie odparłam: „W Pakistanie nic nie jest tak oczywiste jak w Ameryce. Nasze historie miłosne opowiadają o tęsknocie, rozłące i maleńkich gestach, które nabierają wielkiego znaczenia”. Ale Celeste tylko przewróciła oczami. „Hormony to hormony” - podsumowała.

Khaleel. Khaleel. Khaleel.

Zaczęłam wodzić palcem po przedramieniu. Zaczęłam pisać paznokciem jego imię w urdu. Napisałam osobno litery **K L E L** ale pomyślałam, że są zbyt okrągłe.

Potem złączyłam je w: **K L E L** i znowu wodziłam palcem po literach. We wczesnym islamie nie wolno było malować portretów. Zawsze słyszałam, że zakaz ten miał na celu zniechęcić ludzi do bałwochwalstwa, które mogłyby zapoczątkować wizerunki Allacha czy Proroka. Czy nie jest jednak możliwe, że zakaz brał też pod uwagę fakt, że słowa mają niezbadaną, niewykorzystaną moc? Gdy artyści zarzucili portretowanie, a zajęli się kaligrafią, olśniewający blask ich sztuki przywrócił słowom moc, od której oczy zachodziły łzami, a serca napełniały się tęsknotą.

Z zamyślenia wyrwał mnie dzwonek telefonu.

- Nie śpisz? - spytał Aba, gdy w końcu udało mi się znaleźć telefon schowany za stertą książek. - To cud!

- Jak tam podjazd?

- Z właściwym sobie urokiem udało mi się przekonać prześwieconego ministra, że podjazd powinien pozostać obecnej długości.

- A jak to osiągnąłeś?

- Powiedziałem, że zamiast podwajać długość podjazdu, powinienem podwoić intensywność czerwieni dywanu.

- I to zostało uznane za dobre rozwiązanie?

- Czemu nie? W długim podjeździe nie ma nic oryginalnego. Ale mieć najczerwieńszy dywan w całym kraju - to już coś. Tyle tylko, że teraz twoja mama i ja musimy znaleźć odpowiedni dywan.

- Czasem zapominam, jaki potrafisz być zabawny.

- Czasem zapominasz. Twoja Dadi właśnie do ciebie jedzie.

- Teraz?

- Teraz. Powiedziałem jej, że mama i ja jesteśmy w domu. Skłamałem.

- Czemu?

- Bo cię kocham. Pa.

Stałam ze słuchawką w dłoni. Teraz nie mogłam już dłużej ignorować, unikać, wystrzegać się pierwszej myśli poranka.

Dadi.

TLR

Rozdział jedenasty



stosunku do Mariam Apy Dadi zawsze była dziwna.

W okolicy moich narodzin i zjawienia się Mariam, Dadi bawiła akuraty w Paryżu, u mojego stryja. Nabrała tego zwyczaju w pierwsze wakacje po przedwczesnej śmierci Akbara, mojego dziadka. Jego włosy zaczynały siwieć, a wzrok nie był już tak sokoli jak dawniej, ale siostra Dadi, Meher, opowiadając o dniu, gdy widziała go po raz ostatni, w wieczór poprzedzający wylew, nigdy nie wspomina nic na temat tych ułomności. Meher wróciła z Grecji i przyjechała w odwiedziny do moich dziadków w Karaczi. Gdy parkowała samochód na podjeździe, słońce właśnie zachodziło. Na jego tle, w ogrodzie, dostrzegła otoczonego innymi graczami mężczyznę z kijem do krykieta w dłoni. Piłka była krótka. Mężczyzna z kijem tanecznym krokiem ruszył do przodu, przyklęknął i posłał z gracją piłkę poza pole...

„Z gracją trojaczków, w czasach ich młodości” - powiedziała Meher Dadi, gdy pierwszy raz opowiadała mi tę historię. „Taimur, Akbar, Sulaiman. To mógł być każdy z nich: młodość, uroda, cały świat był u jego... ich stóp.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, ilu rzeczy musiał się wyrzec. A więc, Aliyo, wycofałam się i odjechałam stamtąd. Nie chciałam czekać, aż zmieni się światło. Nie chciałam, aby zmienił pozycję i znowu stał się

tym zrzedliwym dziadem, którego znałam tak długo, że zdążyłam już zapomnieć, jaki był dawny Akbar". Zamknęła oczy. Wiedziała, że przypomina sobie tego dawnego Akbara, a w jej wyobraźni stoi on pomiędzy swoimi braćmi.

Po śmierci Akbara Dadi była niepokieszona. Odnoszę wrażenie, że wszyscy starsi krewni przyjmowali to z pewnym zdziwieniem. Więc gdy mój stryj, Ali, zaprosił ją do siebie, do Paryża, cała rodzina uznała, że przyda jej się jakaś odmiana. Jeszcze przed końcem lata Ali Chacha i jego żona przekonali Dadi, że powinna odwiedzać ich co roku. Babcia tylko raz rozważała odstępnie od tego rytuału - gdy Ami była w ciąży. Zaoferowała wtedy, że zostanie w Karaczi, ale Ami odparła: „Nie, jedź. Ale wróć wcześniej, a nie później". Tak też zrobiła, a po powrocie Aba powitał ją w drzwiach słowami:

- Zgadnij, Mamo, co się stało! Mam dla ciebie niespodziankę. Do rodziny dołączyła nie jedna, a dwie osoby.

- Bliźniaczki? - wykrztusiła Dadi.

- Nie, nie. Zamieszkała z nami córka Taimura, Mariam.

Ami stała za nią, zwarta i gotowa, więc gdy Dadi zaczęła osuwać się na podłogę, została od razu podtrzymana.

- Dałbyś spokój, Nasser - podsumowała Ami.

Ja jestem po stronie taty. Reakcja Dadi wydaje mi się mocno przesadzona. Ale nawet biorąc pod uwagę to, jak długo nie widziała Taimura, przesadą nie wydaje mi się fakt, że na wieść o jego śmierci nie mogła przestać płakać.

Chciała wiedzieć wszystko. Jak, kiedy i gdzie się wcześniej podziwiał, czym się zajmował, ale gdy do pokoju weszła Mariam Apa ze mną w ramionach, a Dadi zarzuciła ją tymi wszystkimi pytaniami, Mariam

tylko wyciągnęła rękę, żeby babcia mogła mnie potrzymać. Dadi wciąż ją indagowała, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi. Ami wzięła mnie na rękę, a Mariam wciąż nie zdradzała najmniejszej ochoty, żeby udzielić odpowiedzi babci. Dadi spytała w końcu: „Kim była twoja matka?”. Wtedy na twarzy Mariam pojawiło się coś na kształt współczucia. Położyła dłoń na ramieniu Dadi. Dadi ją straciła. „Pewnie jakaś parweniuszka, która nie wpoila córce żadnych manier”.

Przyznaję, że gdy byłam wystarczająco duża, żeby zrozumieć tę opowieść, nie podobało mi się zachowanie Dadi. Była tak zaabsorbowana Taimurem, którego nie widziała od dziesiątek lat, że zupełnie zignorowała nowo narodzoną wnuczkę, nad którą powinna przecież gruchać i skakać. Ale teraz, rozglądając się po pokoju, który kiedyś należał do Mariam Apy, usiłowałam sobie wyobrazić, jakby to było. Mijają kolejne dekady i Mariam nie daje znaku życia, a tu nagle zjawia się dziewczyna, która utrzymuje, że jest jej córką. A gdyby ta dziewczyna nie chciała powiedzieć mi niczego o Mariam? Ostro bym nią potrząsnęła, wrzeszczałabym na nią, przeklinałabym i przymilała się. Żadne dziecko by mnie nie powstrzymało.

- A więc to dlatego - powiedziałam na głos. – Dlatego Dadi była dla Mariam taka oschła.

„Oschła” to oczywiście nie wszystko. Gdyby ich stosunki opierały się wyłącznie na wzajemnej niechęci, nie byłabym później aż tak zła na Dadi. Ale w stosunkach tych były i inne uczucia. Wiem to. Widziałam, jak razem zaśmiewały się na mój widok, gdy paradowałam w starych perukach Dadi. Słyszałam, jak Dadi opowiada Mariam Apie o ucztach w pałacu Dard-e-Dil. Byłam świadkiem, jak Mariam poleca Masoodowi

przygotować najlżejszą z możliwych zup, bo Dadi była zbyt chora, aby jeść cokolwiek innego. Patrzyłam, jak Mariam sama karmi Dadi tą zupą.

Ale gdy Mariam uciekła z Masoodem, zdarzenia te przestały się liczyć. Chwilę po tym, jak Aba wszedł do domu i powiedział nam, co zdarzyło się na wsi, do domu wkroczyła Dadi. Aba poinformował ją jednym zdaniem:

„Mariam uciekła z Masoodem”. Mimo szoku przypominałam sobie relację z pierwszego spotkania Dadi i Mariam. Przysunęłam się bliżej, żeby w razie czego móc złapać babcię. Ale nie zemdląca. Wyprostowała się jak królowa i rzuciła lodowatym głosem: „A to dziwka”.

Dopiero wtedy zachwiała się i niemalże upadła, bo ją spoliczkowałam.

Tego roku wyruszyła do Paryża wcześniej. Spakowała walizki i wyjechała w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od tego policzka, który w mojej głowie wciąż rozlega się echem wraz ze słowami: „Nienawidzę cię. Nienawidzę całego tego przeklętego klanu”. Nie chciałam jej przeprosić, nie chciałam się z nią pożegnać, choć obstawała przy tym cała rodzina, łącznie z Sameerem. Od tamtej pory nie widziałam się z Dadi.

O, oczywiście próbowali nas pogodzić wszyscy członkowie rodziny po kolei. Listy, telefony, kazania. Moja jedyna poważna kłótnia z Sameerem dotyczyła właśnie tego, że nie chciałam przeprosić Dadi.

- Jaki jest sens w przeprosinach, jeśli nie ma przebaczenia? - powiedziałam mu, gdy zadzwonił do mnie do collegeu z wiadomością, że Dadi właśnie wróciła z Paryża, z poleceniem, żebym do niej zadzwoniła.

- Myślę, że ona ci przebaczyła, Aliyo.

- A kto tu mówi o niej?

Wtedy właśnie nazwał mnie upartą, zawziętą i nawet głupią. Wcześniej też tak na mnie mówił, a ja nigdy nie pozostawałam mu dłużna, więc niespecjalnie się przejęłam. Ale potem zaproponował:

- Spójrz na to z jej punktu widzenia.

- Sameer - przerwałam mu. - Ty też?

Wystarczyło kilka minut i już wrzeszczeliśmy na siebie. Ja pierwsza cisnęłam słuchawką, ale on zaraz oddzwonił, żeby móc zrobić to samo. Gdyby nie Samia, która przeprowadziła z nami telekonferencję i zwymyślała nas tak, że musieliśmy zewrzeć szyki i wspólnie stawić jej czoła, kto wie, jak długo trwalibyśmy w tym klinczu.

Sameer nigdy już nie poruszył tej kwestii. Czasami rzucał tylko jakieś aluzje, które ja ignorowałam, a po pierwszych wakacjach spędzonych przeze mnie w domu nikt już o tym nie wspominał. Podejrzewam, że moi rodzice musieli wszystkim oznajmić, że Dadi i ja same jakoś to rozwiążemy. Powiedzieli tak dlatego, że całe lato spędzili na podpuszczaniu mnie, żebym chwyciła za słuchawkę i do niej zadzwoniła, ale ja byłam nieprzejednana. To było najgorsze lato w moim życiu. Gorsze jeszcze niż to poprzednie, gdy tak bardzo cierpiałam po odejściu Mariam Apy, że w rozmowie o tych wydarzeniach ograniczałam wypowiedzi do niezbędnego minimum.

Teraz słyszałam w przedpokoju niedające się z niczym pomylić kroki Dadi. Potrafiłabym wybijać rytm tych kroków. Pomiedzy postawieniem jednej a drugiej stopy zawsze była elegancka pauza, zupełnie jakby kiedyś ktoś nakazał jej (zaraz po tym, gdy opanowała raczkowanie), żeby nigdy nie szurała nogami. Podnosiła stopę tak, żeby nie dotykała ziemi, a potem stawiała ją pewnie, bez żadnego ślizgania się czy powłóczenia nogami. W skrytości ducha żywiłam gorącą nadzieję, że się nie zestarzała.

Drzwi otworzył Wasim.

- Bari Begum Sahib - zaanonsował ją i uciekł.

Nie podnosząc się z kanapy, wpatrywałam się w jej stopy i rąbek sari. Chciałam paść na kolana i objąć jej łydki ramionami, jak to wiele razy robiłam, gdy byłam mała, a ona miała dokądś lecieć. Gdybym znajdowała się w jakimkolwiek innym pokoju tego domu, pewnie bym tak zrobiła. Zamiast tego czekałam na to, co zrobi ona.

Roześmiała się.

- A ty wciąż jesteś taka młoda - powiedziała.

Zarumieniłam się i spojrzałam w górę. Wcale nie była bardziej zgarbiona, a jej skóra nie wyglądała na bardziej pomarszczoną czy obwisłą. Zaczęłam żałować, że wróciłam teraz, przed czerwcem, bo bałam się, że umrze, a mi zostanie tylko wspomnienie złości i poczucia winy. Do diabła z poczuciem winy.

- Lepiej młoda niż stara - burknęłam.

- Och, Aliyo - usiadła i pokręciła głową. - Nie chciałam cię urazić.

-Nie?

- Nie. Ostatni raz, gdy się widziałyśmy – podniosła dłoń do policzka, co miało wyglądać na nieświadomy odruch - zaraz po tym, siedząc w samolocie do Paryża, zaczęłam sobie uświadamiać, że osiemnaście lat to tak niewiele. Jest się wtedy tak młodym. Jak można winić ludzi za coś, co robili, mając osiemnaście lat? Jak można żyć, trwając w emocjach z tamtego okresu?

- Chcesz, żebym zapomniała o istnieniu Mariam Apy?

- Aliyo, ja nie mówię o tobie. Teraz wstań i przywitaj się ze mną jak należy.

Wstałam, wykonałam *aadaab* i pochyliłam się, żeby pocałować ją w policzek. Na chwilę mnie objęła, ale zanim mogłam jakoś zareagować, schowała rękę.

- Aby i Ami nie ma jeszcze w domu.

- Wiem. Twój ojciec nie zawsze jest taki sprytny, jak mu się wydaje - sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej telefon komórkowy. - Powiedział, że dzwoni z domu, ale na wyświetlaczu pojawił mi się jego biurowy numer.

- Masz komórkę?

- Jestem uppie. Yuppie, tyle że już niemłoda. Sameer zaproponował zmienić „młody” w tym skrócie na „geriatryczny”, ale wtedy wyszedłby guppie, co niebezpiecznie zbliża się do gupika.

Nie chciałam się śmiać, więc podsumowałam wyniośle:

- No tak, Dadi nie zejdzie poniżej wędzonego łososa.

- Ja myślałam raczej o rybie pile.

Czy zawsze mogła poszczycić się cnotą autoironii?

Tak. Między innymi dlatego tak bardzo ją kochałam.

Czemu ci wszyscy krewni tracili czas na *gadanie* o naszym pogodzeniu? Wystarczyłoby tylko wymyślić sposób, abyśmy znalazły się w tym samym miejscu, w tym samym czasie. Żebym mogła zobaczyć płatki jej uszu.

Tak, powiedziałam: płatki uszu. Gdy byłam mała, fascynowała mnie ich miękkość. Chwytałam płatek między kciuk a palec wskazujący i zasypiałam. Dopóki spałam, nic na świecie nie było w stanie przekonać Dadi do zmiany pozycji. Po obudzeniu mówiłam: „Mogłaś mnie przecież odsunąć”. A ona odpowiadała: „Kochanie, pewnego dnia sama się odsu-

niesz. Ja staram się korzystać, póki mogę". Zarzekałam się, że to nigdy nie nastąpi.

Spojrzałam na jej uszy i poczułam, jak ogarnia mnie gniew, skierowany przeciwko sobie samej.

- Żałuję, że cię spoliczkowałam.

- Bez jaj, Sherlocku, jakby to powiedzieli twoi Amerykanie.

- Dadi!

Oparła się wygodnie i patrzyła na mnie rozbawiona.

- Właśnie do takiej wulgarności zdolny jest język angielski. Czasami jest to przydatne. Jeśli używasz eufemizmów, nie trafiasz do ludzi, którzy przyzwyczajeni są do form bardziej bezpośrednich.

- Czy to miał być jakiś delikatny przytyk do mnie?

Czego znowu nie rozumiałam?

- Miłości, Aliyo. Nigdy nie rozumiałaś miłości.

Teraz widziałam dość jasno, że tym, czego nigdy nie rozumiałam, była ona sama.

Wyjechałam w momencie, gdy zrozumienie dopiero zaczynało być możliwe, a kolejne lata spędziłam na sprowadzaniu wizerunku Dadi do dumnie zadartej brody i policzka, który prowokował do ciosu. Jak mogłam uczynić coś takiego? Jak jeden komentarz mógł przekreślić osiemnaście lat miłości? Bo nienawidzić Dadi było łatwiej, niż spojrzeć prawdzie w oczy. Tak pomyślałam, ale nie wiedziałam, co to oznacza. Jakiej prawdzie?

- Sameer mówi, że poznałaś Baji?

Nie byłam pewna, jak kontynuować ten temat. Dadi wydawała się zaintrygowana, może nawet odczuła ulgę.

-Tak.

- O czym rozmawialiście?

- O pierwszych nie-całkach. Kulsoom i Shahrukh. Nigdy wcześniej nie słyszałam tej historii.

- Gdybyś spędziła ostatnie lata tutaj, na pewno bym ci o nich opowiedziała - jej ton był rzeczowy, wyzuty z jakichkolwiek podtekstów. Gniew, który ogarnął mnie w tym momencie, zupełnie mnie zaskoczył. A więc ona chce teraz udawać, że moja nieobecność w ogóle nie miała znaczenia? Że jedyne, co mnie ominęło, to kilka rodzinnych dykteryjek? Kilka sekund wcześniej byłam gotowa rozplakać się na jej widok, a okazuje się, że babka nawet nie potrafi przyznać, iż za mną tęskniła.

- Touche - powiedziałam, naśladowując jej nonszalancki ton. - Nie wierzę ci, ale touche.

Dadi podniosła brew na znak, że niebezpiecznie zbliżyłam się do zarzucenia jej kłamstwa.

- Baji mówiła coś o mnie?

Teraz widziałam już, że spragniona jest rodzinnych wieści. Mój Boże, pomyślałam, tylko duma powstrzymuje ją od napisania listu, zadzwonienia, zrobienia czegoś, czegokolwiek, żeby na nowo skontaktować się z rodziną po drugiej stronie barykady. Duma i strach przed odrzuceniem. Czy to właśnie te same niedorzeczne powody powstrzymywały *mnie* przed pisaniem i dzwonieniem do Dadi przez te wszystkie lata? Jakże jeszcze?

Jakie inne powody mogłam mieć?

- Spytała, co u ciebie słyhać - odparłam. - A potem orzekła, że widzi we mnie ciebie.

- Czym sobie na to zasłużyłaś? - uśmiechnęła się smutno, a ja przypomniałam sobie tę roześmianą dziewczynę ze zdjęcia w mieszkaniu

Baji. Nie pozostało po niej ani śladu. - Zawsze ją lubiłam - dodała - choć nie sądzę, aby o tym wiedziała. Kiedyś ci o tym mówiłam. Pamiętasz?

Nie mogłam powiedzieć, że tak, a Dadi nie ustępowała:

- Wtedy, gdy uczyłaś się akurat filozofii dwudziestego wieku. Z tej zielonej książki do historii, w której całemu zagadnieniu poświęcono za- ledwie siedem stron. Pamiętasz?

Tak, pamiętałam. Pamiętałam, że zasnęłam z książką do historii na kolanach, a gdy się obudziłam, Dadi siedziała obok. Zaczęła opowiadać o swojej kuzynce, której matka miała wyjątkowo ponętne łokcie. Zadała mi dwa pytania: „Jak rodzina królewska traktuje praczkę? Jak córka traktuje matkę?”. Zanim zdołałam odpowiedzieć, dodała: „Co zrobić, jeśli te dwa pytania to w gruncie rzeczy jedno pytanie?”. To właśnie była historia Baji - z jednej strony była przekonana, że krewni jej ojca uważali ją za gorszą od nich, a z drugiej strony wierzyła równie mocno, że krewni jej matki powinni traktować ją jak kogoś lepszego. Dadi wskazała na zdjęcie brodatego mężczyzny w otwartym podręczniku. „Choć sama nie mogła żywić sympatii dla niższych klas, to właśnie Baji przekonała mnie do mark- sizmu”.

Dekadę później, gdy przypomniałam sobie tę uwagę, wydała mi się ona jeszcze bardziej absurdalna niż wtedy, gdy miałam dwanaście lat.

- Baji zrobiła z ciebie marksistkę? - zapytałam.

- Myślisz sobie: „Jeśli ona jest marksistką, to ja jestem elandem”⁸ - powiedziała. - Ale naprawdę byłam marksistką. Taimur też. Byliśmy tacy młodzi.

⁸ Eland - największa współczesna antylopa, występująca głównie w Afryce.

Elandy. Jaki. Nie możemy być pospolici i zajmować się na przykład psami czy kozami?

- A Akbar? - spytałam. - Czy zakochaliście się w sobie ze względu na wspólne poglądy polityczne?

- Akbar? Mówił, że różnica między członkiem rodziny królewskiej, który dziedziczy władzę, a prostakiem, który ją zdobywa - Dadi słowem „prostak” posługiwała się bez żadnego skrępowania - jest tylko taka, że królewiczowi wpaja się ogładę, subtelność, uczy się go wszelkich sztuk. Więc gdy królewicz nadużywa swej władzy, maskują to *ghazale* i *aada-aby*. Natomiast prostak, który jest nienawykły do władzy, ale jej spragniony, chwyta się każdej szansy, żeby ją zdobyć i nie przejmuje się konwenansami. A konwenansów, jak mawiał Akbar, nie da się przecenić.

- I ty się z tym nie zgadzałaś?

Wzruszyła ramionami.

- Nie zgadzałam się, ale grzecznie.

- Subtelnie i z ogładą.

- Właśnie.

Nie wiedziałam, co począć z ciszą, która nastąpiła po tej wymianie zdań, podniosłam więc poranną gazetę i spojrzałam na pierwszą stronę.

- Kto gani kogo? - spytała Dadi.

Żadna instytucja na świecie nie używa słowa „ganić” tak namiętnie jak poranne gazety w Karaczi. *Rząd gani opozycję. Opozycja gani premiera. Politycy gani biurokrację. Dziennikarze ganią cenzurę. Batsmeni ganią bowlerów.*⁹ *Higienista gani pchły. Minister Spraw Zagranicznych*

⁹ Batsman, bowler - pozycje zawodników w drużynie krykietowej

gani zagranicznych podżegaczy. Innym ukochanym słowem jest „łobuziak”. Zawsze, gdy dzieje się coś złego - niezależnie, czy chodzi tu o pojawienie się wulgarnego graffiti czy wybuch bomby - wini się łobuzerię. Zupełnie jakby nikt nie zdawał sobie sprawy, że gdy użyje się słowa „łobuziaki”, wszystkie przestępstwa tracą na powadze, bo słowo to od razu przywodzi na myśl smyrgające spod nóg małe, złośliwe gnomy z płonącymi pochodniami. Gdy redaktorzy są w wyjątkowo brawurowym nastroju, produkują nagłówek obwieszczający, że ktoś właśnie zganił łobuzów.

- W tym wypadku zgodziłabym się z Akbarem Dada - odrzuciłam gazetę. - Gdyby jakiś polityk zganił kogoś wierszem, od razu mógłby liczyć na mój głos.

- Kochanie, biorąc pod uwagę dzisiejsze czasy, jesteś jeszcze większą snobką niż ja w twoim wieku.

- To snobizm intelektualny.

Dadi zaśmiała się.

- Kto poza klasą uprzywilejowaną może tu sobie pozwolić na uczenie się wierszy na pamięć?

- Na przykład twój rzeźnik. - Rzeźnik Dadi miał sklep całe mile od jej domu, ale ona nie chciała nawet słyszeć, żeby zaopatrywać się w mięso u kogoś innego. Rąbiąc mięso, żaden inny rzeźnik nie deklamował poezji tak pięknie jak ten. - Na twojego rzeźnika bym nie głosowała. Nawet gdyby zmienił fach i na dobre zajął się polityką, już zawsze kojarzyłby mi się z tasakiem.

- Postęp bez rozlewu krwi - za pomoc *apuloo* swojego sari zaczęła polerować pierścionek z brylantem. - Kiedyś było to nie do pomyślenia.

- No tak - usiadłam prosto. - Kiedyś, gdy ten jak-mu-tam, założyciel dynastii Dard-e-Dilów ruszył na Indie ze swoimi oddziałami... Dadi, przecież my byliśmy nuworyszami.

- Wtedy mówiło się „rabusiami”. Ale ten jak-mu-tam był potomkiem Timurydów z Samarkandy, więc mylisz się co do niego. - W jej tonie dało się wyczuć nutkę nagany, ale tym razem nie przeszkadzało mi to. Upominała mnie, że zapomniałam - może tylko na chwilę - opowieści, którymi karmiła mnie od małości. W tej naganie kryło się jednak potwierdzenie wszystkich godzin, które razem spędziłyśmy. Podniosła pierścionek pod światło, żeby sprawdzić, czy nie zostały na nim smugi, po czym z powrotem wsunęła go na palec i zaczęła wygładzać sobie zmarszczki na dłoniach.

- Ale gdy cofniemy się dostatecznie daleko, okaże się oczywiście, że wszyscy pochodzimy od małpy.

- A więc nasz czas minął. Mieliśmy już swój udział we władzy, bogactwach, całej tej *tamashy*. Szkoda tylko, że urodziliśmy się za późno.

- To nasze wielkie szczęście. Teraz możemy przygasać z godnością.

- Minutę temu byliśmy małpami. Teraz świeczkami. Mieszasz metafory, Dods.

Stare przezwisko podziałało. Położyła dłoń na mojej dłoni i z roztrągnięciem zdrapała kawałek lakieru, który ominęłam zmywaczem.

- Akbar wiedział, że moje marksistowskie ideały, nieuksztaltowane i nieprzemyślane, opierały się na świecie, który nie istniał. W tym świecie, świecie, w którym musimy żyć, Baji nigdy nie będzie przynależała ani do jednej, ani do drugiej części swojej rodziny. A gdyby Mariam miała córkę, nawet tak piękną i inteligentną jak Baji kiedyś, gdy ją znałam, nigdy nie będziesz w stanie zapomnieć, że jej ojcem był służący.

Zastanawiałam się, co poczuję na jej pierwszą wzmiankę o Mariam Apie. Żal i wszechogarniające fizyczne wyczerpanie. A gdzieś głęboko, w jakimś strasznym zakamarku duszy, robiło mi się niedobrze, bo wiedziałam, że muszę przyznać jej rację. Wtedy uświadomiłam sobie, dlaczego w historii odejścia Mariam zawsze uważałam Dadi za czarny charakter i dlaczego tak jej nienawidziłam. Gdy opowiadałam *moją wersję* historii odejścia Mariam, rola bohaterki przypadała mnie samej. Oto, jak sama sobie do znudzenia opowiadałam tę historię: Mariam uciekła z Masoodem i było to dla mnie wstrząsem. Wtedy weszła Dadi i nazwała ją dziwką, więc spoliczkowałam Dadi. Nieważne, za kogo Mariam wyszła, wciąż pozostawała sobą, a ja zamierzałam bronić jej przed wszystkimi, których zaślepiły uprzedzenia klasowe. Brawo, Aliya.

Owszem, doznałam szoku, ale... Gdy Aba obwieścił, że Mariam uciekła, poczułam się również upokorzona i zła. Gorzej, poczułam obrzydzenie. *Ona uprawia seks ze służącym*. Dokładnie te słowa przemknęły mi przez głowę. Nie z Masoodem - ze służącym. Jak mogłam przyznać się do takiej reakcji? O wiele łatwiej było pamiętać, że kilka sekund później przywaliłam Dadi. O wiele łatwiej mówić, że policzkując Dadi, udowodniłam wszystkim, że nie myślę tak jak ona.

Doznałam strasznego uczucia, zbyt skomplikowanego, aby wyrazić je w dwóch sylabach.

Krzyknęłam:

- Ale Dadi, czy nie możemy chociaż mieć nadziei, że jesteśmy lepsi, niż jesteśmy?!

- Jesteśmy, kim jesteśmy.

Rozdział dwunasty

Planowałam, że podczas lunchu opowiem Dadi i rodzicom o drzewie genealogicznym, które widziałam u Baji, ale jak tylko usiedliśmy do stołu, do jadalni wkroczył Sameer.

- *Aadaab*. Dzień dobry. Cześć - powiedział i odsunął mnie lekko, żeby móc przysiąc na brzeżku mojego krzesła. W niemym zapytaniu podniósł brew. Zapewne chciał wiedzieć, jak poszło mi spotkanie z Dadi. W odpowiedzi przewróciłam oczami i uśmiechnęłam się. Zdawał się rozumieć, co chcę przez to powiedzieć. Nie wybaczyłam i nie zapomniałam słów, które padły cztery lata temu, ale przypominałam sobie, dlaczego wcześniej wielbiłam Dadi. Oczywiście, siebie samą wielbiłam teraz o wiele mniej niż kilka godzin temu... ale nie, to też nie było całkowitą prawdą. Teraz przynajmniej wiedziałam, czemu przez kilka tygodni po odejściu Mariam miałam nieprzepartą ochotę rozbić lustro, gdy widziałam w nim swoje odbicie. Na ile zmieniłam się w ciągu tych czterech lat? Oto jest pytanie. Wróciła mi dawna sympatia do Masooda i już od dłuższego czasu nie czułam złości na Mariam Apę. Wciąż jednak pozostawała kwestia Liaquatabadu.

Sameer dotknął stopą mojej kostki, dając mi znak, jak bardzo się cieszy, że Dadi i ja mamy już za sobą nieporozumienia. Wymienił też pełne ulgi spojrzenia z moimi rodzicami. Podniósł mój kieliszek, jakby chciał wznieść toast, ale po chwili rozmyślił się i zwrócił się do Dadi:

- Abido Nani, mama miała do ciebie dzwonić, ale zgłosiłem się, żeby dostarczyć ci tę wiadomość osobiście. Jakaś krewniaczka miała właśnie USG.

- Mini - domyśliła się Dadi. - Córka Boobyego. Wszystko w porządku, mam nadzieję?

Sameer nałożył sobie *haleemu* na mój talerz i posypał go zielonym chilli i imbirem.

- Czterdzieści palców.

Aba przewrócił oczami.

- Kolejne bliźnięta.

Kilka lat temu cała rodzina wstrzymywała oddech. Wówczas jakaś kuzynka, której istnienia nie byłam nawet w pełni świadoma, też miała USG, podczas którego wykryto bliźnięta. Gdy się urodziły, byłam akurat w college'u, a Aba zostawił mi na sekretarce wiadomość złożoną z jednego słowa: „Całkiem”,

Sameer rozerwał na pół *naana* i podzielił się nim ze mną.

- Wykrochmalone Ciotki są wyraźnie wniebowzięte, bo wreszcie mają o czym plotkować. Zwłaszcza że ojciec ma na imię Farid. Skrót od Fariduddin, co ma podobno ogromne znaczenie.

Dadi zadzwoniła małym dzwoneczkiem, który w czasie jej wizyt zawsze leżał obok jej talerza. Jak tylko Wasim stanął w drzwiach, zakomenderowała w urdu:

- Nakarm szybko mojego kierowcę i powiedz mu, że jak tylko skończę lunch, jedziemy do Boobyego Sahiba. I nie widziałeś, że przyszedł Sameer Mian? Natychmiast przygotuj dla niego nakrycie. - I zanim kucharz zdążył znaleźć się poza zasięgiem jej głosu, dodała: - Pamiętam

czasy, gdy służących zwalniało się, jeśli podczas podawania jedzenia trzęsły się im ręce.

A co na to Marks? Postanowiłam przekazać jej tę myśl telepatycznie. Chyba podziałało, bo posłała mi gniewne spojrzenie i przestała na mnie zwracać uwagę.

- Mielicie w rodzinie jakiegoś słynnego Fariduddina, tak? - spytała Ami. - To nie był czasem ten nerwowy?

- Nie, ten nerwowy był nekrofilem - odparł Sameer.

Aba mlasnął językiem.

- Nekrofilem był jąkała, ale tak przy okazji, był nie tyle nekrofilem, co po prostu nie mógł się pogodzić ze śmiercią żony.

- Myślałam, że jąkała i ten nerwowy to jedna i ta sama osoba.

- A ja w ogóle nie wiedziałem, że był jakiś jąkała.

- Sameer, wszyscy wiedzą, który to jąkała.

- A jąkała to nie ten, który się zacinał?

Dadi zadzwoniła tak cicho, że gdybym tego nie zauważyła, w ogóle nie usłyszałabym dźwięku dzwonka. Gdy byłam bardzo mała, wzięła mnie na przedstawienie *kathak*. Wtedy po raz pierwszy widziałam taniec klasyczny, a dźwięk dzwoneczków - *ghungroo* - na kostkach wirującej po scenie tancerki towarzyszący melodii wygrywanej na *tabli* i sitarze wręcz zahipnotyzował mnie. Według Dadi była to amatorszczyzna. Prawdziwa tancerka *kathak*, mówiła Dadi, taka jak te, które występowały na dworze Dard-e-Dil, nie zdawała się na dzwonienie pod publiczność setkami dzwoneczków. Prawdziwa tancerka *kathak* ukazywała swój kunszt dopiero wtedy, gdy udało jej się wyizolować z tych setek dzwoneczków ten jeden jedyny i tak panować nad ciałem, żeby dzwonić tylko nim. Z czystością i brzmieniem, które ginęłyby w pobrzękiwaniu wszystkich dzwoneczków. Tak

samo jest z opowieściami rodzinnymi, mówiła. Nie można powiedzieć po prostu, że mieliśmy swój udział w bitwach i rozejmach, byliśmy patronami poetów i tancerek, czasami wykazywaliśmy się szczodrością, a czasami okrucieństwem. Nie wystarczy powiedzieć, że ktoś popełnił ojco-bójstwo, a ktoś inny dzieciobójstwo, że leciały głowy i pękały serca, że żyliśmy w chwale, ale też popadaliśmy w niełaskę, nie wyjaśniając przy tym, że koleje losu rządzą się symetrią i nie jest to symetria przypadku. Należy wyizolować każde życie. Ukazać, która nuta zaczyna pobrzmiewać fałszywie. Zanalizować, jak fałszywe tony pobrzmiewają w historii życia człowieka, o którym właśnie opowiadamy i jak ten brak harmonii staje się nieodłączną częścią większej całości, bo harmonię danego akordu wydobywa się poprzez kontrast.

- Fariduddin był tym brzydkim Nababem - powiedziałam, a wszyscy zgodzili się skwapliwie.

Tak brzydkim, że na wszystkich obrazach ukazany jest jako wysoki przystojniak o rzęsach tak długich i gęstych, że aż się chce przebiegać po nich palcami. Oczywiście, malarze byli jego poddanymi, więc czego innego się spodziewać? (Poza tym, jedna z Wykrochmalonych Ciotek zauważyła, że na żadnym z obrazów nie widzimy tyłu jego głowy, więc musi to coś oznaczać). Nie wchodząc w szczegóły, był po prostu brzydki jak noc i dobrze o tym wiedział. Wiedział też, że brat jego żony, Askari, nie jest tak brzydki jak on i wiedział, że jego żona też o tym wie. Ale nie zdawał sobie sprawy z ogromu tej wiedzy, póki żona nie powiła bliźniaków. Jeden z nich - wypisz, wymaluj Fariduddin. Drugi - wypisz, wymaluj Askari.

Może Fariduddin naczytał się za wielu mitów greckich, a książki do biologii traktował po macoszemu. Działo się to w połowie osiemnastego

wieku, kiedy w edukacji księcia literatura grała większą rolę niż nauki przyrodnicze. Tak, tak, znowu nawiązuję do Ledy i jej bliźniaczych jaj. Z jednego jaja wykluły się śmiertelne dzieci jej męża, Tyndareosa, z drugiego – nieśmiertelni potomkowie Zeusa, Helena i Polluks. Nie wiadomo, co Tyndareos miał na ten temat do powiedzenia, ale nie mógł przecież nic zrobić z faktem, że jego własne dzieci, Klitajmestra i Kastor, otrzymały bliźniacze rodzeństwo, które nie było spokrewnione z ich ojcem, Tyndareosem. Przeciwno bogu nie można nic wskórać, można się jedynie w cisłości złościć. Ale Fariduddin, zaznajomiony z mitologią, zobaczył dzieci żony i od razu zorientował się, że te bliźnięta to nie-całkiem-bliźnięta, tak jak Kastor i Polluks. Tyle że to nie żaden bóg uwiódł jego żonę swoim dziobem i skrzydłami, a Askari, który myślał, że ten zakazany czyn ujdzie mu na sucho. Ale uroda Askariego - jego oczy, uśmiech, usta w kształcie pączka róży - była jego zgubą. Fariduddin patrzył na dzieci swojej żony. Jedno było brzydkie i nie czekało go w życiu nic oprócz brzydoty, drugie piękne, pięknnością, jaką mógł się poszczycić tylko jeden mężczyzna w całym królestwie Fariduddin powiedział do żony: „Na początek zabiję Askariego. Następnie jego syna. A na końcu ciebie”.

Jeśli wątpicie w tę część opowieści, dobrze robicie.

Wszyscy widzieliśmy wystarczająco dużo filmów, żeby wiedzieć, że gdy grozi się czymś takim, wszystkie trzy domniemane ofiary wyjdą z tego cało, a kulkę zarobi ten, który groził. Sami widzicie, nawet nie udaję, że ta część opowieści ma jakiś suspens. Czy wspomniałam już, że w tym okresie Dard-e-Dilowie zdołali uwolnić się spod wpływu Mogołów i mieli pierwszą szansę na zostanie książętami - pozbawionymi wszelkich zwierzchników, oświeconymi władcami stabilnego królestwa? Czy wspomniałam, że działo się to w roku 1773? Zgadnijcie, jaka to kompania w

Indiach zaczynała właśnie rozszerzać swoją działalność poza rynek przypraw.

Tak, jak tylko Askari usłyszał ryk wściekłości Fariduddina, w te pędy pomknął do sąsiedniego księstwa, w którym Kompania Wschodnioindyjska miała coś na kształt pod- i przedmurza. Nie wiem, co konkretnie powiedział Frazerowi - Anglikowi, którego tam zastał, ale równie dobrze mógł wręczyć mu srebrną tacę posypaną ziemią Dard-e-Dilów, a na dokładkę puchar krwi. Reszta jest boleśnie przewidywalna. Oddziały Askari, wspomagane przez Anglików, najechały na Dard-e-Dil. Fariduddin zabito. Askari został tymczasowym regentem przy małym Nababie (tym brzydkim, który wbrew wszelkim prognozom wyrósł na ładnego). Czy Askari myślał, że Anglicy uchylą kapelusza, zabiorą swoje złoto i pójdą? Czy w ogóle myślał? Wygląda na to, że nie. Oprócz pięćdziesięciu *lakh* rupii, które musiał im zapłacić, podpisał jeszcze z Anglikami traktat o wzajemnej pomocy.

Czy oni, budowniczo Imperium, maczali palce w kłopotach Askariego? Za każdym razem, gdy usiłował zaprowadzić w kraju pokój, jakiś wielmoża zawierał z kimś sojusz mający wysadzić Askariego z siodła, a ten za każdym razem prosił o pomoc Frazera i jego ludzi. Gdy Nabab osiągnął wreszcie pełnoletność, Askari zginął w czasie pijackiej bójki podczas bankietu z okazji urodzin swego wychowanka. Władca Dard-e-Dil znowu stał się wasalem, a Frazer, człowiek wywodzący się z gminu, seniorem. Jaki był koniec tej opowieści? Podręczniki do historii podsumowują to w następujący sposób: „Na przełomie wieków zaległości podatkowe kraju były tak duże, że Kompania zaanektowała połowę obszaru Dard-e-Dil, aby pokryć zobowiązania”. Połowę obszaru. Tych sześć sylab nie jest w stanie oddać sadów, rzek, meczetów, świątyń, kaplic i ludzi, bo owszem, na tych terenach musieli też mieszkać jacyś ludzie. Dopiero teraz przyszło mi to do głowy.

(Czy ktoś pyta, co stało się z żoną Fariduddina? Fariduddin zabił ją. Choć niektórzy twierdzą, że zabił ją Askari, gdy chciała osłonić męża przed mieczem brata. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że umarła. Ot - reguły filmowe).

Spojrzałam znad swojego *haleemu*. Dotknęłam stopą stopy Sameera w poszukiwaniu wsparcia.

- Nie przejmuj się bliźniętami Mini Apy - powiedziałam. Sameer, teraz obdarzony własnym nakryciem, przysunął krzesło bliżej w moją stronę. - W jednym pokoleniu jest tylko jedna para nie-całek. I o ile nic się w tej regule nie zmieniło, jej bliźnięta będą normalne. Bo ja w końcu wciąż żyję i, choć tego nie możemy wiedzieć na pewno, Mariam Apa też.

Ami puknęła mnie w policzek kawałkiem *naana*.

- Aliyo, naprawdę cię kocham, więc nie bierz sobie tego do serca, ale nie mam pojęcia, o czym ty właściwie mówisz i dlaczego. I wyjmij rękaw z *haleemu*.

- To mój rękaw - brzmiała jedyna odpowiedź, jaka przyszła mi do głowy.

- Wcale nie, bo mój. Na tobie wygląda lepiej, więc możesz go sobie zatrzymać.

- Ale tylko rękaw - wtrącił Aba. - Reszta tego *kameezu* wraca do szafki mamy. Co się stało, robaczku?

Więc w końcu opowiedziałam im o drzewie genealogicznym Dard-e-Dilów.

Aba prychnął.

Ami przewróciła oczami.

Dadi spojrzała na mnie. Kiwnęła głową. I westchnęła.

Aba odwrócił się do swojej matki.

- Mamo, ani się waż - ostrzegł.

Dadi wstała i przybrała swoją najbardziej królewską pozę.

- Jedyne co nam pozostało, to trzymać wysoko głowy. Ona nawet to nam odebrała. Klątwa zebrała już swój plon. - Spojrzała na mnie. - Ty nie miałaś z tym nic wspólnego. Historia uczy nas, że bliźnięta nie zawsze są bezpośrednio odpowiedzialne za to, co się dzieje. Czasami stają się ofiarami innych. Czasami odpowiedzialne jest tylko jedno bliźnię. Sameer, odprowadź mnie do samochodu.

Sameer rzucił mi szybkie spojrzenie. Kochałam go za ten moment zdrady. Kiwnęłam głową i skłoniłam ją w stronę Dadi. Czy powinnam być na nią zła, bo powiedziała, że Mariam sprowadziła na nas klątwę, czy może wdzięczna, bo ogłosiła, że ja nie miałam z tą klątwą nic wspólne-

go? Zanim opuściła pokój w towarzystwie Sameera, pochyliła się i pocałowała mnie w czubek głowy.

Aba patrzył spode łba, jak wychodzi, z miną znamionującą początki rozdrażnienia.

- Z wiekiem robi się coraz gorsza. - Rzucił we mnie kawałkiem imbiru, a minę znowu miał po ojcowsku władczą. - Nie słuchaj jej. Ma fioła na punkcie tych bliźniąt. - Wskazał na Ami. - Twoja mama nie chciała, aby napełniała ci głowę tymi bzdurami, zwłaszcza jak byłaś mała, ale ja uznałem, że słuchanie o nie-całkach ci nie zaszkodzi. Przecież te historie są zajmujące.

- Czyli ty w to nie wierzysz?

- Ja w to nie wierzę - obwieściła Ami. - A on nie chce w to wierzyć. Ale sam też wychował się na tych opowieściach.

- Ty i Mariam nie jesteście bliźniaczkami. W żadnym rozumieniu tego słowa. Zrobiła, co zrobiła. Nawet gdybyś urodziła się dzień później, zrobiłaby to samo. - Aba składał i rozkładał serwetkę. - Trzeba było zwolnić Masooda, gdy...

- Nasser! - przerwała mu Ami. - Bądź cicho.

Sameer wrócił i usiadł.

- Klony - powiedział, celując we mnie po raz kolejny kawałkiem imbiru, który odbił się od mojego ramienia. - Klonowanie ludzi. Teoretycznie jest to możliwe.

- I co z tego? - spytałam.

- Gdyby ktoś... powiedzmy, Ghair Insaan został sklonowany, to kim będą on i jego klon?

- Rozwiązaniem debaty natura kontra kultura?

- Nie. Będą bliźniętami. Czymś więcej niż bliźnięta. A więc nie-całkiem-bliźniętami. Tak?

- I co z tego?

- Teoretycznie, w następnym albo jeszcze następnym pokoleniu Dard-e-Dilów mogłyby się znaleźć całe tuziny par klonów. Wyobraźcie sobie, że każde dziecko w rodzinie jest klonowane. W takim wypadku niemożliwe byłoby, żeby każda para nie-całek sprowadzała na rodzinę nieszczęście, bo na jedno pokolenie może przypaść tylko ograniczona liczba katastrof i tylko ograniczona liczba ludzi może być za nie odpowiedzialna.

Aba pokiwał głową.

- Faktycznie.

Ja pokręciłam.

- Bzdura.

Sameer rzucił we mnie imbirem, który natychmiast zjadłam, zanim ktoś znowu mógłby użyć go jako pocisku.

- Teoretycznie jest to możliwe. Teoretycznie masowe rodzinne klonowanie mogłoby udowodnić, że cała teoria nie-całkiem-bliźniąt, którym pisane jest sprowadzanie klęsk na nasz ród, to bzdura - powiedział.

Ami wstała.

- Cała ta rodzina jest szalona, *bhai*, wszyscy macie nierówno pod sufitem. Idę się położyć z plastrami ogórka na oczach.

- Powinnaś o czymś wiedzieć, robaczku – powiedział Aba. - Gdy Twoja Dadi była młoda, też nie wierzyła w legendę o nie-całkach. Ale potem, po Podziale, wszystkich okropnościach, jakie wtedy miały miejsce i po tej historii z Akbarem i Sulaimanem, legenda pomogła jej jakoś to sobie ułożyć. Nawet Twoja mama przyznaje, że dziwnie się to poto-

czyło - rozpad rodziny i udział, jaki mieli w nim mój ojciec i stryj. Dlatego trudno jest lekceważyć rodzinne podania. - Wychodząc z pokoju, stanął w drzwiach i obejrzał się na mnie.

Wciąż nie potrafił lekceważyć rodzinnych podań.

TLR

Rozdział trzynasty

Kilka dni później, gdy do domu Dadi wkroczyły Wykrochmalone Ciotki, wykrzyknęłam:

- Nareszcie! Pierniki!

Chodziło mi tylko o ciasteczka z imbirem i innymi przyprawami, które podano tuż po wejściu ciotek, ale i tak zabrzmiało to dość niefortunnie. Obie ciotki zrobiły rundkę po pokoju, żeby obcałować swoje własne ciotki, wujów, kuzynów, siostrzeńców i bratanice, a gdy w końcu nadeszła moja kolej, uszczypnęły mnie w oba policzki i powiedziały:

- A ja cały czas interesuję tylko słodczyce. Jak dziecko! Jakie to słodziuchne!

Ich znakiem rozpoznawczym były sztywne, wykrochmalone *kurty*. Przy siadaniu starannie obciągnęły je w dół, żeby materiał się nie pogniótł. Starsza siostra rozłożyła ręce, jakby chciała odeprzeć wszelkie zarzuty:

- Przepraszamy za ten *halaat* - wskazała palcem na swoje niepasujące do reszty adidas - ale byłyśmy obie na spacerze i wracamy prosto z parku. *Bhai*, myślałam, że może odpuścimy sobie dzisiaj ten spacer, ale wiecie, trzeba dobrze wyglądać na wesele Kishoo w przyszłym tygodniu. Widziałyśmy wczoraj matkę Kishoo, *tobah!* Strasznie przytyła, a jeszcze na dodatek założyła sari, więc gdy wchodziła do pokoju, poczułam się tak, jakby płynęła na nas ogromna fala tłuszczu. Przyszli teściowie Kis-

hoo są tacy szykowni. Gdybym ja miała tak wyglądać na weselu własnej córki, to chyba wyświadczyłabym jej przysługę i została w domu.

- Albo ogłosiła gwałtowny przypływ uczuć religijnych i szczerze opatulila się *burkha* - podsunęła Młodsza Wykrochmalona.

Obie siostry wyszczerzyły zęby i rozejrzały się po pokoju.

- Tak dobrze spotkać się z rodziną. Czemu nie robimy tego częściej?

Każdy z około dwudziestu krewnych zgromadzonych w pokoju, o ile wcześniej zadawał sobie to samo pytanie, teraz już tego nie robił.

- Kishoo? Chodzi wam o Kishwar? Córkę Lily? *Hanh*, też słyszałam, że wychodzi za męża. Za kogo? – zadając te pytania, Dadi jednocześnie gestykulowała, wydając nieme polecenia moim dwóm młodszym kuzynom, którzy mieli za zadanie roznosić talerzyki i filiżanki oraz dowiedzieć się, ile kto słodzi. Sameer i ja przyglądaliśmy się temu z głęboką satysfakcją, bo nie tak dawno temu byliśmy w odpowiednim wieku - nie za duzi, nie za mali - żeby to na nas ciążył ten obowiązek.

- Niezła partia! - wykrzyknęła Młodsza Wykrochmalona. - Najstarszy syn Ali Shahów. Zasiada w Zgromadzeniu Narodowym.

- Doprawdy? - prychnęła Cioteczna Babka Bon Mot. - Córka Lily wychodzi za kogoś z Sindh? - Cioteczna Babka Bon Mot w ciągu całego wieczora wypowiadała się zwykle tylko raz. Zazwyczaj czekała z tym do ostatniej chwili. Do momentu, gdy zdawała sobie sprawę, że wszyscy szykują się już do wyjścia, a ona jeszcze nie powiedziała niczego, co długo pozostanie w pamięci towarzystwa, czegoś, co sprawi, że spotkanie zostanie zgrabnie zamknięte i podsumowane. Jedynym wyjątkiem od tej reguły opóźnionego komentarza były wieczory takie jak dzisiejszy, gdy miała okazję dać wyraz swojej głębokiej pogardzie dla wszystkich, którzy nie wywodzą się z Dard-e-Dil albo krajów ościennych.

Spojrzałam szybko na ojca Sameera, którego matka była z Sindh. Mrugnął do mnie.

- Ali Shahowie to bardzo znamienita rodzina - obwieściła Starsza Wykrochmalona. - Rodzice Kishoo są wniebowzięci. Bo w końcu czemu Shahowie mieliby decydować się na dziewczynę bez powiązań politycznych? Nie będą z tego mieli żadnych profitów. Ale są świadomi, jaka krew płynie w żyłach Kishoo, rozumieją, że takie sprawy się liczą, więc przyjmują ją do rodziny z otwartymi ramionami.

- I tak się składa - tu obie siostry spojrzały na mnie - że Ali Shahowie mają też młodszego syna. Nieżonatego. Bardzo inteligentnego i ambitnego. Mówi się, że wkrótce wyjdzie z cienia starszego brata. Któregoś dnia, o ile demokracja przetrwa, zostanie premierem. Młodszy syn Shahów szuka właśnie dziewczyny z dobrej rodziny. Przyjedzie do Karaczi na wesele. Aliya, powinnaś wybrać się z nami. Zostałyśmy zaproszone na wszystkie uroczystości z okazji ślubu, nawet na najmniejsze *dholkis*.

Już otwierałam usta, ale na szczęście Sameer wepchnął mi w nie kanapkę. Ser i pomidor. Za dużo masła.

Cioteczna Babka Bon Mot pochyliła się do przodu i ku zaskoczeniu wszystkich przemówiła po raz drugi.

- A wyrazili swoje zainteresowanie Aliyą?

- Moja wnuczka to nie towar, którym można kupeczyć - prychnęła Dadi. - A poza tym ma przed sobą jeszcze dwa lata studiów. - Miałam ochotę wstać i zacząć bić brawo.

Wuj-Kawaler pokręcił głową.

- Wtedy będzie już miała dwadzieścia cztery lata. Jej termin przydatności do spożycia zacznie zbliżać się ku końcowi.

Aba odwrócił się do niego.

- Właśnie wycelowałem kamieniem w twoją szklarnię. Mam rzucić?

- Te pierniczki są naprawdę przepyszne – wtrąciła Ami. - Całe lata wydawały mi się za słodkie, ale teraz smakują dokładnie tak, jak w dzieciństwie. – Położyła dłoń na ręce mamy Sameera. - Zainab, pamiętasz, jak twoja mama zawsze zostawiała nam na brzegu dwa takie ciasteczka, żebyśmy miały co przekąsić po przepłynięciu pięćdziesięciu basenów w klubie? Kiedy przyjeżdża?

- Jeszcze nie znamy dokładnej daty. Wiesz, jaka ona jest. Uwielbia działać z zaskoczenia. Może już siedzi w samolocie i jest w połowie drogi między Grecją a Karaczi.

Wuj-Kawaler drażył poprzedni temat.

- Czy ci Ali Shahowie nie są czasem spokrewnieni z Jahangirem? Tym, na którego posiadłości „zniknęła” Mariam...

Poczułam przemożną ochotę, żeby zerwać mu z głowy tupecik.

- Och, wszyscy są spokrewnieni ze wszystkimi - zaśmiała się moja mama. - Masz na koszuli plamę z ketchupu. Z jedwabiu trudno ją będzie usunąć.

- Cóż, powiem to teraz, bo lepszego momentu chyba już nie będzie - oświadczyła Starsza Wykrochmalona. - Jak wiecie, moje młodsze dzieci zostały właśnie przyjęte do gimnazjum, Allach *ka shukar*, a Maliha idzie do liceum. Wiecie, jakie są dzieci w tym wieku. Lubią dokuczać innym, jeśli tylko mają podstawy. Przykazałam im, że jeśli ktoś w szkole wspomni o Mariam, mają wyprzeć się wszelkiego pokrewieństwa. Mówić, że podszywała się pod jedną z Dard-e-Dilów. I nie twierdzą tak tylko dla dobra dzieci, bo przecież trzeba wpoić im umiłowanie prawdy. Sama szczerze w to wierzę i nie wiem, czemu nikt inny wcześniej na to nie wpadł.

Sięgałam właśnie po ciasteczko, ale gdy usłyszałam słowa „podszywała się”, cofnęłam rękę. Teraz wszystko i tak smakowałoby jak popiół.

- Na co nie wpadł? - rzuciła Ami, tym razem bez cienia serdeczności w głosie.

- Ayeshoo, to nie ma z tobą nic wspólnego, słonko. - Jedyńm przewiskiem, którego moja mama nie cierpi bardziej niż „Ayeshoo”, jest „słonko”. - Oszukała nas wszystkich. Wam należą się same pochwały za gościnność, jaką jej okazaliście. Jednak jaki mamy dowód, że jest jedną z Dard-e-Dilów?

- Wyglądała zupełnie jak jej ojciec - odparła Cioteczna Babka Bon Mot. Szalała dzisiaj. - Prawda, Abido?

- Zupełnie tak samo - Dadi kiwnęła głową. – Łącznie z uśmiechem.

Co to był za uśmiech. Do college'u wzięłam ze sobą jedyne zdjęcie, na którym udało się go uchwycić. Na widok uśmiechu Mariam Celeste

stwierdziła: „Wygląda tak, jakby widziała anioły wołające ją zza obiektywu”.

- No cóż, Booby wygląda jak Orson Welles - Wuj-Kawaler wskazał na swojego potężnego kuzyna - ale to nie oznacza, że powinien domagać się tantiem za każdą wypożyczaną kasetę z *Obywatelem Kane'em*.

Starsza Wykrochmalona skwapliwie podchwyciła ten temat.

- Racja! Nie mówię, że nie była inteligentna. Pewnie najpierw rozejrzała się, do której rodziny mogłaby się podczepić. Spójrzmy prawdzie w oczy. Jesteśmy rodziną prominentów. Nasze zdjęcia cały czas pojawiają się w gazetach. W kronikach towarzyskich, biznesowych, artystycznych, na pierwszych stronach gazet. Moja teoria brzmi tak... - Pochyliła się, a ja zaczęłam rozważać trajektorię lotu pierniczka spoczywającego na brzegu mojego talerza. W kogo by trafił, gdyby teoria Wykrochmalonej Ciotki zaabsorbowała mnie tak bardzo, że całym ciężarem oparłabym się o brzeg talerza, na którym leżało nieszczęsne ciastko? Dyskretnie zmieniłam ustawienie talerza i słuchałam dalej. - Nie mówię, że Mariam była jakąś *dehati*, która nigdy wcześniej nie widziała dużego miasta. Jasne, że musiała gdzieś nauczyć się manier. Jednak wszyscy słyszeliśmy o dziewczynach z dobrych domów, które popadają w tarapaty i zostają wydziedziczone. Zwykle z powodu jakiegoś mężczyzny. Więc może Mariam została wydziedziczona. Z powodu mężczyzny. Pewnie z niższych sfer. Który potem jej nie chciał, bo od początku chodziło mu tylko o pieniądze. Może Mariam usłyszała historię naszej rodziny. To żadna tajemnica. Zobaczyła gdzieś zdjęcia i zauważyła, że ma podobne rysy twarzy. Potem napisała list do Nassera i Ayeshy. Adres jest w książce telefonicznej, zawsze tam był. A potem zjawiła się. Nie mogła się odezwać. Mówienie oznacza odpowiadanie na pytania, czyli wyjawienie prawdy. Zatem Ma-

riam siedziała cicho. Mówiła tylko o jedzeniu, bo wiedziała, że ekscen-tryzm ją osłoni. Gdyby popełniła jakiś błąd, zrobiła coś dziwnego czy nietypowego, powiedzielibyśmy po prostu: „O, to cała Mariam. Zna-cie ją, zawsze chodzi własnymi ścieżkami”.

I tak było. Często tak mawialiśmy.

Ty suko, pomyślałam. Ty głupia suko.

- A co z Masoodem? - spytał Wuj-Kawaler.

Młodsza Wykrochmalona podniosła rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Ten list, który zapowiadał jej przyjazd... Wszyscy go czytaliśmy i wszyscy zgodziliśmy się, że brzmi dziwnie. Na pewno nie był napisany przez kogoś z naszej sfery. Więc może to ten mężczyzna, ten, przez któ-rego zbłądziła... Może sama chciała wierzyć, że to on napisał ten list. On jej nie chciał, a ona, żeby poczuć się lepiej, wyobrażała sobie, że to ona odchodzi, a on pisze list. Napisała go sama. W taki sposób, jak w jej wyobrażeniu mógłby go sformułować on. Styl tego listu ukazuje, co z niego był za człowiek. Z niższych sfer, zdecydowanie z niższych sfer. Od niego do Masooda już krótka droga. Może po prostu Mariam pociąga ten typ mężczyzn.

- Nie miała świadectwa urodzenia, to się zgadza - oświadczył Wuj-Kawaler. - Pamiętajcie, za ile sznurków musiałem pociągnąć, żeby wyro-bić jej paszport i dowód? Łamałem prawo, ale dla rodziny wszystko, jak mówiłem. Tyle że nie możemy wiedzieć, czy faktycznie była tą, za którą się podawała.

Widziałam, jak ludzie zgromadzeni w pokoju kiwają głowami i szep-czą między sobą.

Cioteczna Babka Bon Mot zdawała się płakać, Aba był cały czerwony, Ami blada, a mama Sameera usiłowała powstrzymać swojego męża przed rzuceniem się na Wykrochmalone Ciotki, choć może było odwrotnie.

Najstarsza krewna, kobieta, która kiedyś bardzo faworyzowała Mariam Apę, stwierdziła:

- Może faktycznie lepiej trzymać się waszej wersji. Ze względu na nasze wnuki i prawnuki. Reputacja rodziny to najcenniejszy klejnot *wjahizie* panny młodej - westchnęła. - Kiedyś znajdowaliśmy się tak blisko nieba, że żadne ludzkie skandale nie były w stanie sprowadzić nas na ziemię. Ale nie jesteśmy już tym, czym byliśmy.

Prawie słyszałam szcęk nożyczek rozcinających więzi łączące nas niegdyś z Mariam Apą. Tutaj, teraz, powstawała opowieść, którą będziemy przekazywać dalej. Opowieść mamiąca oczy swą złudną symetrią. Rodzinni gawędziarze dodadzą: „Są tacy, którzy wciąż utrzymują, że naprawdę wywodziła się z Dard-e-Dilów, a jej nowa tożsamość została sfabrykowana przez tych, według których szargała dobre imię rodziny”. Czy ona sama, gdziekolwiek jest, cokolwiek robi, usłyszy kiedyś tę opowieść? Czy jest teraz tak daleko, że nawet wiatr niosący nasze kłamstwa nigdy nie rozwieje jej włosów, nie odgarnie ich z jej uszu i nie sprawi, że wreszcie wszystkiego się dowie?

A może znała nas lepiej niż my siebie?

Kto narysował te gwiazdki przy moim i jej imieniu?

Gdyby Mariam Apa miała posłać mi wiadomość, byłaby to wiadomość bez słów. Melodia, wślizgująca się do pokoju przez półotwarte okno. Garstka szafranu, rozsypana podczas snu na zamkniętych powiekach. Muszla, pełna szumu morza i odgłosów kroków, uciekających

przed nadciągającą falą. Na takie znaki czekałam. Ale jak mogłam zapomnieć o gwiazdach?

Mariam Apa pokazywała mi gwiazdozbiory, skupiska światła. Nie była to lekcja astronomii, ale lekcja życia. Żadna gwiazda, oprócz tej najjaśniejszej, nie ma znaczenia sama w sobie. Podczas wieczorów na plaży Mariam wyciągała rękę w stronę to tej, to tamtej, to jeszcze innej gwiazdy. Nie dostrzegaliśmy między nimi żadnej różnicy. Ale gdy przyglądaliśmy się środkowi pasa Oriona czy dyszlowi Wielkiego Wozu, poszczególne gwiazdy zaczynały się liczyć. Mariam wskazywała na którąś z nich, po czym robiła z palców niedźwiedzia, który rzucał cień na ścianę domku na plaży. Potem robiła ręką ruch, jakby chciała zgasić tę gwiazdę i cień niedźwiedzia znikał. Bez tej jednej gwiazdy nie ma Małej Niedźwiedzicy. Bez Małej Niedźwiedzicy niebo jest niekompletne. Tak się jakoś złożyło, że Mała Niedźwiedzica stała się naszym ulubionym gwiazdozbiorem, więc umówiliśmy się (tak jakby), że kupimy łódź i zaczniemy żeglować, by zawsze móc ją widzieć, mimo zmieniających się pór roku, które oddalały od nas Niedźwiedzicę.

To Mariam narysowała gwiazdkę na drzewie genealogicznym rodziny. Chciała, żebym o naszej więzi wiedziała ja i inni. Musiałam kupić tę łódź. Musiałam dowiedzieć się, dokąd odeszła Mariam. Jedynym sposobem, żeby się tego dowiedzieć, mogło być ustalenie, skąd się u nas zjawiała.

-Może to i prawda - usłyszałam. Powiedział to pewien zastraszonego kuzyna. - Może to i prawda, że nie jest z nami spokrewniona. Ale jeśli ją jeszcze kiedyś zobaczę wezmę ją w ramiona i mocno przytulę. A o nikim innym w tym pokoju nie mogę powiedzieć tego samego.

Dadi zadzwoniła, żeby uprzątnięto jej nakrycie.

- Ona jest córką Taimura. Gdyby było inaczej, nie sądzicie, że ja bym o tym wiedziała?

TLR

Rozdział czternasty

Następnego ranka, wylegując się na kanapie w dawnym pokoju Mariam Apy, rozmyślałam nad tym, że w teorii Wykrochmalonych Ciołek wstrząsające jest jedynie to, iż myślały nad nią aż cztery lata. Tyle że po czterech latach rozważań powinny dojść do lepszych konkluzji niż ten psychobelkot: „wyobrażała sobie, że to ona decyduje się odejść, a on pisze list”. Nie wspominając już o tym kawałku, że: „ekscentryzm ją osłoni”. Coś podobnego. To tak samo błyskotliwe jak teoria, którą mój kuzyn Usman wygłosił jeszcze w głębokim pacholectwie: „A może ona po prostu nie zna słów, które nie są związane z jedzeniem”.

Spekulacjami na temat Mariam Apy zajmowali się, oczywiście, nie tylko nieletni. Prawie każdy członek rodziny miał jakąś ulubioną teorię o jej milczeniu, nawet zanim jeszcze została oficjalnie czarną owcą naszej rodziny. Teoria mojego taty należała do tych najbardziej zwięzłych: „Ona po prostu zbyt dosłownie postrzega tradycyjną rolę kobiety”, jak stwierdził po bezowocnych próbach mających na celu skłonienie Mariam do zdradzenia nam czegoś na temat swojego dzieciństwa.

Mariam Apa uśmiechnęła się tylko i znikła w kuchni, skąd, jeszcze zanim zamknęły się za nią drzwi, usłyszałam słowo „*biryani*”.

Ale moja mama śmiała się z tej teorii Aby i przypomniała mi o spotkaniu Mariam Apy i doktora Tahira.

Byłam wtedy bardzo mała. Działo się to zimą, kiedy to śmietanka towarzyska Karaczi rzuca się w wir ślubów i przyjęć, żeby zdążyć przed nadejściem upałów, strajków i godziny policyjnej, które poważnie utrud-

nią życie towarzyskie. (Mariam Apa, nawiasem mówiąc, w pewnych imprezowych kręgach była bardzo popularna – ceniona za dyskrecję, umiejętność słuchania i niewtrącania się w popisy krasomówcze współbiesiadników).

Moi rodzice i Mariam Apa byli razem na przyjęciu, które było ostatnim obowiązkiem tego wieczoru. Mariam miała na sobie sari w misterny deseń, wyhaftowany z cekinów. Gdy właśnie miała podejść z moją mamą do bufetu, kelner w liberii potknął się na nierównej podłodze i roztrzaskał tuzin szklanek, opryskując sari Mariam Apy czerwonym sokiem z granatów.

- O, jaka szkoda - ktoś wykrzyknął, obejrzała się więc i ujrzała doktora Tahira, człowieka znanego z tego, że ugryzienia po komarach bierze za pierwsze oznaki odry. - Cóż, już nigdy więcej tego nie założysz - rzucił wesoło. – Taki właśnie jest problem z tymi frymuśnymi cekinami na ubraniach. Nie można tego prać. Zawsze powtarzam, że jeśli chce się dowodu, że mężczyźni są bardziej praktyczni niż kobiety, wystarczy porównać ich stroje.

Mariam Apa nie spała tej nocy. Siedziała w pokoju telewizyjnym i odpruwała cekiny w okolicach plamy. Gdy rano wychodziłam do szkoły, akurat prała sari. A kiedy wróciłam do domu, właśnie kończyła przyszywać cekiny z powrotem na swoje miejsce. Tego wieczoru zrobiła rzecz nie do pomyślenia - założyła na przyjęcie drugi raz z rzędu to samo sari. Wiedziała, że na pewno spotka na tym raucie doktora Tahira.

- A więc widzisz - stwierdziła moja mama – ona ma tę, nie wiem, jak to nazwać, determinację, upór, coś w tym stylu, który pozwala jej robić rzeczy, jakich większość ludzi nie robi. Może kiedyś przegrała jakiś zakład, a ktoś upierał się, że nie zdoła dotrzymać warunków zwycięzcy?

Nigdy nie dowiedziałam się, które z moich rodziców miało rację. Może oboje mylili się, tak jak kuzyn Usman? Prawdę mówiąc, nigdy mnie to specjalnie nie obchodziło.

Wystarczały mi poobiednie drzemki u boku Mariam, z głową na tej samej poduszce. Wystarczało obserwowanie, jak jej palce unoszą się, zginają, stukają i opadają, gdy słuchała muzyki Beethovena albo pieśni Ghaliba. Wystarczała świadomość, że patrzy, jak odrabiam lekcje. Wreszcie, wystarczało mi jedzenie potraw, które zamawiała.

Radość z wakacji za granicą, w Londynie albo w Paryżu, zawsze psuła mi świadomość, że będę tam bez Mariam Apy i bez jedzenia Masooda. Zawsze usiłowaliśmy ją przekonać, żeby pojechała z nami, ale zwykle podniesienie powieki przypominało nam, że i tak nie mogłaby nic zjeść. Pewnego lata Aba w przypiływie hojności zaoferował, że kupi bilet lotniczy i dla Masooda. To był jedyny raz, gdy widziałam, jak Masood okazał coś na kształt złości. Wyprostował się jak struna i oświadczył, że oczywiście, jest tylko służącym i będzie gotował wszędzie tam, gdzie mu każą, nawet w kraju, gdzie nikogo nie zna i którego języka nie rozumie. Aba nigdy więcej nie poruszył tego tematu.

Cóż, oczywiście zastanawiałam się, co się dzieje, gdy Masood i Mariam są w domu sami. Zawsze lubiłam sobie wyobrażać, że wykorzystują ten czas na wspólne gotowanie. Może tak właśnie było? Każdego ranka gotowali razem, żeby zdążyć przed popołudniowymi wizytami przyjaciół i rodziny. Widzę Mariam i Masooda w świetle poranka, jak obierają ze skórki sparzone pomidory, łuskają groszek, leją złocisty olej na skwiercząca patelnię.

Powinnam była zaprosić Khaleela na kolację.

Jak tylko o tym pomyślałam, do pokoju wszedł Wasim z korespondencją i poranną herbatą. Jeden z listów zaadresowany był do mnie. Z Londynu. Serce zaczęło mi walić tak mocno, że chyba obijało się o kręgosłup.

List był od Rehany Apy.

Droga Aliyo,

Kuzynko, dla której moja sympatia potwierdza stare powiedzenie, że krew jest gęściejsza niż woda. Dużo myślałam o naszej rozmowie w parku i wyciągnęłam z Baji wyznanie, iż nie spodziewała się, że tak poważnie potraktujesz mit nie-całek. Chciała tylko zrobić Ci tym drzewem niespodziankę. Nie chciała, abyś od razu zaczęła rozważać, jaką to zgubę ty i Mariam sprowadzicie na rodzinę. Była mocno zaskoczona, gdy i ja przyznałam się do wiary w tę starą legendę. Bo widzisz, ona jest przekonana, że historia nie-całkiem-bliźniąt jest samospełniającą się przepowiednią albo też narzędziem wykorzystywanym do niecnym celów przez ludzi pokroju Taj, tej akuszerki, która, powodowana chęcią zemsty, ogłosiła, że bracia byli nie-całkiem-bliźniętami, choć tak naprawdę byli zwykłymi trojaczkami. Osobiście wierzę, że nie-całkiem-bliźnięta są wyjątkowe. Ale (odkładając na bok pytanie, czy ty i Mariam faktycznie zaliczacie się w ich szeregi) czy to oznacza, że zawsze przynoszą zagładę? Pamiętasz Zaina i Ibrahima?

Tutaj przebiegłam wzrokiem do dalszej części listu, bo w następnej linijce zauważyłam słowo, na widok którego poczułam kompletną pustkę w głowie.

„Pamiętasz tę fotografię Bahadura Shaha, o której wspominałaś Khaleelowi? (Samia i ja wpadłyśmy na niego, gdy wybrałyśmy się na herbatę do tej kafejki za rogiem, koło waszego mieszkania. Samia przedstawiła nas, ale potem musiała lecieć, więc ucieliśmy sobie z Khaleelem miłą pogawędkę o tobie. Okazało się, że choć oboje tak słabo cię znamy, często o tobie myślimy i mamy o tobie bardzo wysokie mniemanie. Cal jest naprawdę czarujący. Zaprosiłam go, żeby poznał Baji. Samia też będzie – na pewno złoży ci szczegółowy raport).

Pisz do mnie.

Całuję,

Rehana Apa

PS Fotografia jest od Baji. W ramach przeprosin, choć sama się do tego nie przyzna.

Spojrzałam na stempel. Tylko cztery dni temu. Dlaczego nie napisała, czy Khaleel planuje przyjechać do Karaczi? Kafejka za rogiem. Na pewno ta sama, w której byliśmy razem. To nie mógł być przypadek, że znowu go tam zaniósł. Z tym Liaquatabadem to musiało być kłamstwo. Powiedział to, żeby mnie sprawdzić. Wystarczy, że kilka minut porozmawia z Baji i Samią, a od razu wyciągną z niego nazwiska krewnych,

których znają albo znali nasi krewni sprzed Podziału albo po nim. Może nawet okaże się, że jest z nami jakoś spokrewniony.

Cholera.

Znowu spojrzałam na list. Akapit, w którym była mowa o Khaleelu zasłoniłam najpierw dłonią uniesioną lekko nad papierem, tak żeby nie rozmazać jego imienia.

„Pamiętasz Zaina i Ibrahima?” - napisała. Zain i Ibrahim? Dadi miała kuzyna o imieniu Zain, ale z tego co mi wiadomo wyróżniał go jedynie brak lewej brwi. A kim był Ibrahim? Wzięłam telefon i wystukałam numer do Dadi. Nigdy go nie zapomniałam. Przez ostatnie cztery lata, gdy wracałam do domu na wakacje, też wystukiwałam tę znaną konfigurację cyfr, żeby mieć złudzenie, że podniesie słuchawkę i wszystko będzie jak dawniej.

Tym razem - pierwszy raz od czterech lat – odebrała telefon.

- Coś tak czułam, że to pewnie ty - powiedziała. - Dzwonisz w sprawie artykułu Usmana?

Podniosłam nieprzeczytaną gazetę, która leżała obok. Mój kuzyn Usman był na stażu w redakcji, więc każdego dnia cała rodzina szukała w gazecie jego nazwiska i obdzwaniała się nawzajem, żeby podyskutować o jego dziennikarskich wzlotach i upadkach.

- Nie, na której stronie?

- Na drugiej - powiedziała Dadi. - Więc po co dzwonisz?

Przerzuciłam stronę. Nagłówek obwieszczał: RZECZNIK GANI SABOTAŻYSTÓW. Artykuł brzmiał tak:

„Za sabotaż w wieży lotów, który spowodował wczoraj chaos na lotnisku w Karaczi, odpowiedzialni są sabotażyści” - oświadczył rzecznik

lotniska. Dalsze szczegóły przedstawimy, gdy śledztwo ujawni dalsze szczegóły. Z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że w pobliżu wieży kręcili się podejrzani osobnicy. Zatrzymani przez ochronę lotniska zeznali, że nie było to kręcenie się, tylko wałęsanie. Gdy nasz reporter spytał rzecznika, czy należy winić łobuzerię, otrzymał odpowiedź: „Wirtuozerii na pewno nie można im odmówić”.

-Mały Usman! - wykrzyknęłam. - Nie wiedziałam, że ma Dard-e-Dilowskie poczucie humoru. - Dopiero teraz dotarła do mnie pierwsza uwaga Dadi. - Pytałaś, po co dzwonię? Nie mogę zadzwonić sobie ot tak, dla kaprysu?

- Cóż, tego jeszcze nie ustaliłyśmy, prawda? Innymi słowy, nie zdecydowałaś jeszcze, czy znowu jesteśmy przyjaciółkami.

- Kocham cię, Dods. - Chciałam to powiedzieć od momentu, gdy usłyszałam jej kroki w korytarzu, następnego ranka po moim powrocie do domu.

- To nie to samo.

- Jesteśmy przyjaciółkami, o ile nie będziemy rozmawiać o Mariam Apie.

- To dość nietypowa przyjaźń.

- Jesteśmy dość nietypową rodziną.
Zaśmiała się.

- No dobrze. Póki co, zgadzam się. Więc naprawdę dzwonisz dla kaprysu?

- No, cóż, nie. - Kamień spadł mi z serca, że tamten temat miałyśmy już szczęśliwie za sobą. - Kim byli Zain i Ibrahim?

Prychnęła ze zniecierpliwieniem.

- Wszystko już zdążyłaś zapomnieć? Ibrahim i Zain...

- A, Ibrahim i Zain! Teraz pamiętam. Dzięki, Dadi. Muszę kończyć. Mam tu list, który usiłuję zrozumieć. Wpadnę po południu, dobrze?

- Tak, dobrze. Zostało jeszcze trochę pierniczków. Zobaczymy się o piątej.

Ibrahim i Zain. Oczywiście, że pamiętałam. Kolejna para niecałkiem-bliźnięt. Ich ojciec, Nabab Assadullah, miał dwie żony. Jedna była wysokiego stanu, a druga była faworytą. Swoimi względami obdarzał je jednak raczej równo, bo obie zaszły w ciążę kilka dni po sobie. Kolejne miesiące cały dwór żył plotkami, spekulacjami i zakładami, która z żon powije syna? Jeśli obie, czyj urodzi się pierwszy?

Wokół każdej z żon uformowały się kliki kibiców, specjalizujących się w modlitwach, postach, zwożeniu świętych maści i wód z odległych krajów (ludzie wtedy bardziej ufali zagranicznym wynalazkom). Konsultowano się z akuszerkami. Jak wcześnie można wywołać poród, aby nie stanowiło to jednocześnie zbyt dużego zagrożenia dla życia dziecka?

W okolicach siódmego miesiąca obu ciąż, ojciec żony wysoko urodzonej, kuzyn i Wezyr Assadullaha, doszedł do wniosku, że nie jest w stanie dłużej znosić tych niepokojów. Połknął więc diament i czekał, aż jego ostre brzegi porozcinają mu wnętrzności i wyekspedują go w zaświaty, gdzie nie będzie już żadnych intryg. Nie podziałało. Po kilku minutach leżenia w łóżku z uczuciem lekkiego dyskomfortu w brzuchu, Wezyr wstał, wypił szklankę wody i zdał sobie sprawę, że jego ojciec - człowiek, który na widok talii kart tracił rozum – przepuścił wszystkie klejnoty rodzinne, po czym sprytnie zastąpił je sztucznymi, żeby żona się nie zorientowała. Teraz, gdy cały majątek przepadł, a na dostatnie życie

rodzina miała tylko pięćdziesięcioprocentowe szanse, Wezyrowi pozostawało tylko jedno wyjście.

Tego popołudnia do sypialni żony wysoko urodzonej weszła akuszerka obładowana diamentami i perłami. Po kilku minutach pałac obiegnęła wiadomość: rodzi.

Do innej części pałacu zawezwano inną akuszerkę, i przez całą noc dworzanie nie mogli się ruszyć, aby nie przewrócić się o kogoś leżącego twarzą do ziemi na dywaniku modlitewnym. O świcie, w dwóch przeciwnych końcach pałacu przecięto dwie pępowiny, urodziło się dwóch wcześniaków. Jeden musiał przyjść na świat wcześniej, chociaż o kilka sekund, ale nie wiadomo było który. Dwóch synów. Braci. Książąt. Bliźniąt? Nie całkiem, ale tak jakby.

Nabab Assadullah ogłosił, że następcą tronu jest syn faworyty, Zain, a nie Ibrahim. Ale Wezyra i tak obsypał złotem i kosztownościami, więc gdy starzec znowu spróbował diamentowego samobójstwa, umarł z uśmiechem na ustach.

Więc gdzie tu nieszczęście?

Assadułlah zmarł w 1525 roku. Na tronie zasiadł Zain. Kolejny rok - 1526 - był rokiem bitwy pod Panipat i początkiem rządów Mogołów w Indiach. Na krótko po bitwie Zain pchnął posłańców do Babura, założyciela dynastii Mogołów. Na miejscu posłańcy zastali człowieka, który mówił nie o wojnach i imperiach, a o melonach. Jeśli chcecie dowodu, poczytajcie sobie memuary Babura. Jego zdaniem, Indie były miejscem „nieprzyjemnym i nieharmonijnym”, a zdecydował się tu osiąść, gdy zorientował się, że już nigdy nie będzie rządził swym dawnym królestwem, ojczyzną Samarkandą. Współcześnie powiedzielibyśmy, że tęsknił za domem. Tęsknota ta przejawiała się głównie nieposkromionym apetytem na

słodkie jak miód melony z Azji Środkowej. (*Baburnama* wiele miejsca poświęca owocom, a Indie i pod tym jakże ważnym względem Babura nie zachwyciły. Doceniał mango, ale jego zdaniem w klasyfikacji owoców niewarte było nawet drugiego miejsca po melonie. Owocom mango i tak dostało się mniej niż owocom *jackfruit*, które, jak pisze: „Wyglądają niczym wywrócone na wierzch owcze wnętrzności” oraz figom, „owocom dziwnie mdłym”).

Zain usłyszał o tęsknocie Babura, nakazał więc posłańcom przekazać mu co następuje: „Ja też pochodzę z rodu Timurydów, a w Samarkandzie i Bucharze wielu jeszcze drży ze strachu przed imieniem mego przodka, Nur-ul-Jahana, założyciela królestwa Dard-e-Dil, księżę Transoxanii. Jesteśmy więc braćmi, a brat musi pomagać bratu. Moje oddziały są do twojej dyspozycji, aby pomóc ci w odbiciu Samarkandy, krainy baśniowej piękności i melonów słodkich jak miód, gdzie władza Uzbeków jest o wiele słabsza niż może się to zdawać. W zamian proszę tylko, abym mógł zarządzać twoimi ziemiami w Hindustanie i liczyć na twą pomoc w pokonaniu niewiernych wojsk Rany Sangi”. (Tutaj oczywiście rumienie się, że mój przodek uciekł się do użycia religii jako karty przetargowej w poszukiwaniu sojusznika).

Tron Samarkandy w zamian za część Indii? Babur nie wahał się z odpowiedzią: „Spotkajmy się, bracie, aby o tym porozmawiać”. Wysłañcy Zaina pogalopowali z powrotem. Na miejscu okazało się, że Zain został zamordowany, a na tronie zasiadł Ibrahim. Jednak gdy pozycja Ibrahima umocniła się, a jego gniew na brata zelżał na tyle, żeby nowy władca mógł się zorientować, jaką wspaniałą propozycję złożył Mogołowi władca poprzedni, Babur zdążył już zdecydować, że jedno mango

w garści jest lepsze od dwóch melonów na dachu. Nie chciałam, aby zabrzmiało to tak wulgarnie.

Dard-e-Dil wkrótce po tym przyłączono bezproblemowo do terytorium Mogołów. Przez najbliższe dwieście lat pozostawało jedną z prowincji mogolskiego imperium.

- Te nuworysze - prycają moi krewni na wzmiankę o Mogołach. - Wszyscy wiemy, że ich imperium mogło należeć do nas. Ach, te niecałkiem-bliźnięta!

(Tutaj znowu musimy zrobić przerwę, żeby zajrzeć do podręczników historii. Uczą one, że po ustanowieniu Imperium dotychczasowa potęga władców tych terenów była Mogołom solą w oku. Dard-e-Dil, położone na północy, znajdowało się tuż pod nosem Mogołów, w przeciwieństwie do królestw z Płaskowyżu Dekan, leżących poza zasięgiem ich wpływów. Czemu więc słyszy się o tak niewiele sojuszach pomiędzy Mogołami a Dard-e-Dilami, zawieranych na drodze małżeństwa? Czemu nie słyszy się o planach Mogołów, mających na celu okrojenie Dard-e-Dil? Zanim odpowiem na te pytania, rozważcie jeszcze jedno: czemu królestwa Dard-e-Dil nie widzimy na mapach Indii z czasów przed Mogołami?

Prawda, według podręczników historii, jest taka: założyciel Dard-e-Dil, Nur-ul-Jahan, faktycznie wywodził się z królewskiej linii Timurydów, ale po zwycięstwie w bitwie pod Surkh Khait nie udało mu się umocnić swojej władzy. Tak więc Dard-e-Dilowie pozostawali jedynie pionkami w większej grze. Ich znaczenie było tak znikome, że można się zastanawiać, czy Babur w ogóle potraktował propozycję Zaina serio. Tak znikome, że nic dziwnego, iż Mogołowie pozwalali Dard-e-Dilom (od czasu do czasu) zarządzać ziemiami, którymi Nur-ul-Jahan i jego potomkowie w latach pomiędzy bitwą pod Surkh Khait i Panipat czasami fak-

tycznie władali, a czasami nie. Smutna prawda wygląda tak, że tak zwane królestwo Nur-ul-Jahana obejmowało zaledwie skrawek ziemi i dopiero po upadku Mogołów jego potomkowie zaczęli kontrolować niektóre ziemie sąsiednie, zdobywając realną władzę (oraz przywilej nadawania swym przodkom pośmiertnego tytułu Sułtana, którym pierwsi Dard-e-Dilowie nigdy nie mogli pochwalić się za życia - a później Dard-e-Dilowie zdecydowali, że bardziej podoba im się ukuty przez Brytyjczyków termin „Nabab” i nonszalancko odrzucili tytuły „Sułtanów”). Tak mówią książki do historii, ale przyznają też, że królestwo Dard-e-Dil było jednym z pierwszych królestw północnych, które zrzuciło jarzmo panowania Mogołów na początku osiemnastego wieku, gdy zmarł ostatni z Wielkich Mogołów - Aurangzeb. Dziwne, że się im to udało, skoro byli tak słabi, jak twierdzą historycy. Ale kto mówi, że wszystko, co napisane, musi być prawdą?)

Biorąc jednak pod uwagę przekonanie mojej rodziny, że to niecałkiem-bliźnięta nie pozwoliły nam przejąć władzy po Mogołach, Rehana Apa zwróciła mi uwagę na pewną rzecz - smutne oczy zdetronizowanego cesarza Mogołów mogły być oczami któregoś z Dard-e-Dilów. A więc w przypadku Ibrahima i Zaina niecałki pośrednio uchroniły nas od nieszczęścia. To chciała powiedzieć Rehana Apa. Z drugiej strony, objęcie tronu Mogołów nie musiało być równoznaczne z upadkiem i powtórzeniem ich błędów. Tym, co po fiasku roku 1857 uchroniło nas przed detronizacją i jeszcze gorszym losem, nie było to, że nie zasiadaliśmy na tronie w Delhi. Wszystko to zawdzięczamy matce Taj. Tak, kobiecie, którą Dadi porównała do Ledy.

Pozwólcie, że wyjaśnię. Przeskoczmy trzysta lat w przód od czasów Babura i rozważmy, co działo się w Dard-e-Dil podczas Powstania czy

też Buntu, albo Wojny o Niepodległość, czy jak też chcecie nazywać wydarzenia z roku 1857. Na początku walk, gdy ostatni cesarz Mogołów - Bahadur Shah Zafar został zmuszony do oderwania się od swojej poezji i muzyki, bo chciano w nim widzieć symbolicznego wodza, wokół którego mogli zgromadzić się powstańcy - ówczesny Nabab Dard-e-Dil wysłał swego pierworodnego syna, aby ten spotkał się z przedstawicielami Cesarza i zapewnił ich o poparciu Dard-e-Dilów. Jednak syn zwlekał z wykonaniem zadania. Nie dlatego, że uważał przyłączenie się do Powstania za zły pomysł, ale dlatego, że był leniwy. Nad pracę przedkładał zabawę i nie widział powodu, aby gnać po kraju jak zwykły posłaniec. Przewidywał, że jeśli mu za dobrze pójdzie, ojciec zacznie częściej powierzać mu podobne misje, a to wcale się mu nie uśmiechało. Oczywiście nie mógł beczynnie kręcić się w rejonie pałacu, bo wszędzie kręcili się szpiedzy ojca. Wyjechał więc na okoliczne pola, gdzie ujrzał matkę Taj, która spojrzała mu prosto w oczy.

Dlaczego wiemy o niej tylko to i nic więcej, oczywiście oprócz tego, że dziewięć miesięcy później urodziła Taj? *Nie miała ponętnych łokci, ale spojrzała mu prosto w oczy.* To jedyne zdanie, jakie rodzina poświęca matce Taj, kobiecie bez imienia. Czy spojrzała mu prosto w oczy, żeby pokazać, że nie może oderwać od niego wzroku? Że nie jest zwykłą, pokorną rojalistką? Że nie jest godzien pokory i pokłonów? Czy uznał jej spojrzenie za atrakcyjne? Obrażliwe? Hipnotyzujące?

Wydając na świat córkę, zmarła. Nawet Taj mogła jedynie snuć domysły, jaka była. Ale Dard-e-Dilowie nie snują domysłów, bo nie liczą się dla nich motywy i emocje. Liczy się tylko to, że matka Taj zatrzymała księcia, co dało posłańcowi Nababa tych kilka dodatkowych sekund na

dogonienie go i zawrócenie z drogi, zanim zadeklaruje pomoc dla Powstańców. Po odjeździe syna Nababem zaczęły targać wątpliwości. Niezdolny do podjęcia decyzji, czy poprzeć Bahadura Shaha czy Brytyjczyków, nakazał gońcowi: „Jedź. Jeśli dościgniesz mojego syna, zanim ten złoży deklarację pomocy, każ mu natychmiast zawracać.

Jeśli już ją złożył, ma jej dotrzymać”. Matka Taj spojrzała księciu prosto w oczy, opóźniła jego wyjazd o minuty... sekundy... i dzięki temu ocaliła nas od stryczków, odebrania tytułów i majątków. Ocaliła nas od tego smutnego spojrzenia.

Znam imię tego księcia, ale go nie zdradzę. W dalszej perspektywie gest ten nie wydaje się już tak znaczący, ale czasem potrzebna jest bliższa perspektywa.

Wszyscy patrzyliśmy na Taj z dalszej perspektywy i traktowaliśmy ją wyjątkowo bezdusznie. Jej matka poniekąd ocaliła naszą rodzinę, a nawet gdyby tego nie zrobiła... gdyby tego nie zrobiła...

Matka Taj urodziła w pobliżu wejścia na teren pałacu. Potem umarła. Dni czekania na słońcu na audiencję u Nababa albo księcia wyczerpały ją. Miała tylko tyle siły, żeby wydać na świat córkę. Rodzina zabrała Taj i wychowała ją z dala od pałacu.

Historie tego typu to w rodzinach królewskich chleb powszedni. Ale nie w naszej rodzinie. Matka Taj stanowi wyjątek. Sądzę, że Dadi miała rację, twierdząc, iż matka Taj, a później Taj, stanowią symbol tej brzemiennej w skutki decyzji odcięcia się od Powstania. Decyzja ta ocaliła ród Dard-e-Dil, ale za bardzo się wstydziliśmy, aby się z tego radować. Z dachu pałacu Dard-e-Dil widać było drzewa w sąsiednich księstwach, na których wieszano Powstańców. I nie tylko ich. Jak nazywał się ten An-

glik, który utrzymywał, że po roku 1857 chciałby, aby na każdym drzewie w Indiach wisiał jakiś muzułmanin?

On też niech lepiej pozostanie anonimowy.

Na jedno z drzew rodzina panująca z Dard-e-Dil w ogóle nie mogła patrzeć - drzewo, na którym zawisł daleki kuzyn Nababa, władca sąsiedniego księstwa, który wziął udział w Powstaniu. Gdy jego ciało bujało się na wietrze, w Dard-e-Dil słychać było trzeszczenie liny. Tak przynajmniej głosi podanie. Brytyjczycy powiesili też wszystkich jego dziedziców i zajęli jego ziemie. Ich część w uznaniu za lojalność przekazali Dard-e-Dilom. Był to niewielki kawałek, o wiele mniejszy niż te, które przyznawali wielu innym królewskim rodom, które wołały nie mieszać się w politykę. To zdaje się potwierdzać, że Brytyjczycy wiedzieli, jak niewiele brakowało, byśmy przeszli na stronę Powstańców i chcieli, aby dar ten służył jako dyskretne przypomnienie, jaki los spotkał te ziemie i nieposłusznych książąt. Bo inaczej czemu wieszaliby go na tym właśnie drzewie - drzewie, które widać na całemile z północnego-zachodu?

Nic więc dziwnego, że nie chcieliśmy pamiętać o tej posłanej i zawróconej wiadomości. Unikaliśmy wspomnienia o matce Taj i unikaliśmy samej Taj. Do czasu, gdy bezimienny książę został Nababem, znanym z tego, że gołymi rękoma pokonuje tygrysy, a jego żony rodzą dzieci, które nie przeżywają porodu. Jako ostatnią deskę ratunku jeden z dworzan zaproponował mu usługi pewnej wieśniaczki, która mimo piętnastu lat była już cenioną akuszerką. Nabab wezwał ją przed swoje oblicze, a gdy spojrzała mu prosto w oczy, oczami, w których rozpoznał swoje oczy, wiedział, że jego dzieci przeżyją poród tylko wtedy, gdy ona będzie je odbierać i otrzymywać za to królewskie dary.

Przez czterdzieści osiem lat Taj odbierała porody Dard-e-Dilów. Pomagała w przyjściu na świat swoim braciom i siostram, kuzynom, bratanikom, bratanicom, wnukom braci i wnukom sióstr. W zamian dostawała złoto i pępowiny. Co robiła z pępowinami? Zabierała je, to wszystko. Ale zabierając je, dała Dard-e-Dilom coś, czego jej matka nigdy im nie dała - powód, aby zapamiętali jej imię. Aż w końcu, w okolicach północy, urodziło się trzech chłopców. O której dokładnie? Wiedziała to tylko Taj, a może nawet i ona sama nie była tego pewna. Oczywiście zaraz po tym opuściła pałac. Pomogła im się urodzić, ogłosiła czas narodzin, wzięła ich pępowiny. Tym samym udało jej się zapewnić sobie trwałe miejsce w historii rodziny - nie ma co do tego wątpliwości.

Spojrzałam na zdjęcie, które Rehana Apa dołączyła do listu. Dadi i trzech chłopców, śmiejących się przed pałacem. Nawet jeśli wiedzieli, że ich losem jest sprowadzić na rodzinę nieszczęście, na zdjęciu nie było tego widać.

Tego wieczoru pokazałam fotografię Dadi. Położyła ją na kolanach i spuściła głowę. Czekałam, aż ją podniesie, a gdy tego nie zrobiła, podeszłam i przykryłam dwóch skrajnych braci dłońmi, żeby widać było tylko Dadi, przysuwającą się do chłopaka w środku.

- To chyba najbardziej romantyczne zdjęcie, jakie masz z Dadą - powiedziałam.

- To nie jest twój dziadek. To Taimur.

Nie chciała powiedzieć nic więcej, a choć dwoiłam się i troiłam, tego wieczoru nie mogłam jej już rozśmieszyć.

Rozdział piętnasty



liya, słonko, musisz natychmiast wpaść. *Futafut*. I to podwójny - krzyczała przez telefon Starsza Wykrochmalona, przerywając mi wieczorną herbatkę z Sameerem.

- Chciałabym, ale właśnie odwiedził mnie Sameer.

Ciotka ze zniecierpliwieniem mlasnęła językiem.

- Jego też przyprowadź. W czym problem? Nie odpowiadaj, powiem ci. Problem jest tutaj. Będę miała na podwieczorku gości spoza miasta, z dziećmi w twoim wieku. Towarzystwa mieli dotrzymywać im Raunaą i Rusty, ale Raunaą cierpi na hemoroidy, biedactwo. Miałaś kiedyś hemoroidy?

Włączyłam opcję głośnomówiącą.

- Hemoroidy? Nie. Nie wydaje mi się, aby była to przypadłość znajoma Dard-e-Dilom.

- *Arre*, jak możesz! Chociaż nie, właściwie masz rację. Cierpiał na nie tylko Usman. Pewnie odziedziczył je po ojcu. Krew Pasztunów, sama rozumiesz. No, ale powiedziałam Raunaąowi, że w zeszłym tygodniu widziałam w gazecie reklamę pewnego doktora, który poleca ziołowy środek na hemoroidy. Operacja niepotrzebna, no i nie trzeba pokazywać lekarzowi dolnych rejonów.

Co to za hałasy?

To Sameer krztusił się herbatą. Obiecałam, że wpadniemy i rozłączyłam się. Zastanowiło mnie, czy ciotka nie jest czasem sprytniejsza, niż mi

się to zdawało. Nigdy nie zgodziłabym się zabawiać jej gości, gdyby nie rozśmieszyły mnie jej komentarze. Jednak wizja Starszej Wykrochmalonej chwającej się, że pochodzi z królewskiego rodu, który niegdyś władał rozległymi ziemiami i nigdy nie cierpiał na hemoroidy, przekonała mnie. Za to Sameer poszedł do klubu na squasha, twierdząc, że jeszcze napatrzy się na Wykrochmalone Ciotki w czasie uroczystości weselnych Kishwar i syna Ali Shahów.

- Ja się na ten ślub nie wybieram - zadeklarowałam. - Kishwar mówiła o Mariam Apie takie rzeczy...

- Wszyscy mówili.

- No dobrze, tak czy siak nie mam zamiaru znosić z pokorą, gdy ciotki konspirują, żeby wydać mnie za męża.

- Śluby rodzą śluby - roześmiał się Sameer i pomachał mi rakieta na pożegnanie.

- Aliya! - Wykrochmalone podniosły się, aby mnie powitać, gdy kilka minut później wkroczyłam do bawialni Starszej. - Poznałaś już Ali Shahów?

1:0 dla Wykrochmalonych.

Powinam była się domyślić już na sam widok limuzyn - z napędem na cztery koła, z przyciemnianymi szybami i uzbrojonymi ochroniarzami – zaparkowanych przed domem.

Ciotki przedstawiły mnie rodzicom Ali Shah i ich córkom, po czym tryumfalnie podprowadziły mnie w stronę dwóch chłopaków.

- To Khurram, narzeczony Kishoo. Znasz Kishoo, Aliya. Dzisiaj niestety nie mogła przyjść.

- Gdy świeci słońce, nie wychodzi z domu - szepnęła Młodsza Wykrochmalona. - Chce zachować piękną, jasną skórę na noc poślubną.

- A to Murtaza. Właśnie skończył studia na Ivy League¹⁰. Murti, Aliya też była w Ameryce. Macie do pogadania. - Z tymi słowami obieciotki wcisnęły mnie na kanapę, obok Murtazy.

Siostry Murtazy i Khurruma rzuciły mi rozbawione spojrzenia i zaczęły chichotać. Ich ojciec, razem z mężem Starszej Wykrochmalonej pogrążony w dyskusji o niebezpiecznych skutkach wolnego dostępu mas do pornografii w Internecie, machnął ręką do żony, co wyraźnie miało dać jej do zrozumienia, że to ona odpowiada za zachowanie córek. Młodsza Wykrochmalona wyciągnęła z torebki małą buteleczkę i, nakazawszy chłopakom Ali Shahów podziwiać obraz na ścianie, zaczęła szybko rozcierać korektor na przyszczy, który wyskoczył mi nad brwią.

Teleportuj mnie stąd, Scotty. Już prędzej zniosłabym Klingonów.

- W czym się specjalizowałaś w collegeu? – spytał Murtaza.

- W angielskim - odparłam, pewna, że to go nie zainteresuje.

- Naprawdę? - Khurrum pochylił się do przodu. – To był mój przedmiot uzupełniający.

Starsza Wykrochmalona odwróciła jego uwagę talerzem kanapek, a Młodsza przejęła ster konwersacji:

- Murtaza studiował politologię.

- Polly to lubię - wtrącił Khurrum.

- Wielbiciele papug, łączcie się! - roześmiałam się.

- Khurrum, idź zadzwonić do Kishwar. Muszę wiedzieć, czy będzie dziś u nas na kolacji. - Teraz do gry włączyła się również matka Ali Shahów. Atak ze wszystkich frontów.

Khurrum bezradnie wzruszył ramionami, wyjął komórkę i zniknął.

¹⁰ Ivy League - sieć najlepszych amerykańskich uniwersytetów, do której należą m.in. Harvard i Princeton

- Murtaza zawsze stawiał się swoim profesorom. Zawsze. – Jego matka wyszczerzyła zęby w uśmiechu i pokiwała głową.

- Naprawdę? - spytała Wykrochmalona. - Amerykańskim profesorem?

Murtaza kiwnął głową.

- Sami idioci. Jeśli mówią coś o Pakistanie, a zdarza się to rzadko, plotą same bzdury. Jeden z nich twierdził, że naszym największym problemem jest feudalizm. Oprócz zwyczajowych głupot o podatkach, mówił też, że źle traktujemy wieśniaków. Sprawilem, że skompromitował się przed całą grupą.

- A co powiedziałaś? Aliya, słyszałaś? Postawił się swojemu profesorowi.

Uśmiechnęłam się uprzejmie i skryłam twarz za *samosa*.

- Powiedziałem, że powinien przyjechać do Pakistanu. Zobaczyć, jak moja rodzina troszczy się o ludzi pracujących na naszych ziemiach. Zbudowaliśmy dla nich ośrodki zdrowia. Każdego roku sprowadzamy im kogoś z miasta na pogadankę o środkach antykoncepcyjnych. Podczas sporów zwracają się do nas, a my rozwiązujemy je bez łapówek czy faworyzowania kogokolwiek. A oni są nam tak wdzięczni, że chcą całować nas po stopach. A my wtedy mówimy, że nie muszą tego robić. I zapytałem go: „A czy pana ktoś próbował całować po stopach, panie profesorze?”. Zatkalo go.

- Powiedz jeszcze, co powiedziałaś im o miastach - zachęcała go matka.

- *Hanh*. Powiedziałem też, że biedacy na naszych ziemiach mają o wiele lepiej niż biedacy w mieście, którzy w kwestii sprawiedliwości czy opieki medycznej muszą zdać się na rząd.

Tego było już za wiele.

- Ale przecież wy jesteście rządem! Zgromadzenie Narodowe składa się z samych posiadaczy ziemskich. Tak w rządzie, jak i w opozycji. A przy okazji, mówiąc o waszej hojności wobec tych biednych duszyczek, nie wspomniałeś nic o edukacji. - Masood często powtarzał, że chciałby nauczyć się pisać i czytać po angielsku, a ja nigdy nie zaproponowałam, że go nauczę. Rzuciałam mu tylko ochłapy angielszczyzny w postaci kilku marnych słówek, takich jak „ważyć” i „warzyć”.

Murtaza pokręcił głową.

- Ach, wy, mieszcuchy. Nie rozumiecie. Myślałem, że chociaż ty, ze względu na swoją rodzinę... Przez całe wieki panowaliście nad swymi poddanymi i opiekowaliście się nimi tak samo jak my. Co was zmieniło?

- Ewolucja.

I miałabym ostatnie słowo, gdyby nie to, że jedna z siostr dramatycznym szeptem poinformowała drugą:

- Jej kuzynka wyszła za kucharza.

Jak mogę uzasadnić wstyd, jaki w tym momencie poczułam?

- Powinnam już iść - powiedziałam, całkiem spokojnie odstawiając filiżankę. - Wpadłam tylko na chwilę, w drodze do Dadi. Zacznie się martwić, jeśli długo mnie nie będzie. Miło mi było was poznać. Nie, nie trzeba mnie odprowadzać do wyjścia.

Koło drzwi wejściowych Khurram śmiał się do telefonu.

- Już idziesz? - spytał. - Nie, to nie do ciebie, Kishwar. Zaczekaj. - Odsunął telefon od ucha. - Ale jeszcze nie porozmawialiśmy o *Otellu* i relatywizmie kulturowym.

Położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Dobrze wiedzieć, że w Zgromadzeniu Narodowym mamy ludzi takich jak ty.

Podniósł brew.

- Zatrważająco łatwo dostać twój głos. Jest więcej takich jak ty? Możesz zarejestrować się w moim okręgu wyborczym?

- Tylko, jeśli będę traktowana jak każdy inny wyborca i zostanie przekupiona.

- Obiecuję trzos za głos. Zobaczymy się na weselu? Zrobiłam jakiś wymijający ruch ręką i otworzyłam drzwi. Po podjeździe szedł człowiek z orlim nosem. Gdy on wchodził, a ja wychodziłam, kiwnęliśmy sobie głowami.

Usłyszałam, jak Khurram mówi:

- Jahangir Bhai!

Majtas? Odwróciłam się, ale drzwi były już zamknięte.

Wsiadłam do samochodu i oparłam głowę o kierownicę.

Co on myślał o całej tej aferze z Mariam i Masoodem?

Przez te cztery lata nasłuchaliśmy się aluzji, plotek i złośliwych przypuszczeń z pierwszej i drugiej ręki, ale nigdy nie pochodziły one od Jahangira, dlatego też w naszym domu uzyskał status półboga.

Od samego początku niezmiennie wykazywał się wielką życzliwością. Zaczęło się to już cztery lata temu, gdy Cioteczka Tano zadzwoniła, żeby powiedzieć mu, że Aba i Mariam Apa planują wycieczkę do miasteczka, przy którym leżą jego ziemie, aby spojrzeć na meczet. „Meczet?” - szepnął bezgłośnie przerażony Aba, a Cioteczka Tano dalej szczebiotała radośnie do słuchawki.

- Z przyczyn architektonicznych - dodała Cioteczka. - Klient Nassera chce mieć na podwórku replikę płytek z zewnętrznej ściany tego meczetu.

tu. Więc Nasser jedzie je obejrzeć, a Mariam robi szkic dla rzemieślników z Karaczi. Zostaną na noc. Znasz jakieś hotele...?

- Nie bądź śmieszna - przerwał jej Jahangir. - Przekaż im, że mogą zatrzymać się u mnie. Mój kierowca odbierze ich z dworca.

To było takie proste.

Zgodnie ze standardami Ali Shahów, Jahangir był tylko drobnym posiadaczem ziemskim, pozbawionym feudalnych zapędów, ale Abę od razu uderzył wielki szacunek, z jakim traktowała go służba. „Pomyślałem sobie, że Masood raczej tu nie pasuje” - mówił mi później. „O, zawsze był ujmująco grzeczny, ale doskonale wiedział, że jeśli zanadto zajdziemy mu za skórę, w każdej chwili może odejść i znaleźć inną pracę i wszyscy byliśmy tego świadomi. Oczywiście, może i nie mógł, ze względu na Mariam, ale my tego nigdy nie wiedzieliśmy”.

Do posiadłości Jahangira zajechali wczesnym wieczorem, a przed zachodem słońca Aba zdążył już pozbyć się wszelkich uprzedzeń, jakie żywił w stosunku do niego. Do człowieka, którego od dwudziestu lat pozdrawiał skinieniem głowy, ale z którym jeszcze nigdy nie zamienił ani słowa.

- Gdy mówił, patrzył na Mariam. Nie zachowywał się tak, jakby uważał, że jej milczenie wyłącza ją z rozmowy. Zdziwiająco dobrze potrafił interpretować jej gesty i miny. Pomyślałem, naprawdę pomyślałem, że może... Ale wtedy podano kolację.

Gdy Aba opowiadał tę historię, my wszyscy, którzy jedliśmy posiłki przyrządzane przez Masooda, na chwilę zapominaliśmy o naszych reakcjach na ucieczkę Mariam i zamiast tego zaczęliśmy sobie wyobrażać, jakby to było - znowu znaleźć się w pobliżu jedzenia Masooda.

Aba też - zamknął oczy i wolno wciągnął powietrze, mówiąc: „Kurczak *vindaloo*”, a wszyscy wydaliśmy z siebie zbiorowe westchnienie.

- Oczywiście znacie mojego kucharza – zauważył Jahangir. - Powiedziałbym, że przykro mi, iż go wam zabrałem, ale wszyscy wiemy, że byłoby to kłamstwem.

Wbrew przewidywaniom Aby, który wiedział, od jak dawna nie miała nic w ustach, Mariam Apa nie rzuciła się na jedzenie. Odrobiną sosu *vindaloo* musnęła dolną wargę i przygryzła ją. Przez chwilę tak trwała, po czym uśmiechnęła się. Potem jadła już normalnie. Gdy ze swoją zwykłą subtelnością smakowała każdy kęs, świeciły jej się oczy. Przełknąwszy ostatni kęs aż westchnęła, czując na języku narastający ogień przypraw.

W czasie posiłku Masood się nie pojawił - tutaj podawanie potraw nie należało do jego obowiązków - cały czas siedział w kuchni. Pod koniec kolacji Jahangir spytał:

- Zostaniecie jutro na lunch? Meczet możecie zobaczyć rano, a potem tu wrócić. Masood przyrzadzi, co tylko zechcecie. - Odwrócił się do kelnera i kazał mu przywołać Masooda. - Albo w ogóle zostańcie na weekend. Nawet dłużej! Zapomniałem już, jak wielką przyjemność sprawia dobre towarzystwo.

Aba już zaczął wyobrażać sobie wesele i żywić nadzieję, że nie będzie to cykl uroczystości ciągnący się przez dwa tygodnie.

- Sahibie Nasser - usłyszał za sobą, obejrzał się i ujrzał Masooda. Aba wstał, żeby uścisnąć mu dłoń, więc nie zauważył, jaką minę zrobiła Mariam Apa, widząc Masooda po raz pierwszy od czasu, gdy wyjechał.

Masood zwrócił się do Mariam:

- Co mam przygotować na jutro? - spytał. Mariam złożyła dłonie w kształt miseczki i wskazała nimi Masooda. *Zdaje się na ciebie.*

Następnego ranka, gdy Aba poszedł zbadać, czemu Mariam zasnęła, jej walizki już nie było, a na łóżku leżało ksero aktu ślubu, gdzieś rozmazane. Ludzie mówili potem: „Zostawiła tylko kopię *nikahnamy* i odjechała bez pożegnania, bez słowa przepraszam”, ale ja wiedziałam, że te rozmazane miejsca to jedyne pożegnanie, które byłabym w stanie jej przebaczyć. No bo jak tu się złościć wobec jej łez?

Aba nie miał wyboru, mógł tylko pokazać *nikahname* swojemu gospodarzowi, a Jahangir oświadczył:

- Jeśli chcesz, mogę zaraz posłać za nimi moich ludzi. To żaden problem.

- Dziękuję - powiedział Aba. - Dziękuję, że zostawiasz mi wybór. Nie, proszę, choć nie mam prawa tego od ciebie wymagać, ale proszę, nie rób tego. Ani teraz, ani nigdy.

- Bibi?

Podniosłam głowę z kierownicy i zaczęłam masować miejsce na czo-
le, na którym odcisnął się kratkowany wzór.

- Bibi, czy wszystko w porządku?

- Tak. Tak, dziękuję, wszystko dobrze.

Obserwujący mnie mężczyzna uśmiechnął się. Gdy wychodziłam od Wykrochmalonej Ciotki siedział z grupką służących - kierowców i ochroniarzy – oraz *malim* i *chowkidarem* Starszej Wykrochmalonej.

- Pani mnie nie pamięta, Aliyo Bibi. Ja też prawie pani nie poznałem. Gdy ostatni raz panią widziałem, była pani o wiele młodsza.

- Przykro mi - powiedziałam. - Jesteś jednym ze służących mojej ciotki?

Pokręcił głową.

- Widywałem panią, gdy mieszkałem w mieście. Jestem kierowcą Jahangira Sahiba. - Wciąż go nie poznawałam, więc dodał łagodnie: - Mój brat pracował u państwa.

Rzeczy, które chciałam zrobić: odgarnąć mu włosy z czoła, zgolić mu brodę, wyprostować mu ramiona, posłuchać jego śmiechu. Cokolwiek, byle tylko odnaleźć w nim podobieństwo do człowieka, dla którego Mariam Apa opuściła nas wszystkich. Albo przynajmniej porozmawiać z nim, dowiedzieć się, jak Masood zachowywał się w ciągu tych dni po opuszczeniu Karaczi, co mówił o Mariam, co mówił o sprawach, o których musiał mówić, ale o które nigdy go nie spytałam. Na przykład o czym marzył, czemu się nigdy nie ożenił, jak to się stało, że wyjechał ze swojej wioski i czy był szczęśliwy.

Zamiast tego spytałam:

- Czy po śmierci ojca Masood naprawdę musiał wracać do rodzinnej wioski?

- Nie. - Jego brat spojrzał na mnie tak, jakbym spytała o jakąś tajemnicę, której sam nie potrafił rozwikłać. - Rodziną mogłem zająć się ja, byłem już przecież na miejscu. Masooda nie było już od tak dawna, że myśleliśmy, że nigdy nie wróci. Zrobił się z niego *Karachiwallah*.

Patrzyłam na tego człowieka i wiedziałam, że mogę rozmawiać z nim przez dziesięć minut albo przez dziesięć godzin, a on nigdy nie wspomni o Mariam, nigdy nie da mi do zrozumienia, że nasze rodziny są teraz spokrewnione i że może ma już bratanice, które są moimi siostrzenicami, choć nigdy, przenigdy, nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie są, nie usiądziemy razem, on i ja, i nie będziemy patrzeć, jak te dziewczynki zdmuchują świece z tortu. Jakże moglibyśmy, gdy nawet teraz nie mogłam zostać dłużej i porozmawiać z nim, bo przyglądali mi się inni służący, i w

każdej chwili mogli przyjechać goście, którzy mnie znali. Co więcej, nie mogłam wyjść z samochodu i ukucnąć obok niego, a on nie mógł otworzyć sobie drzwi i zasiąść na przednim siedzeniu jak równy mi, i im dłużej tak tkwiliśmy - ja za kierownicą, on nachylony, żeby mnie usłyszeć - tym bardziej oczywiste stawało się, że nigdy nie usiądziemy razem, ani w samochodzie, ani na ziemi, ani naprzeciwko siebie za stołem, w pokoju pełnym balonów i serpentyn.

Miałam czas, tak czułam, na tylko jedno, ostatnie pytanie.

- Jaki on był naprawdę?

Jego brat zrobił krok do tyłu.


- Sam miałem panią o to spytać.

Kiwnęłam głową i przekręciłam kluczyk w stacyjce.

- Mam nadzieję, że u niego wszystko w porządku. Jeśli go kiedyś zobaczysz...

- Nie sędzę. Miał paszport. Wziął go ze sobą.

Rozdział szesnasty

ozegnałam się z bratem Masooda i ruszyłam prosto do domu Dadi. Za kilka dni miała wyjechać do Paryża, a ja nie zamierzałam jej puścić, nie wypytawszy się wpierw o Taimura. Dokąd mógł się skierować po opuszczeniu Dard-e-Dil? A konkretnie – gdzie mógł wychowywać Mariam Apę? Czyli dokąd wróciła po ucieczce z Masoodem? Nie potrafiłam zawęzić swoich dociekań nawet do właściwej półkuli. Czy Mariam unikała mówienia, bo mowa zdradza akcent, a akcent zdradza wszystko? Ale jeśli tak, to czemu mówiła o jedzeniu?

Pytania dotyczące Taimura musiały mieć odpowiedzi. Musiały, bo jak to w ogóle możliwe, że wyszedł z domu i tu, jeśli chodzi o nas, jego historia się urywa? W jaki sposób mógł tak po prostu zniknąć? Jeśli Taimurowi się udało, to może jego córce też. Nauczyłam się już akceptować jej fizyczną nieobecność. Ale nie wiedziałam, nie potrafiłam nawet zgadnąć, gdzie jest, co robi. Nie potrafiłam zamknąć oczu i wyobrazić jej sobie w jakiejś radosnej sytuacji. To była prawdziwa męczarnia.

Gdy prosiłam Celeste, aby namalowała Mariam starszą i szczęśliwą, chciałam przez to powiedzieć, że własna wyobraźnia mnie zawodzi. Gdy ją sobie wyobrażam, zawsze jest nieszczęśliwa. Czasami żyje jak pustelnica. Widuje tylko Masooda i jest zazdrosna o czas, który on spędza z przyjaciółmi. Czuje rozgoryczenie, że on wciąż może obracać się w kręgu swoich znajomych, a ona jest wykluczona z towarzystwa, bo wszyscy jej znajomi, nawet ci najbliżsi, będą kręcić nosem na jej męża.

Czasami opuszcza Masooda albo on opuszcza ją. Wówczas dryfuje bez celu, niezdolna wrócić do świata, który ją odrzucił. Jest zwykłą kobietą w średnim wieku, bez dyplomu wyższej uczelni i imponującego CV. Gdzie żyje? Co je?

Czasami, ni stąd, ni zowąd, gdy mam zamknięte oczy, widzę ją, jak się ode mnie oddala. Wiem, że to ona, choć wcale nie wygląda na kogoś, kogo chciałabym znać. Garbi się, ma tłuste włosy, powłóczy nogami i jest zupełnie sama. Nie wołam jej, bo nie mogłabym znieść bólu, jaki sprawiłby mi jeden rzut oka na jej twarz, więc wmawiam sobie, że to nie ona i odwracam głowę.

Gdy opowiedziałam o tym Celeste, stwierdziła: „Cóż, to chyba tłumaczy wszystkie te koszmary i lęki”.

Koszmary, o których mowa, były moje. Lęki, natomiast, jej. Mówiła, że raz, dwa razy w miesiącu siadałam gwałtownie w łóżku, z miną kogoś, kto występuje właśnie w horrorze i chce, aby jego rola, choćby kilkusekundowa, zapadła widzom w pamięć, przynajmniej dzięki przesadnej teatralności gestów i mimiki. Gdy to się działo, Celeste zazwyczaj nie spała - kiedyś oświadczyła, choć teraz się tego wypiera, że sen to burzujski luksus - kiedy próbowała do mnie mówić, nie reagowałam. Mówiła więc cały czas, dopóki znowu nie zasnęłam. Za pierwszym razem stało się to jakiś miesiąc od naszego rozpoczęcia nauki w collegeu. Celeste zaczęła mi wtedy śpiewać kołysanki. Potem tłumaczyła się, że z początku wydawało jej się to dobrym pomysłem, ale gdy już zasnęłam, zaczęła się martwić, czy to z jej strony nie neoimperializm - zakładać, że kołysanka *Mary Had a Little Lamb* ma dla mnie jakieś znaczenie. (Ja na to odparłam: „Twój neoimperializm antycypuje mój postkolonializm”. Całe

szczęście, rychło zarzuciłyśmy ten
żargon).

Nie pamiętam tych snów, ale jestem przekonana, że Celeste ma rację, łącząc je z odejściem Mariam Apy. Gdy Mariam odeszła, w rytmie mojego snu coś się zmieniło. Mogłam zasypiać w każdym miejscu i o każdej porze, ale często budziłam się wyczerpana, choć wszystko wskazywało na to, że przespałam całą noc. Wyczerpanie to objawiało się rzadziej, jeśli na miejscu była Celeste, która potrafiła z powrotem ukołysać mnie do snu, ale nigdy nie mijało na dłużej niż kilka miesięcy. Po pewnym czasie tak się do tego przyzwyczaiłam, że gdy budziłam się z ciężkimi powiekami, spoglądałam na Celeste i rzucałam: „Przepraszam. Wystraszyłam cię?“, a ona zawsze wzruszała ramionami i mówiła coś w stylu: „Naprawdę powinnaś iść na przesłuchanie do kolejnego filmu na podstawie powieści Stephen Kinga“.

Mieszkałyśmy ze sobą przez wszystkie cztery lata collegeu, choć po pierwszym roku mogłyśmy przenieść się do pokoi jednoosobowych. Twierdziła, że nie wynosząc się, robię jej przysługę, bo inaczej zanudziłaby się na śmierć, ale wiedziałam, że tak naprawdę to ja jestem benefk-jentką tej przyjaźni.

Przed bramą Dadi zatrąbiłam, a *chowkidar*, który właśnie grał w chińczyka z grupką służących z domu po sąsiedzku, podbiegł do mojego samochodu i oznajmił:

- Begum Sahib wyszła. Ale w bawialni czeka osoba, która twierdzi, że jest jej siostrą.

- Osoba, która twierdzi, że jest jej siostrą? Czyli możliwe, że wpuściłeś do domu kogoś obcego?

Chowkidar rozłożył bezradnie ręce.

- Skąd mogłem wiedzieć? Kim ja jestem, że mógłbym zabronić jakiegś begum wejść do domu? Podwieziono ją, wysiadła, a samochód odjechał. Miałem jej kazać czekać na ulicy? Właśnie za to zwolniono mnie z poprzedniej pracy. A pani rodzina jest bardzo duża.

No tak. A Mohommed, kucharz Dadi z Dard-e-Dil, człowiek, który o rodzinie wiedział więcej niż ja, był akurat na bazarze. Przez chwilę myślałam, czy nie wrócić do domu. „Siostra” oznaczała pewnie „siostrę cioteczną”, a nie uśmiechało mi się spotkanie z kolejną namolną ciotką. Ale jeśli Dadi dowiedziałyby się, że pozwoliłam jakiegś starszej krewnej siedzieć w domu samotnie, zmieszałyby mnie z błotem. A ja już czułam się wystarczająco zmieszana.

Kobieta siedząca w bawialni odwrócona była do mnie tyłem. Patrzyła na zdjęcie pałacu Dard-e-Dil. Trudno uwierzyć, że tutaj, gdy byli dziećmi, bawili się moi dziadkowie. Długi podjazd i starannie wypielegnowane trawniki były, jak na mój gust, zbyt porządne, ale podobały mi się porozstawiane tu i ówdzie rzeźby - zwłaszcza fontanna z posągiem niedźwiedzia, usiłującego złączonymi łapami łapać wodę tryskającą z trąby małego słoniątka. Pałac, budowla harmonijnie łącząca linie proste z łukami, stał na drugim planie.

- Z tego dachu widać było wszystko. W czterdziestym siódmym, jeśli spojrzano się w jedną stronę, można było zobaczyć, jak tłumy wyznawców hinduizmu palą domy muzułmanów. Jeśli spojrzano się w drugą stronę, widać było, że muzułmanie robią to samo hindusom. Ale nie w Dard-e-Dil. To trzeba przyznać Nababowi.

Siostra Dadi, Meher, odwróciła się do mnie i uśmiechnęła.

- Starzeję się - powiedziała. - Zaczynam z sympatią myśleć o tej zdeprawowanej arystokracji, od której szczęściem udało mi się uciec. Chodź i przytul mnie.

Objęłam ją, a ona rzuciła:

- Dlaczego moja siostra wciąż przystraja ściany tymi świadectwami minionej dekadencji? Jak myślisz, co by powiedziała, gdybyśmy pod jej nieobecność wszystko to zdjęły?

- Kazałaby nam powiesić je z powrotem. Broń Boże, krzywo!

Odstąpiłam od Meher Dadi na krok, spojrzałam na nią i roześmiałam się. Miała na sobie sari i bluzkę bez rękawów, a jej srebrzysta fryzura była nieskazitelna.

- Jeśli tak wygląda starzenie się, to ja też poproszę! Myślałam, że przyjeżdżasz dopiero jutro.

- Zmieniłam zdanie. Przyjechałam dziś rano. Zadzwoniłam do Sameera z lotniska w Atenach i powiedziałam mu, że startuję. Mój biedny wnusio! Żeby mnie odebrać, musiał wstać o jakiejś niemożliwej godzinie, ale co mogę zrobić? Uwielbiam działać z zaskoczenia. - Usiadła, opierając przedramiona na poręczach krzesła, jakby zasiadała na tronie.

- Jak miewa się Apollo?

Wydawała się rozbawiona.

- Przez wzgląd na przyzwoitość musimy udawać, że to tylko mój bankier, który z biegiem lat stał się przyjacielem. Miewa się dobrze.

- Przyjedzie kiedyś do Karaczi?

- Nie bądź niemądra. Po co mój bankier miałby przyjeżdżać do Karaczi?

- A nie myślałaś, żeby za niego wyjść?

Gwałtownie podniosła brwi.

- No proszę, jakie to jesteśmy ostatnio bezpośrednie. Spędzałaś dużo czasu z Samią? - Wzruszyła ramionami. - Jego żonie by się to nie spodobało. Zszokowałam cię?

- Tak. - Bardzo, bardzo mnie zszokowała.

- To dobrze. Powinnaś być zszokowana. Ja też nie popieram traktowania małżeństwa z przymrużeniem oka. Ona jest katoliczką. Nie wierzy w rozwody. Ale poza tym nie jest taka zła. Miał w zeszłym roku mały wypadek. Nic groźnego. Gdy przyszła do niej policja, mnie też kazała zawiadomić. Myślę, że zachowała się bardzo przyzwoicie. Czemu nie odwiedzisz mnie w Grecji?

- Chyba będę musiała, żeby poznać tego tajemniczego pana. Czy wygląda jak grecki bóg?

- Gruby, łysy osiemdziesięciolatek. Nagle poczułam się wyjątkowo pruderyjna, możemy zmienić temat?

- Pruderyjna? Właśnie zaprosiłaś mnie do domu, w którym z nim mieszkasz.

- Wcale nie. On mieszka z przyjacielem, w mieszkaniu obok. No, mieszka tam, gdy przyjeżdża do mnie rodzina. A teraz zmień temat.

Usiłowałam wyobrazić sobie, jak któryś z moich znajomych rozmawia w ten sposób ze swoją cioteczną babką. Niemożliwe. Zazwyczaj to ludzie z pokolenia Meher Dadi nudzą o ślubach, a ludzie w moim wieku starają się zmienić temat.

- Chciałam ci coś pokazać. - Pobiegłam do pokoju Dadi i przyniosłam nowo oprawioną fotografię z mieszkania Baji. - W Londynie poznałam Baji. Podarowała mi to zdjęcie. Pomyślałam, że powinnam dać je Dadi. A teraz, gdy do niej przychodzę, nigdy nie wiem, gdzie je znajdę.

Jednego dnia leży koło szafki nocnej, drugiego stoi na komodzie, trzeciego chowa się w szufladzie.

Meher Dadi wzięła ramkę w obie dłonie. Rzuciwszy na nią okiem, odłożyła ją na ławę, zdjęciem do dołu.

- Nie mogę na to patrzeć. Serce mi krwawi. Nawet teraz. - Spojrzała na mnie. - Czemu tak się dzieje? Mogę bez smutku patrzeć na zdjęcia zmarłych, za którymi płakałam - zdjęcia rodziców, męża, przyjaciół z dzieciństwa - ale to zdjęcie, och, Aliyo, szkoda, że mi je pokazałaś.

- Dadi powiedziała mi, że mężczyzna w środku to Taimur. Nie Akbar.

Twarcz Meher Dadi nagle znieruchomiała.

- Twoja babcia i ja byliśmy blisko ze wszystkimi trzema braćmi.

Znałam tę minę. Sama często ją przybierałam.

- Coś przede mną ukrywasz.

- I powinnaś to uszanować. - Do pokoju po królewsku wkroczyła Dadi. - Meher, obraz z pałacem jest przekrzywiony. Czemu ty nigdy... - Koniec tego zdania utonął we włosach Meher, bo obie siostry padły sobie w objęcia i zaczęły się kiwać w przód i tył, a ramiona Meher powędrowały na szyję Dadi. Mimo zmarszczek i różnych obwisłości wyglądały ślicznie. Gdy w końcu rozluźniły uścisk, Dadi starła łzę z policzka siostry. Czynność ta byłaby po prostu zwykłym odruchem, gdyby nie to, że trwała o sekundę za długo.

- Przyjeżdżasz wcześniej tylko po to, żeby napawać się moim marnym wyglądem, bo nie zdążyłam zrobić się na bóstwo - Dadi pociągnęła nosem. - Idę się odświeżyć. Zabawiać cię może Aliya.

Meher Dadi przewróciła oczami.

- Och, Apa, nie jestem przecież jednym z twoich absztyfikantów.

Dadi puściła ten komentarz mimo uszu. Zanim wyszła, rzuciła jeszcze:

- Opowiedz Aliyi o Podziale.
- Które szczegóły?
- Te, których nie zna.

Chodziło jej o to, żebym nie zadawała kolejnych pytań o Taimura. W czasie Podziału nie było go już od dziewięciu lat, a mimo mojej fascynacji historią, w tym akurat momencie rok czterdziesty siódmy niespecjalnie mnie interesował. Nie mogłam powiedzieć tego Meher Dadi, dla której pokolenia Podział tak wiele znaczył.

- Co wiesz o nie-całkach i czterdziestym siódmym?

Tyle tylko, że historia Akbara i Sulaimana była jedyną z historii o bliźniętach, której nie opowiadałam obcym ludziom. Nie z tego samego powodu, dla którego nie opowiadałam historii Mariam Apy. Nie, historia Akbara i Sulaimana nie zostawiła trwałych śladów w mojej psychice. Chodzi o to, że ich historia jest po prostu nudna. Sami oceńcie: dwóch braci (Taimura już dawno nie było) poróżniła polityka. Akbar opowiadał się za Ligą Muzułmańską, Sulaiman za Indyjskim Kongresem Narodowym. Jeden wierzył, że Nehru i Kongres są niebezpiecznie żądni władzy, drugi to samo myślał o Jinnahu i Lidze. Bracia kłócili się. W ich zażarte kłótnie została wciągnięta cała rodzina. Każdy musiał opowiedzieć się po którejś ze stron. Zapomniano o wszystkich innych sprawach, które do tej pory dzieliły lub jednoczyły Dard-e-Dilów. Teraz liczyła się tylko przynależność do obozu propakistańskiego lub obozu zjednoczonych Indii. Gdy w końcu doszło do Podziału i 14 sierpnia powstał jeden kraj, a 15 sierpnia drugi, Dard-e-Dilowie wydali z siebie zbiorowe westchnienie i orzekli: „Urodzone po dwóch stronach północy jak Akbar i Sulaiman”, co

traktowali za znak, że i podział rodziny jest nieunikniony. Klątwa niecałkiem-bliźnięt kolejny raz spadła na ród Dard-e-Dil, tyle że tym razem nie utraciliśmy ziem, bogactw czy planów architektonicznych - utraciliśmy siebie nawzajem.

(Później, w czasie krwawych wydarzeń z roku 1971, kiedy to Wschodni Pakistan został Bangladeszem, znaleźli się tacy, którzy twierdzili, że i tego nie dałoby się uniknąć, bo przecież było trzech braci. Jeśli Akbar i Sulaiman reprezentowali Pakistan i Indie, dla Taimura musiał powstać trzeci kraj. Głupota tego twierdzenia nie ma sobie równych, ale na pierwszy rzut oka, w porównaniu do innych głupot, które w tamtych czasach krążyły po Zachodnim Pakistanie, wydaje się to całkiem rozsądne. Choć nie, odwołuję. Głupota to określenie zbyt łagodne na uzasadnienie masowych eksterminacji i gwałtów. Dadi zawsze powtarza, że Akbara zabił rok siedemdziesiąty pierwszy. Nie wojna, a to co się wtedy mówiło. Jego serce nie wytrzymało tej nienawiści. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie powiedział, było: „Jeśli my trzej nie doszliśmy do porozumienia, to jak może do niego dojść cały naród? Jesteśmy zgubieni, bezpowrotnie zgubieni”. To wymaga czegoś więcej niż dygresji w nawiasie, ale tak długo żyłam, milcząc na temat tych strasznych dni, że brakuje mi odwagi i siły, aby mówić o rzeczach, których istnienia nawet nie potrafię sobie wyobrazić).

Wracając do Meher Dadi i jej reakcji na moją wersję kłótni Akbara i Sulaimana: uśmieła się.

- Spójrz na nich - powiedziała. Podniosła zdjęcie, twarz Dadi zakrywając dłonią, żebym musiała skupić się na trzech braciach. - Akbar, Taimur, Sulaiman. - Wskazała każdego po kolei. Tak, ten w środku to Taimur, ale wbrew mojemu wcześniejszemu wrażeniu nie rozdzielał sobą

dwóch pozostałych braci. Ręka Akbara spoczywała na ręce Sulaimana, ponad ramieniem Taimura. Palce Akbara ciągnęły ucho Sulaimana, dłoń Sulaimana obejmowała szyję Akbara. - Myślisz, że tych chłopaków mógł rozdzielić Nehru albo Jinnah? Gdyby tylko uznali, że krajowa polityka uczyni z jednego wroga drugiego, wyjechaliby razem z kraju, przenieśli się do Timbaktu.

- Co ty mówisz?

- Aliyo, musisz zrozumieć miłość.

Och, znowu to.

- Aliyo, kiedy twój dziadek przeniósł się do Karaczi?

- Latem czterdziestego szóstego.

Kiwnęła głową.

- Nigdy nie wydawało ci się to dziwne?

Jeszcze zanim skończyła to pytanie, zdałam sobie sprawę, że to faktycznie dziwne. Naprawdę dziwne. Latem 1946 nikt nie mógł być pewny, czy Pakistan stanie się rzeczywistością. Więc po co Akbar jechał do Karaczi, jeśli nie po to, aby zostać Pakistańczykiem?

Meher Dadi obróciła się nieznacznie i znowu wskazała na obraz przedstawiający pałac Dard-e-Dil.

- Decyzję podjął tam, pierwszego lipca roku czterdziestego szóstego.

Rodzina - opowiadała Meher - zebrała się tego dnia na urodziny Nababa. Było to niedługo po odrzuceniu przez Kongres planu brytyjskiej misji rządowej, więc nastroje były minorowe i z początku nie zapowiadało się na żadne świętowanie. Sulaiman wrócił właśnie z żoną z wakacji spędzonych w Europie. Gdy podano kolację, a wieczór, za sprawą wina i jedzenia, zaczął w końcu przypominać święto, on i Akbar, rezygnując ze specjałów pałacowej kuchni i towarzystwa innych, wymknęli się na we-

randę, żeby porozmawiać. Te trzy miesiące, kiedy Sulaiman był za granicą, stanowiły jak do tej pory najdłuższy okres rozłąki obu braci. Meher zapamiętała, że nawet jeszcze zanim przyjęcie rozkręciło się na dobre, Akbar był o wiele weselszy niż w czasie poprzedzających je tygodni. Dadi, patrząc jak obaj bracia wychodzą na werandę, westchnęła: „Dzięki Bogu”. Spytała żonę Sulaimana: „Czy twój mąż też jest taki niemożliwy, gdy nie ma przy sobie swojego brata?”. Żona Sulaimana - kobieta piękna, ale nierozgarnięta, którą Sulaiman poślubił w chyba jakimś zaciemnieniu umysłowym - coś tam odpowiedziała, ale Meher Dadi za żadne skarby nie potrafiła sobie przypomnieć jej wypowiedzi. Nie pamiętała też, co poniosło ją do pokoju prowadzącego na werandę, gdzie siedzieli bracia, ale już nigdy nie mogła zapomnieć tego, co wtedy usłyszała.

Z początku brzmiało to jak kolejna, zwyczajna rozmowa o polityce, choć nie wiem, jak w czterdziestym szóstym można było prowadzić „zwyczajną” rozmowę o polityce. Jestem pewna, że od samego początku w rozmowie tej musiało być coś szczególnego. W innym wypadku po co Meher Dadi chciałaby ją podsłuchiwać?

Wyobraźcie sobie letni wieczór, cykanie świerszczy i lekki wiaterek, który unosi ze sobą męczący upał mijającego dnia. W tle słychać brzęk kieliszków, śmiech i szum wody tryskającej z fontann. W powietrzu wisi coś jeszcze. W hulankach daje się wyczuć pewną desperację. Ktoś schyla się nad grządką kwiatów i bierze z niej garść ziemi, pozwalając jej przesypać się przez palce, a choć szuka tylko zgubionego guzika z masy perłowej, przez tłum przechodzi szept „Jakie to symboliczne”. Pozornie nie zdając sobie sprawy z tego, co dzieje się wokół nich, dwaj identyczni bracia siedzą na krzesłach ogrodowych, a jarzące się koniuszki papiero-

sów trzymany w ich żywo gestykujących dłoniach przyciągają ciekawskie ómy.

Jak możesz twierdzić, że wierzysz zarówno w sekularyzm, jak i ten pomysł z Pakistanem? – Sulaiman podniósł popielniczkę i postawił ją sobie na kolanie, w zasięgu ręki Akbara.

- Wierzę w sekularyzm, ale nie wierzę w Kongres. Jeśli teraz nie chcą przystać na kompromis, czemu mieliby to zrobić po odwołaniu Anglików? Och, Sully, podziały istnieją. Obwiniaj za to kogo chcesz - Anglików, polityków, hindusów, muzułmanów, kogokolwiek. Prawda jest taka, że podziały istnieją; dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. A obopólne relacje to nie automobile, ich nie można cofnąć. Ani relacji pomiędzy jednostkami, ani pomiędzy grupami. I na pewno nie pomiędzy Kongresem a Ligą. Gdyby Anglicy wycofali się po pierwszej wojnie światowej, może byłoby inaczej. Ale teraz za późno już na te mrzonki, Sulaimanie.

- Jeśli Pakistan naprawdę powstanie, a tyto poprzysz, to dopiero wtedy będzie za późno.

- Czy ty nie widzisz, że historia nas omija? – Podał swojego papierosa Sulaimanowi, który najbardziej lubił ostatni sztach. - Inne nie-całkiem-bliźnięta kształtowały historię, a nas to ona kształtuje. Jedyna władza, jaką mamy, to władza nad swoim własnym życiem.

- I naszym wspólnym, Akbarze. - Sulaiman wstał, a Meher Dadi cofnęła się w cień, żeby jej nie dostrzegł. Powiedziała, że zawsze tego żałowała. Może gdyby do nich podeszła, przerwała tę rozmowę, wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Jak możesz nawet myśleć o opuszczeniu domu? - powiedział Sulaiman, wykonując ręką gest mający objąć cały Dard-e-Dil. - Bo to właśnie chodzi ci po głowie, tak? Ty nie jesteś tylko za ideą Pakistanu. Ty na-

prawdę chcesz tam żyć, prawda? Obaj wiemy, że choćby nie wiem jak ustalali granice - nie wierzę, że w ogóle o tym mówię - nie ma nawet najmniejszej szansy, żeby Dard-e-Dil znalazł się w Pakistanie. Więc jeśli wybierasz Pakistan, wyrzekasz się domu. Jak możesz? Nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby to zrobić, a co dopiero moi rodzeni bracia. Najpierw Taimur, teraz ty.

Akbar westchnął.

- Jeśli Pakistan zaistnieje - a zaistnieje, Sulaimanie... Przez pewien czas myślałem, że plan misji rządowej się powiedzie, ale skoro Nehru go nie zaakceptował... Och, przez chwilę nie mówmy o tym. Tak, jeśli Pakistan zaistnieje, wszyscy będziemy musieli podjąć tę decyzję: zostać czy wyjechać, i sądzę, że ja wyjadę. Ale będę przecież tuż obok. - Roześmiał się. - Przecież to nie tak, że zamierzam już nigdy nie widywać się z rodziną. Większość Dard-e-Dilów zostanie tutaj, wiem. Ale chciałbym, żebyś również pomyślał o wyjeździe. Pomyśl, Sulaimanie: nowe państwo, nowe horyzonty. - Wykonał taki sam gest jak Sulaiman kilka sekund wcześniej. - Spójrzmy prawdzie w oczy, to życie jest już skończone. Mimo jego dekadencji i klaustrofobii będziemy za nim płakać. Ale jeśli płakać będą i nasze dzieci, skarcimy je. Może właśnie dlatego Taimur odszedł. Nie chciał patrzeć, jak ten świat umiera.

- Och, dobry Boże. - Sulaiman uderzył się otwartą dłonią w czoło i zaczął przechadzać się po werandzie. - To dlatego chcesz wyjechać do Pakistanu, tak? Myślisz, że odnajdziesz tam Taimura. Czemu? Bo Liaquat jest jedynym politykiem, o którym coś kiedyś powiedział? Bo powtarzał, że chciał opcji innej niż Anglia czy Dard-e-Dil? Akbar, ty idioto.

Czy wierzyć Meher Dadi w kwestii tego, co stało się potem? Jak dobrze mogła widzieć, co się dzieje, schowana przed wzrokiem braci?

Twierdzi, że nawet wtedy, gdy Sulaiman zdawał się obrażać Akbara, wyciągnął rękę, żeby strząsnąć z jego ramienia jakiegoś owada. Akbar nie widział Sulaimana, ale poczuł - albo zobaczył - owada, i sam chciał go strząsnąć. Zamiast tego stracił rękę Sulaimana, nie zdając sobie sprawy, że dotknął koniuszków palców brata. Musiał myśleć, że dotyka owada, bo w innym wypadku odwróciłby się i chwycił dłoń Sulaimana w geście niemych przeprosin. Zamiast tego powiedział: „Zdejmij to ze mnie”. Twarz Sulaimana przybrała kamienny wyraz, i przeklął Akbara słowami „Idź do diabła”, na co twarz Akbara również przyjęła kamienny wyraz.

- Jeden z nas po odejściu brata doszedł do wniosku, że życie toczy się dalej. Jeden z nas nie zamierza spędzić reszty życia wśród rozpadających się ruin w oczekiwaniu na powrót brata. To nie ja jestem tu idiotą, Sulaimanie. Taimur nie wróci. Więc przestań dopasowywać swoje poglądy polityczne tak, żeby wpasować w nie jakoś jego powrót, i spójrz prawdzie w oczy. Od czasu ślubu z tą biedaczką jesteś nieszczęśliwy i zamiast skupić się na teraźniejszości, snujesz wizje przyszłego szczęścia, a wszyscy widzą, że to tylko żalosne substytuty prawdziwego życia. Indie, wolne, zjednoczone i demokratyczne. Taimur w domu. Twoje małżeństwo... No cóż, nie wiem, jakich mentalnych akrobacji musisz dokonywać, żeby czerpać z niego jakąś radość. Czasami jest z ciebie taki dzieciuch...

Meher Dadi zerwała się ze swojego miejsca, żeby powstrzymać to, co zdawało się już nieuniknione, ale było za późno. Sulaiman złapał Akbara za kołnierz.

- Masz rację. Twoje życie toczy się dalej. Już od roku nie słyszałem, żebyś choć wspominał imię Taimura. Twoje życie potoczy się dalej. Daleko ode mnie. Daleko od domu. Czy naprawdę nic cię z nikim nie łączy,

jestes przywiazany tylko do siebie samego? – Sulaiman odepchnal Akbara, jakby bal sie czymś od niego zarazić. - Gdy Taimur pisal o latawcach, którym podcięto sznurki, musial przewidziec coś takiego. A więc pakuj się, bracie. Jedź. Kto wie? Może Taimur naprawdę wróci. Może tylko czeka, aż ty wyjedziesz.

- Daj spokój. - Akbar wykonał dłonią lekceważący gest i odwrócił się, żeby wejść do środka.

- Cztery lata temu wrócił. Wrócił, Akbarze.

Od tej chwili wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Wyraz twarzy Akbara zmieniający się od pełnego niedowierzania, poprzez zaskoczenie, aż do złości. Wybuch fajerwerków na niebie za plecami braci. Pięść Akbara lądująca na szczęce Sulaimana.

Sulaiman chwycił się za szczękę i usiłował się podnieść.

- To prawda. Wrócił, gdy umierała mama. Taimur wrócił. Byłem akurat w jej pokoju, gdy się wśliznął. Tuż po kolacji. Został całą noc, mówił o przeszłości, sprawił, że ona się uśmiechała, a ja się śmiałem. Rano odszedł.

- Wtedy, gdy Abida i ja byliśmy w Delhi?
Sulaiman pokręcił głową.

- Oboje byliście w pokoju obok.

- I nie zawołałeś mnie?

- Taimur zagroził, że jeśli to zrobię, ucieknie.

- Kłamco! Przeklęty kłamco. - Akbar podniósł Sulaimana z ziemi i znowu go uderzył.

Sulaiman wydał z siebie straszny dźwięk. Dopiero po chwili Meher Dadi zorientowała się, że to śmiech.

- Czy nareszcie coś poczułeś, Akbarze? Tak mi przykro. Zadrasnałem twoje ego?

- Kłamiesz. On nie wrócił. Kłamiesz.

- Doprawdy? Pamiętasz, jak wszyscy myśleli, że przez te ostatnie dni mama majaczyła, bo wciąż opowiadała, jak to widziała w swojej sypialni Taimura? - Akbar złapał się obiema rękami za głowę, ale Sulaiman, plując krwią, nie ustępował. - Proszę, proszę cię, Akbarze, uczyn mi tę przysługę i wynieś się do Pakistanu, jak tylko będzie to możliwe. No, dalej, wyjedź z Dard-e-Dil. Jak tylko Taimur usłyszy, że cię nie ma, wróci tu w try miga. Akbar wstał.

- A więc przyjmij ten dowód braterskiej miłości. Wyjeżdżam teraz i już nie wracam. Nigdy. - Następnego dnia poleciał do Karaczi i przyjął złożoną mu już wcześniej propozycję dołączenia do brytyjskiej firmy. Do Dard-e-Dil nie wrócił już nigdy.

Rozdział siedemnasty



yszłam, zanim Dadi zdążyła wrócić ze swojej sypialni. Meher Dadi zdawała się to rozumieć.

- Po tej opowieści nie można oddawać się zwykłym pogaduszkom - powiedziała. - Idź do domu. Posiedź w ogrodzie, gdzie cykają świerszcze i posłuchaj, jak szepeczą duchy. Co jakiś czas zasługują na naszą uwagę.

Tak właśnie zrobiłam. Była to ulubiona przeze mnie pora dnia. Drzewa, domy i słupy elektryczne odcinały się wyraźnie od nieba, które było nie tyle ciemne, co pozbawione światła. Wspomnienie zachodu słońca, czas pomiędzy dniem a nocą. Położyłam się na trawie, zrzuciłam buty i podniosłam ręce, szeroko rozcapierzając palce, aby wieczorny wiaterek pieścił mnie wszędzie tam, gdzie mógł dotrzeć. Szelest liści był jak błogosławieństwo. Noce w Karaczi przypominają, że miejsca też można kochać i dla mnie zawsze był to powód do radości. Tej nocy myślałam o Akbarze, o tym, jak pierwszy raz leciał do Karaczi. Jakie to wszystko musiało być dla niego obce. Jakże zagubiony musiał się czuć w pierwszej chwili, gdy wysiadł i pomyślał: To będzie dom dla moich dzieci.

Poznają zachody słońca nad oceanem i smak dopiero co wyłowionych krabów, a pozdrawiać ich będzie morską bryza. Ale nie poznają Sulaimana, nie poznają Taimura.

A nie znając tych dwóch, nie będą znali również i mnie.

Miał dwadzieścia sześć lat.

Akbara i Sulaimana zdradziła historia. W każdym innym momencie patriarchowie rodu skarciliby ich za głupotę, powiedzieli, że nie są już dziećmi i zmusili do podania sobie rąk. Ale to był rok czterdziesty szósty i powietrze było aż ciężkie od najróżniejszych głupot.

Gdy bracia wrócili do jadalni, odsunięci od siebie na dobre kilka stóp, a zgromadzone towarzystwo ujrzało łzy Meher i szczękę Sulaimana, posypały się pytania.

Pierwszy przemówił Sulaiman.

- Mój brat przekonał mnie w końcu, że Pakistan to świetny pomysł. Tam właśnie możemy posłać wszystkie szumowiny Dard-e-Dilów, a on będzie pierwszy.

Atmosfera w pokoju i tak była już napięta, dobry nastrój spowodowany obiadem nie przetrwał do deseru. Gdyby Akbar i Sulaiman nie byli tak bardzo pochłonięci własną złością, słyszeliby podniesione głosy biesiadników przy stole, a po ciszy, która w pewnym momencie zapanowała, domyśliliby się, że Nabab, z całą przynależną sobie grzecznością i królewskością, zażądał, aby zaprzestano rozmów o polityce. Spokój, jaki zapanował, był mocno nietrwały i żeby go zniszczyć wystarczyło jedno zdanie Sulaimana. Przed końcem wieczoru określenia „kulturalna różnica zdań” oraz „strona neutralna” znikły ze słownika Dard-e-Dilów. Poza Akbarem, cała reszta rodziny obecnej tego dnia w pałacu współegzystowała w promieniu kilku mil aż do następnego roku, kiedy to powstał Pakistan. Był to dziwny, napięty rok, podczas którego rodzinna solidarność objawiała się naprawdę rzadko.

(A Nabab? Wszyscy zebrani na tamtej kolacji wołali na niego Binky. Więc jakże mógłby przywołać ich do porządku?).¹¹

Może rozpad ten był nieunikniony. W rodzinie tak dumnej i upartej jak Dard-e-Dilowie trudno wyobrazić sobie, aby ktoś po prostu wzruszył ramionami i uznał wybór między Indiami a Pakistanem za rzecz gustu. Zamiast winić rodzinne wady, winimy Akbara i Sulaimana.

Gdy Samia ostrzegła mnie, aby przy Baji nie wspominać o moich dziadkach, chodziło jej o to, że zgodnie z opinią ogółu - po obu stronach granicy, choć wtedy tego nie wiedziałam i zostałam uświadomiona dopiero przez Samię - więzi pomiędzy indyjską a pakistańską częścią rodziny zostałyby na nowo zacieśnione, gdyby nie Akbar i Sulaiman, bo każdy z nich oświadczył, że nie chce o bracie niczego słyszeć. Obaj bez przerwy przypominali reszcie rodziny wszystkie te ostre słowa, obelgi i klątwy rzucane nad stołem Nababa. Mówi się, że jedyną osobą zdolną do pogodzenia obu braci była Dadi, która jednak nigdy nie próbowała ich godzić. Gorzej, gdy pewnego razu - podczas wybierania świeczek na tort urodzinowy i smętnego wpatrywania się w nakrapiany lukier - Akbar zaczął zastanawiać się, co porabia jego brat, Dadi nazwała go mięczakiem.

Jak pogodzić tę opowieść z moim wspomnieniem, w którym Dadi płacze „Razem dorastałyśmy”? Wydaje mi się, że znam odpowiedź. Moi dziadkowie nie byli razem szczęśliwi. Ami powiedziała mi kiedyś, że Aba tak rzadko podnosi głos, bo dorastał w domu pełnym krzyku. Jeśli więc Dadi obsztorcowała Akbara za wzmiankę o Sulaimanie, może po prostu szukała wymówki, aby go obsztorcować.

Ale czy to w ogóle możliwe, że w ciągu dwudziestu pięciu lat nie było momentu, żeby jednocześnie zatęsknili za wszystkim, co pozostawili

¹¹ Binky - (ang.) imię często nadawane przez dzieci ulubionym pluszowym maskotkom.

za sobą, za każdym głosem, którego mieli już więcej nie usłyszeć? Prawda może być też taka, że łatwiej było podjąć jedną przełomową decyzję i poprzysiąc sobie wytrwanie w niej, bez oglądania się za siebie. Prawda może być też taka, że Dadi kochała Akbara tak mocno, iż nie pozwalała mu na myślenie o wszystkim, co utracił.

Ale co z tym, co utraciła ona?

Wstałam i podeszłam do hibiskusa Mariam Apy. Po odejściu Mariam, *mali* spytał Ami, co ma zrobić z tym hibiskusem. Ami poleciła mu go pielęgnować tak samo, jak robiła to Mariam, i nigdy, przenigdy, nie obcinać odstającej gałęzi widocznej z okna jadalni. Czasami myślę, że za Mariam Apą najbardziej tęskniła Ami. Nieobecność Mariam nie prześladowała jej. Jej odejście nie złościło mamy, a to, że pewnych rzeczy nie udało jej się dostrzec w porę, nie wytrącało jej z równowagi. Po prostu za nią tęskniła. Gdyby Mariam wróciła, Ami byłaby jedyną osobą, która powiedziałaby „Cieszę się, że jesteś”

I uznała temat za zamknięty. Ale gdyby Mariam wróciła z Masoodem? Do tego nigdy by nie doszło, więc nawet nie brałam tego pod uwagę.

Bierz pod uwagę, nakazałam sobie samej. No dalej, bierz pod uwagę. Ale nie mogłam.

Przesunęłam palcami po hibiskusie, podrapałam korę paznokciami. Gdy Mariam była z nami, nie miało to dla mnie znaczenia, ale teraz czułam straszną potrzebę, żeby ktoś pozwolił mi ją zrozumieć. Myślałam, że zaprowadzi mnie do niej Taimur, o ile tylko zadam właściwe pytania, ale i Taimur wymykał mi się coraz bardziej. Wyjść z domu i nigdy nie wrócić - poświęcić się całkowicie tworzeniu sobie nowego domu - to jeszcze byłam w stanie zrozumieć. Historia Dadi i Akbara nie zaskakuje mnie,

choć czasami mnie przygnębia. Ale nie mogę zrozumieć, jak można opuścić dom, a potem wrócić tylko raz, na jedną noc. W jakiś sposób musiał śledzić losy rodziny. Jak inaczej dowiedziałyby się o chorobie swojej matki? Jak inaczej Mariam wiedziałyby, że jej najbliższym krewnym, poza Dadi, która w tym czasie była w Paryżu, jest Aba? Jej najbliższym krewnym w Pakistanie, ma się rozumieć. I dlaczego wybrała Pakistan, a nie Indie? Czy już wcześniej mieszkała w Pakistanie? Czy Taimur trafił w końcu do Pakistanu, jak zdaniem Sulaimana przewidywał Akbar? Czy może z miejsca, w którym mieszkali Taimur i Mariam było po prostu bliżej do Pakistanu niż do Indii? Czy to oznacza, że pochodziła z Iranu? Z Afganistanu?

Z Turcji?

Gdy Samia zaczęła studiować w collegeu w Londynie, wpadła w dziwaczne, artystowskie środowisko, które spędzało piątkowe wieczory na oglądaniu zagranicznych filmów oraz jedzeniu dobranych do nich potraw. Grupa rozpadła się w następstwie kłótni o to, czy filmom niemieckim powinny towarzyszyć hamburgery. Do tego czasu Samia zdążyła już zapalać miłością do filmów z napisami. Po powrocie na Wielkanoc do Karaczi domagała się, abyśmy przetrząsali z Sameerem wszystkie sklepy z kasetami video w poszukiwaniu zagranicznych filmów. Gdy wróciliśmy ze stertą hollywoodzkich hiciorów, nie była zachwycona.

Więc Sameer i ja znowu wyruszyliśmy na poszukiwania i wróciliśmy z filmem tureckim, który człowiek w sklepie dał nam za darmo, bo i tak nie mógł go sprzedać. Nie pamiętam już, o co w tym filmie chodziło, ale występowało w nim sporo kurczaków, pies z trzema nogami oraz facet imieniem Murat. Nigdy w życiu nie wysiedzielibyśmy na tym filmie, gdyby nie mój i Sameera strach przed gniewem Samii oraz duma samej

Samii, która nigdy by się nie przyznała, że już woli oglądać amerykańską komercję. W połowie filmu do pokoju weszła Mariam Apa i zaśmiała się z napisu: „Chce pan wynająć pokój?”. Potem rozśmieszyło ją: „Czy to słońce?”, a na „Wyglądasz prześlicznie” prawie spadła z krzesła.

Trzy miesiące później Samia wysłała Sameerowi pocztówkę:

Wiesz co, Sam 2? Pamiętasz ten turecki film? Wspomniałam o nim mojemu koledze z Turcji, Omerowi i on twierdzi, że to wspaniała komedia. Subtelny, wyrafinowany humor! Niektóre teksty zna na pamięć. Kilka z nich mi przetłumaczył i faktycznie były zabawne, choć nie przypominam sobie, aby miały to coś wspólnego z tamtymi napisami. Pewnie dostaliśmy jakieś kiepskie tłumaczenie.

Muszę lecieć - są truskawki.

Całuję,

Samia

PS Jak to możliwe, że Mariam rozumiała te dowcipy?

Przez kilka kolejnych dni po przeczytaniu tej pocztówki starałam się niby mimochodem wspominać przy Mariam o Atatiirku, Istambule i rachatlukum, ale nie wykazała nawet najmniejszego zainteresowania. Nigdy jednak tego nie zapomniałam.

Czemu Taimur miałby jechać do Turcji?

I znowu wróciliśmy do Taimura, człowieka-zagadki.

Faktycznie, tuż przed narodzinami trojaczków w rodzinie było sporo krewnych związanych z ruchem zmierzającym do przywrócenia kalifatu.

Przez całe dzieciństwo Taimura krewni często opowiadali o tym ruchu, który miał na celu ukazanie Anglikom, że muzułmanie z całego świata nigdy nie zaakceptują rozpadu Imperium Otomańskiego. Jeden z wujów nawet pojechał na kilka miesięcy do Turcji, na chwilę przed tym, jak Atatiirk uczynił ją krajem świeckim, a gdy wrócił, nalegał, aby wszystkie dzieci z rodziny poznały choć podstawy języka tureckiego. Można sobie zatem wyobrazić, że w sercu Taimura Turcja zajmowała ważne miejsce. Na pewno zajmowała ważne miejsce w sercach większości hinduskich muzułmanów z pokolenia jego rodziców, a Taimur zawsze uwielbiał przysłuchiwać się opowieściom starszych. Ale nawet jeśli... Jak brzmi opowieść Taimura?

Wokół mnie zaczęły brzęczeć komary, więc owinęłam się *dupatta* jak szalem, żeby osłonić gołe ramiona przed ukąszeniami. Gdy byłam mała, wmawiałam sobie, że jeśli przez całą godzinę zniosę ataki komarów, to uda się wyprawa na łódkę planowana na dzień następny. Jeśli z wyprawy nic nie wyszło, tłumaczyłam sobie to tak, że siedziałam na dworze tylko pięćdziesiąt dziewięć minut, albo że oszukiwałam, bo potem posmarowałam skórę łagodzącym balsamem, albo że to przez mój sen, w którym wszystkie komary wyzdychały.

Czy ta dziecięca logika naprawdę różni się od mojego dorosłego myślenia? Jeśli zadam właściwe pytania, otrzymam odpowiedzi. Jeśli ich nie otrzymam, to dlatego, że pytania były złe, że nie udało mi się wyciągnąć szczegółów od osób, które nie lubią wspominać, że nie zapamiętałam tego jednego podniesienia brwi, które mogło wszystko zmienić. Ale co z momentami ciszy, których w opowieściach nie można odtworzyć? Co z zapomnianymi przecinkami, które tworzą opowieść tak samo jak wy-

krzykniki? Masood powiedział kiedyś: „Dlaczego przy wymienianiu się przepisami ludzie tak często zapominają wspomnieć o soli?”.

Roześmiałam się, a Masood - co do niego niepodobne - obraził się, że nie wzięłam jego słów na serio i tego wieczoru podał nam nieposolone potrawy.

- Co to ma być? - powiedział po pierwszym kęsie Aba, z przerażeniem wpatrując się w swój talerz. – Co to ma być?

Jak nieobecność jednego składnika jest w stanie zmienić smak posiłku, tak nieobecność jednego szczegółu może zmienić całą opowieść. Ile soli zabrakło w opowieściach, które snuli moi krewni? Ile soli zabrakło podczas mojego własnego przetwarzania wspomnień o Mariam i Masoodzie w opowieść? Na to pytanie częściowo znałam odpowiedź. Zabrakło moich reakcji. Ostatnio zaczęłam sobie wmawiać, że pewnego dnia, gdy już wszystko rozwikłam, dodam do tej opowieści samą siebie i powiem, że z początku zareagowałam okropnie. Potem wyjechałam daleko, daleko i dałam sobie czas na przemyślenie i na to, aby mój umysł zaakceptował to małżeństwo. A potem, któregoś dnia, zaakceptowało je moje serce. Wtedy to pojechałam odwiedzić Khaleela w Liaquatabadzie.

Gdyby to było takie proste.

Wyobraziłam sobie, jak Khaleel śmieje się: „Sól? Jakie to pospolite. A ja myślałem, że przyprawiasz metafory co najmniej szafranem”.

Masood uwielbiał szafran, ale gdy mówił o jedzeniu w kategoriach przywiązania, zawsze nawiązywał do tej jakże pospolitej przyprawy. „Wierzę w Boga, bo żadna nauka nie jest w stanie wyjaśnić cudu soli” - powiadał, a ja, teraz już mądrzejsza o tę jedną lekcję, kiwałam głową.

A co, jeśli żadna opowieść nie jest w stanie wyjaśnić zagadki wyjazdu Taimura?

Wstałam tak szybko, że znowu musiałam usiąść.

Czy to mogło być takie proste? Mariam Apa nigdy nie mówiła, bo mówienie oznaczałoby wyjaśnianie decyzji Taimura, a tego nie była w stanie zrobić. Więc chowała się za jadłospisami - w tym cudownym, choć ciasnym świątku obiadu, kolacji i, czasem, podwieczorku - wyznaczającymi granice tego, co mogła i czego nie mogła powiedzieć. Wiedziała, jak wiemy my wszyscy, że nie ma sensu zastrzegać, iż na jakiś temat nie będzie się wypowiadać, bo wszystko łączy się ze wszystkim. Zaczynasz mówić o krykocie, a za pięć minut, bez żadnego non sequitur, przerucasz się na produkcję mleka jaków. Zadajesz komuś jakieś pytanie i wystawiasz się na jego pytania. Mariam nie zadawała żadnych pytań, nie dawała żadnych wskazówek, nie wszczyniała żadnych rozmów, które mogłyby wymknąć się spod jej kontroli. Postanowiła nie wypowiadać się na żaden temat, z wyjątkiem jednego. To jedyny sposób, aby dochować tajemnicy.

Albo... Ścisnęłam głowę rękoma, niepewna, czy chcę spowolnić czy przyspieszyć procesy myślowe. Coś zaczynało mi świtać... Czy wszystkie nasze teorie dotyczące milczenia Mariam były błędne? Zakładaliśmy, że w jej ciszy chodzi o niemówienie, ale co, jeśli chodziło o nie niesłuchanie? Czy krążyła niema między nami, aby obserwować? Skupiała się tylko na słuchaniu, bo chciała usłyszeć coś konkretnego? Może my czekaliśmy, aż odpowie nam na wszystkie pytania o Taimura, a ona w tym czasie czekała, aż pomożemy jej zrozumieć, dlaczego jej ojciec odszedł od rodziny, za którą ona tak bardzo tęskniła, gdy dorastała. Czy to my zawiedliśmy, nie słysząc pytań, które wykrzykiwała ciszą?

Czy też może odpowiedzieliśmy jej w końcu na te pytania, a usłyszawszy odpowiedzi, mogła tylko pójść w ślady Taimura i odejść?

Rozdział osiemnasty



wa rzadkie i godne odnotowania wydarzenia.

Po zalogowaniu się do skrzynki pocztowej znalazłam wiadomości od Samii i Celeste. Wiedziałam, że Samia na pewno będzie miała coś do powiedzenia na temat herbatki u Baji z Khaleelem, więc w pierwszej kolejności kliknęłam na mail od Celeste.

Cześć, mała.

Co słyhać u mojej ulubionej dekadencjonalnej Pakistanki? Myślałam o tobie wczoraj (nie żeby rzadko mi się to zdarzało!), gdy wspólnie z bratem oglądaliśmy film z Audrey Hepburn – były metalowiec stał się teraz miłośnikiem filmów z lat pięćdziesiątych. Jaki film? Zgadłaś – *Sabrinę!* Zawsze ją lubiłam, mimo tego że ignoruje sztywne, choć niepisane, podziały klasowe w USA, ale wczoraj nie byłam w stanie się na niej skoncentrować. Nie mogłam przestać myśleć o Tobie, Mariam i... palce same wklepują mi „Missouri” ale wiem, że nie tak się nazywa. Mussoodzie?

Cały czas czekam na wiadomość od ciebie, w której zdajesz mi relację ze swego nagłego objawienia. Wiesz, o co mi chodzi. Nasza sympatyczna, choć niepozbawiona wad bohaterka opuszcza swoją elitarną dzielnicę i, czerpiąc inspirację z maila od swojej amerykańskiej przyjaciółki (pamiętaj, w takich historiach zawsze występuje jakiś Euro-Amerykanin

odpowiedzialny za duchowe nawrócenie naszego snobistycznego bohatera z Trzeciego Świata), po raz pierwszy w życiu zauważa biedę, jaką klepią mieszkańcy innych części miasta... Nie! Po raz pierwszy odczuwa empatię... Tak więc rezygnuje z dotychczasowych przywilejów i postanawia poświęcić życie pomaganiu potrzebującym. Napisy końcowe.

Szczerze? Wiem, że to niełatwe. Docierające do nas skąpe wiadomości z Twojej części świata brzmią dość przerażająco. Powiedz, że to tylko amerykańskie media i ich stare numery. Tęsknię za Tobą. Kiedy wracasz do Stanów?

Całuję,

Twoja ulubiona twierdząca-że-nie-poddaje-się-dekadencji-ale-żyjąca-w-systemie-nią-przesiąkniętym Amerykanka

Szybko machnęłam odpowiedź.

C - W filmie, o którym mowa, nasza bohaterka nie zostałaby zainspirowana do działania przez Euro-Amerykankę. Ona sama *byłaby* Euro-Amerykanką, oświeconą przez jakąś mistyczną, choć mało skuteczną córę Wschodu.

Więcej w późniejszym terminie.

Całuję,

Do pokoju wszedł Sameer, z dwiema szklankami coli w dłoniach i dwiema paczkami chipsów chilli w zębach.

- Hej! - powiedział, a chipsy spadły obok mnie, na biurko. - Nie ma na nich śladu śliny, przysięgam. Cud nad cudami... Czy to nie wiadomość od mojej siostry?

Nie chciałam, aby ktoś, nawet Sameer, zobaczył, jak czytam wiadomość o Khaleelu, więc kliknęłam znowu na mail od Celeste i zajęłam się chipsami. Zgniotłam torebkę w dłoniach i zaczęłam nią energicznie potrząsać, żeby równomiernie rozprowadzić masalę. Kiedyś spytałam Masooda, czy potrafiłby przyrządzić chipsy chilli, które smakowałyby tak samo jak te z paczki. Nagryzł podany mu czerwony prostokącik i zrobił zbolaną minę. „Poprosiłabyś Ghaliba, aby napisał za ciebie list do przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego?”

Odsunęłam laptop.

- Właśnie sformułowałam pewną teorię, Reemas.

- Gadaj, Bracie Lisie¹².

- Nie, matołku. To twoje imię na wspak. Reemas.

- A, Reemas, nie Remus od Wuja Remusa. Nie Remus od Romulusa. Sama jesteś matołek. - Kopnął w moje krzesło, a ja usiłowałam sobie wyobrazić, jak wyglądałyby moje powroty do Karaczi, gdyby nie było tu Sameera.

Kochać dane miejsce to jedno, ale tym, co się naprawdę liczy, są ludzie zamieszkujący to miejsce. Czemu Taimur opuścił Dard-e-Dil?

- Pani teoria, pani profesor?

- Snobizm opiera się na strachu.

- To już teraz brzmi wyjątkowo nieoryginalnie. - Wsypał sobie do ust garść chipsów i podlał je colą, żeby podbić nią smak masali.

¹² Brat Lis i Wuj Remus są bohaterami murzyńskich przypowieści zebranych w 1881 roku przez Joela Chandlera Harrisa w książce *Uncle Remus, His Songs and His Sayings*.

- Nie, nie chodzi mi o strach przed rewolucją czy coś w tym rodzaju. Strach przed ubóstwem. Strach przed byciem zupełnie bezsilnym, niezauważanym. Nie chodzi o to, że *nie* rozumiemy ludzi z nizin społecznych, tylko właśnie o to, że ich rozumiemy. Potrafimy sobie wyobrazić, jak żyje się w niedostatku. Tym, co dystansuje nas od nędzarzy, jest strach, że kiedyś my sami albo nasze dzieci możemy tak skończyć. Gdy zachowujemy dystans, nie musimy o tym myśleć.

- Powiedz, że dopiero teraz wpadło ci to do głowy i że nie miałaś czasu, żeby się nad tym zastanowić.

- Czemu?

- Po pierwsze, twierdzisz, że nie ma różnicy między klasą a zamożnością? Nie słyszałaś, jak twoja Dadi albo nawet twoi czy moi rodzice rozmawiają o nuworyszach?

Czy na drabinie społecznej jesteśmy niżej od naszych sąsiadów, Mushtaaków, którzy specjalnie wyrywają sobie zęby tylko po to, żeby na ich miejsce wstawić złote?

- Nie wiemy, czy wyrywają sobie zęby specjalnie.

- Taa, jasne. Cała rodzina cierpi na rzadką chorobę, zwaną dentotrądem.

- Mniejsza o zęby. Wracając do mojej teorii, myślę, że stosunek naszej rodziny do nuworyszy to kolejny objaw strachu. W ich towarzystwie czujemy się nieswojo, bo przypominają nam, jak płynne są podziały klasowe.

Rodzice Mushtaaków mogą być uznawani za nuworyszy, ale ich dzieci pójdą do dobrej szkoły, gdzie nabiorą ogłady.

Kolejne pokolenie wżeni się w godne szacunku, choć już nie najbogatsze rodziny i sami Mushtaakowie zaczną spoglądać z góry na nuwory-

szy. To przypomnienie, że status społeczny nie jest wieczny. Gdy Mush-
taaowie pną się w górę, ktoś inny upada, a tym kimś możemy być my.

Sameer przyciągnął do siebie mój laptop i przeczytał wiadomość od Celeste.

-Rozumiem.

-Co?

-Czujesz się winna, bo nie poświęcasz życia poma-
ganiu potrzebującym, a sumienie mamisz teorią, że twój snobizm podyktowany jest two-
ją wielką empatią. Och, *baychari* Aliya. Zbyt wrażliwa, by zadawać się z
biedotą!

Slogan w typie Wykrochmalonych jak się patrzy!

Miał rację, ale ja również ją miałam.

-Co byś zrobił, gdybyś jutro spotkał Masooda? – Jakie to dziwne, że
nigdy wcześniej go o to nie zapytałam.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Chyba bym się przywitał. Powiedział mu, że tęskni za
nim moje podniebienie. Jeśli pytasz, czy zaprosiłbym go do domu na her-
batę, to nie, nie zrobiłbym tego. A gdybym to zrobił, on by i tak odmówił.

- Ale dajmy na to, że... Pamiętasz, jak mówił, że chciałby nauczyć się
czytać po angielsku? A jeśli Mariam Apa nauczyła go? A jeśli czytał, no
nie wiem...

- Frantza Fanona? - Sameer machnął ręką. - Mówisz, że chodzi tylko
o wykształcenie? Wielka pozytywistka. Myślisz, że jeśli czytało się Johna
Ashberyego wszelkie różnice przestają mieć znaczenie. Daj spokój, Aliy-
a, jesteś przecież mądrzejsza.

Poczułam, jak na wzmiankę o Ashberym na policzki wpełza mi ru-
mieniec.

- To nie fair.

- Do diabła z fair. Spędziłaś pół godziny z tym Khaleelem, sorry - Calem. On cytuje twoich ulubionych poetów, a ty nie potrafisz pogodzić się z faktem, że twoje uprzedzenia walczą z hormonami, więc sama siebie usiłujesz przekonać, że nie przemawia przez ciebie snobizm tylko empatia. Ty nikogo nie dyskryminujesz. Ty po prostu lepiej czujesz się w towarzystwie osób wykształconych. Teraz wszystko zmieniasz pod tę teorię, łącznie z tym, co czułaś w stosunku do Mariam i Masooda.

Przypomniałam sobie, jak Khaleel pił herbatę ze spodeczka. Jak bardzo chciałam wierzyć, że zrobił to tylko po to, żeby mnie sprawdzić. Tego nie była w stanie zmienić cała poezja świata.

- No dobrze, idź już sobie.

- Aliya, Aloo, kuzyneczko. Posłuchaj mnie. To się nie uda. Sam próbowałam z koleżanką z pracy. Nie stała niżej na drabinie społecznej, nic z tych rzeczy. Po prostu pochodziła z rodziny zupełnie innej niż nasza. Najlepiej dobierają się ludzie podobni do siebie. Słuchaj, jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej, to pomyśl sobie, że rezygnujesz z niego z powodu tej różnicy, a nie z powodu snobizmu. Przyznaj sama, czy widzisz się na ślubnym kobiercu z tym facetem? Wyobrażasz sobie, jak przyjeżdżasz do Karaczi na święta i mieszkasz u jego rodziny w Liaquatabadzie?

Tylko mi nie mów, że nie przeraża cię ta myśl.

Przerażała mnie ta myśl.

- Kto tu mówi o ślubie?

- Musisz myśleć długoterminowo. Jeśli od początku czujesz, że to nie wypali, zminimalizuj straty. Czemu zaczynać coś, co nie może się rozwinąć?

- Mariam to zrobiła.

- Myślisz, że jest szczęśliwa?
- Myślisz, że on jest szczęśliwy? Czemu nigdy o to nie pytamy?
- Doskonale wiesz, czemu nigdy o to nie pytamy.

Dlaczego wrócił po śmierci ojca do wioski, w której się urodził? Czemu wrócił? Miał już dość udawania?

Czy to była jego wersja, ultimatum? Zawsze myślałam, że obywali się bez sprzeczek, zazdrości i pretensji. Zupełnie jakbym mogła zrozumieć ten związek - dlaczego nie mogłam powiedzieć po prostu „romans”? - tylko wtedy, gdy wyobrażałam go sobie jako jakiś mityczny, dwuwymiarowy twór, przerysowany a jednocześnie subtelny.

Jak dowiedział się o śmierci ojca? Jak powiedział o niej Mariam? Kiedy postanowił odejść?

Dzień przed odejściem Masooda moi rodzice wyprawiali uroczystą kolację. Masood przypalił *naany* i musiał pojechać na rowerze po nowe, co opóźniło przyjęcie o kilka minut. Dziwne, że zapamiętałam taki szczegół, ale zapamiętałam go dlatego, że dopiero co nauczyłam się jeździć samochodem, więc zaproponowałam, że podrzucę go do *naanwallaha* za rogiem. Masood nie zgodził się.

- Nie ufasz moim umiejętnościom za kierownicą? - zaśmiałam się.
- To będzie źle wyglądało. Ty w roli szofera, ja w roli pasażera.
- Bzdura. Skoczę po kluczyki. Nie wychodź.

Ale wyszedł. Gdy wypadłam przed dom z kluczykami i zaczęłam wołać Masooda, zobaczyłam stojącą na podjeździe Mariam Apę. Pokręciła głową i zakręciła młynka palcami wskazującymi, co miało oznaczać koła roweru.

- Czemu on stroi takie fochy, Apo? W zeszłym tygodniu podwiozłam na przystanek *malego*. – Chciałam też dodać: „A poza tym, Masood to

prawie rodzina", ale się powstrzymałam. Wiedziałam, że to nieprawda, ale czemu zachowywał się tak, jakbym była panią, a on służącym, a nie jak...

A nie jak? - spytały mnie podniesione brwi Mariam Apy.

A nie jak byśmy byli dwojgiem ludzi, którzy często jadają razem, gdy rodzice i Mariam Apa wychodzą gdzieś wieczorem. Zwłaszcza w chłodniejsze dni, kiedy siedzenie po turecku pod drzwiami kuchni i pod rozgwieżdżonym niebem sprawia wyjątkową przyjemność.

Mariam Apa udała, że wystukuje numer telefonu.

Tak, ostatnio, jeśli rodzina wychodziła gdzieś na kolację, często dzwoniłam do Sameera albo do kogoś ze szkoły, żeby umówić się na wieczór. Nie chciałam, aby Mariam Apa mi o tym przypominała.

Cztery lata później pozwoliłam sobie rozważyć możliwość, że tamtego wieczoru moja rola była tylko i wyłącznie epizodyczna. Załóżmy - i nawet nie jest to założenie tak bardzo naciągane - że o śmierci ojca Masood dowiedział się już tego wieczoru, a nie następnego dnia rano. Dowód? Przypalił *naany*. Masood nigdy niczego nie przypalał. Więc załóżmy, że usłyszał o śmierci ojca. Było to w dzień przyjęcia, wszyscy siedzieli w bawialni i mogli nie słyszeć telefonu - wszyscy, z wyjątkiem Masooda. A więc zadzwonił telefon w kuchni, Masood go odebrał, a kilka minut później do kuchni weszła Mariam.

Tutaj akurat nie zmyślam. Była w kuchni, jestem pewna, bo to ona powiedziała mi, że *naany* się przypaliły. Szłam właśnie do mojego pokoju, a gdy Mariam wyszła z kuchni, byłam gdzieś pomiędzy bawialnią a moją sypialnią. Gdybym tylko mogła to sobie przypomnieć, ale nie pamiętam, czy coś kazało mi spytać: „Co się stało?”, czy też sama z siebie pokazała mi kawałek spalonego *naana*.

Mariam kochała Masooda a Masood kochał Mariam i swojego ojca. Ojciec zmarł. Masood odwiesił słuchawkę. Do kuchni weszła Mariam. Dom był pełen ludzi.

Mariam wiedziała, że wśród tych ludzi może być ktoś, kto wejdzie do kuchni, chcąc zobaczyć, co też Masood gotuje albo sprawdzić, dokąd poszła Mariam, albo żeby poprosić o więcej lodu. Wiedziała, że jedyne, czego w tym momencie pragnął Masood, to zapłakać w jej ramionach.

Czy to wtedy *naany* się przypaliły? Czy może później, gdy Mariam w końcu położyła mu dłoń na ramieniu, ale twarz miała cały czas zwróconą lekko w stronę drzwi i nasłuchiwała kroków, a Masood powiedział: „To nie może dłużej trwać. Ja zwariuję. Oboje zwariujemy”.

Nie mogę winić Mariam, że nasłuchiwała kroków, również moich. Kiedyś myślałam, że jeśli Masood znaczyłby coś dla mnie, obwiniałabym ją za wszystko, co zrobiła mu przez te lata. Ale co tak naprawdę zrobiła, oprócz tego, że kochała jego i nas? Czy winiłam Masooda? Tak, miesiącami. Tak, za wszystko. Aż któregoś dnia byłam w stanie powiedzieć sobie: „A co on tak naprawdę zrobił, oprócz tego, że kochał ją i tylko ją?”.

Sameer strzepnął mi okruszek z twarzy.

- Wiesz, że już nigdy jej nie zobaczysz, prawda?

Wstałam i podeszłam do szklanych drzwi wiodących do ogrodu. Rozsunęłam zasłony i przycisnęłam czoło do szyby. Krzesła na tarasie pokrywał pył.

Karaczi jest pełne zakamarków i zakrętów, dorastałam więc z nadzieją, że znajdę ją za następnym zakrętem.

Jak mogłam dalej żyć pomiędzy tymi zakrętami? Jak mogłam przestać tak żyć?

Inni ludzie nigdy nie przypominali mi Mariam, ale nie chcę przez to powiedzieć, że nic mi o niej nie przypominało. W najmniej spodziewanych momentach przedmioty codziennego użytku stawały się wrotami pamięci. Klamerka przy bucie, kółko z kluczami, pestka mango zbielała od słońca, płynąca woda, tory kolejowe, kocie łby i koszenila. Kaktusy, kocie oczy, Cocteau i latawce. Pęknięte talerze, tory wyścigowe, baseny i trampoliny, muchy, meduzy, bugenwilla, kamienie. Świerszcze, nietoperze i kije do krykieta.

Wiem, Cocteau nie jest przedmiotem użytku codziennego, ale Mariam kochała *Orfeusza*.

A co, jeśli Mariam nie żyje? Skąd mogłabym o tym wiedzieć? Czy lepiej jest nie wiedzieć? Myślałam nad tym, rysując palcem kółka na szybie. W ten sposób dla mnie zawsze będzie nieśmiertelna, póki żyję. Nie muszę nawet zмагаć się z ostatecznością jej śmierci. Myśl ta powinna mnie pocieszyć, ale tak nie było. Gdyby umarła, chciałabym to wiedzieć i móc ją opłakiwać. Kółka na szybie zaczęły się wywijać na zewnątrz, zamieniły się w spirale.

Mariam, gdy o tobie myślę, zamarzam. Moje myśli płyną wszędzie i nigdzie. W moim życiu nie ma niczego, co byłoby niezwiązane z twoją nieobecnością. Sądzę, że polubiłabyś Khaleela. Nie wiem, czy w związku z tym powinnam do niego biec czy może uciekać od niego jak najdalej.

- Aliya, o co chodziło twojemu tacie wtedy, po obiedzie? Pamiętasz, tuż po twoim powrocie? Gdy wróciłem po odprowadzeniu Abidy Nani, mówił właśnie „Trzeba było zwolnić Masooda, gdy...”, a twoja mama kazała mu siedzieć cicho.

- Nie wiem. - Zupełnie o tym zapomniałam.

Sameer wstał.

- Idę poszukać twojej mamy. Może nam powie. Pod moją nieobecność możesz wreszcie przeczytać ten mail, który tak zapamiętała przede mną chowasz.

Wyszedł, a ja z wdzięcznością przysunęłam się do laptopa.

Cześć, Alimencie!

Twój mail o herbatce u Wykrochmalonych rozśmieszył mnie do łez! Poważnie. Ktoś zadzwonił do drzwi, a ja nie mogłam otworzyć, bo miałam taki *haal*, wyobrażając sobie, jak Wykrochmalona wpycha starszemu Ali Shahowi jedzenie do ust, żeby przestał cię czarować. Ale oczywiście nie o tym chcesz usłyszeć, co zresztą subtelnie przekazałaś mi w swojej poprzedniej wiadomości. „Co słyhać u Baji? Widziałaś się z nią ostatnio?” Akurat! Czemu nie przyznasz po prostu, że tylko Cal Ass Ci w głowie? Cóż, wszystkim się spodobał, jeśli to chciałaś wiedzieć, ale po jego wyjściu Baji (która jakoś musiała wyczuć, że jesteś nim zainteresowana, choć ani Rehana, ani ja nie przypominamy sobie, abyśmy zdradziły się choć jednym słowem) stwierdziła:

„No tak, ale nie bierze się ślubu z jednostką. Ślub bierze się z całą rodziną”. Normalnie miałabym gdzieś te jej ślubne mądrości. Krótkie romanse też są super i gdyby nie ty, sama już zastawiałabym na niego sidła. Ale ty nigdy nie byłaś typem osoby, która lubi jednorazowe przygody, choć, szczerze mówiąc, Liaquatabad powinien powstrzymać Cię przed planowaniem z nim czegoś na dłuższą metę. Wyciągnęłam z niego tyle, że u jego krewnych w Karaczi kiepsko z angielskim, że nigdy nie wyjeżdżali z kraju i wierzą, iż cała rodzina powinna żyć pod jednym dachem (coś straszego, pomyśl tylko - mieszkać w domu, po którym bez przerwy pa-

łętają się wszyscy twoi krewni, a co dopiero jeszcze jego rodzina). Wiem, że mieszka w Ameryce (twierdzi, że szuka pracy, która umożliwi mu podróżowanie po świecie), ale jeśli się zejdziecie, kontakty z jego rodziną w Karaczi będą nieuniknione, a to będzie katastrofa, której ofiarą niewątpliwie zostaniesz! Może to i snobizm z mojej strony, ale co, do cholery, mamy do powiedzenia większości naszych rodaków? Możemy porozmawiać o krykocie i ponarzekać na polityków, ale co potem? *Nie przeczę, to mogą być wspaniali ludzie, ale nie o to chodzi.*

No, powiedziałam, co chciałam. A teraz przekażę Ci wiadomość od niego, którą napisał mi na ręce jakimś przeklętym niezmywalnym pisakiem, który zszedł dopiero po potraktowaniu go połową kostki mydła. Napisał: „Echo stapania dudni nam w pamięci / Przejściem, w któreśmy sami nie wchodzili nigdy, / Ku drzwiom zamkniętym, których nie otwieraliśmy nigdy, Do różanego ogrodu. / Tak echem w pamięci są wam i moje słowa”.¹³

Dla mnie to trochę pretensjonalne, ale Ty pewnie myślisz, że czarujące. (Czarujące, Aliyo, jest cytowanie Yeatsa. Cytowanie Eliota to już popisywanie się). Cały czas nie jest pewny, kiedy będzie w Karaczi, ale na pewno przed końcem lata. Biłam się z myślami, czy przekazywać Ci tę wiadomość, czy nie, ale Rehana Apa zagroziła, że jeśli tego nie zrobię - i to szybko – to przywiąże mnie do kolumny Nelsona i zacznie karmić okoliczne gołębie suszonymi śliwkami i otrębami. W najbliższym czasie nie spodziewaj się ode mnie kolejnej wiadomości. Ta mnie wykończyła, a na dodatek muszę jeszcze przerobić całą stertę książek o polityce

¹³ T.S. Eliot, *Burnt Norton, Cztery kwartety. Wybór poezji*, przekład Czesława Miłosza, Ossolineum, Wrocław 1989, str. 221.

fiskalnej indyjskich władców w osiemnastym wieku.
Pozdrowienia dla całej rodziny (poza Wykrochmalonymi),

Samia

Przejsście, w któreśmy sami nie wchodziłi nigdy. Drzwi, których nigdy nie otwieraliśmy. Co ja sobie myślałam? Sameer miał rację - rozmawiałam z Khaleelem raptem pół godziny... Nie, właściwie coś koło godziny. Wypicie filiżanki kawy nigdy wcześniej nie zajęło mi tyle czasu. Ale i tak była to tylko godzina. Poza tym, nie miałam zamiaru wychodzić za mąż przed napisaniem pracy magisterskiej i spójrzmy prawdzie w oczy - gdy myślałam o Khaleelu w uszach grał mi nie marsz weselny, tylko coś na kształt wolnego jazzu. Ale... W wieczór poprzedzający mój wyjazd z Londynu Samia powiedziała: „Nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, ty też nie. Ale wiem - a po tym, co stało się dzisiaj ty też już wiesz – że wystarczy kilka minut, aby rozpoznać kogoś, kto może złamać ci serce". Tak.

Ze złamanego serca zwierzyłam się raz Mariam Apy.

Miałam wtedy szesnaście lat i byłam załamana, bo pewien chłopak flirtował ze mną tylko po to, żeby wzbudzić zazdrość u jakiejś tlenionej blondynki. Nie farbowanej, tlenionej. Czujecie?

Powiedziałam do Mariam Apy: „No, przynajmniej się tego dowiedziałam. Zranione ego, ale serce całe. Złamanych serc należy unikać".

Ona pokroiła na małe kawałeczki swój filet z kurczaka (upieczonego przez Masooda z chilli, czosnkiem i jogurtem) i poląła go sosem. Potem

wskazała na mój filet, wciąż w jednym kawałku. *Złamane serce ma większą powierzchnię niż serce, które jest całe.* Każdy dwujęzyczny człowiek zna to uczucie zaskoczenia, gdy wydaje mu się, że przemówił w danym języku, a ktoś inny uświadamia go, że wcale nie. Tak samo było z Mariam Apą. Byłam tak przyzwyczajona do tłumaczenia jej gestów na zdania, że czasami dziwili mnie ludzie, którzy wyglądali na zaskoczonych, gdy dokładnie cytowałam im jej słowa.

Jakoś musiała skontaktować się z Babujim i nakazać mu zaznaczyć gwiazdki przy naszych imionach na drzewie genealogicznym. Byłam tego pewna. Dodała te gwiazdki i teraz już nigdy nie użyję określenia „nie-całkiem-bliźnięta”, nie wliczając w ich szeregi siebie i Mariam. Wkrótce cała reszta rodziny dołączy nas do tej listy, o ile już tego nie zrobiła. Jak szybko rozniesie się wieść, że pojawiły się kolejne nie-całki? Wieść ta nikogo specjalnie nie zaskoczy. Tylko kilku krewnych powstrzyma się przed stwierdzeniem, że Mariam już spowodowała nieodwracalne straty, bo pozbawiła nas dumy. A nawet tych kilku przynajmniej tak pomyśli. Czy dane mi było spotęgować rodzinną hańbę, powtarzając jej czyn, dokonując wyboru może i mniej szokującego niż ona, ale bardziej brzemiennego w skutki, bo poszłam w jej ślady świadomie? Czy może miałyśmy albo ja miałam, udowodnić rodzinie, że nie-całki nie zawsze zwiastują nieszczęście? W takim wypadku byłby to pożegnalny prezent Mariam Apy dla mnie. Odwaga, żeby wziąć Khaleela za rękę i powiedzieć rodzicom, Dadi, Sameerowi, Samii, Wykrochmalonemu Ciotkom, Stryjecznej Babce Bon Mot, Wujowi-Kawalerowi, Zastraszonemu Kuzynowi i całej reszcie: *Tylko dlatego, że coś zawsze działo się w pewien sposób, nie oznacza, że zawsze musi dziać się w ten sposób.*

Otworzyłam szufladę biurka i uśmiechnęłam się do obrazu Celeste, przedstawiającego siwiejącą i promienną Mariam.

Potem przypomniałam sobie słowa Samii. *Nikt, nawet ty sama, nigdy nie uwierzy, że mogłabyś coś do niego czuć.*

Do pokoju wpadł Sameer.

- Mielicie w domu trójkąć miłosny. Mariam, Masood i Hibiskuso-
żercza Ayah.

TLR

Rozdział dziewiętnasty

Nie, zamiast tego jedź zobaczyć się z babcią.

-Aba!

- Aliya, bez dyskusji. - Aba odwrócił się do Ami. - Nie mogę uwierzyć, że jej o tym powiedziałaś.

Ami łypnęła na niego znad porozkładanych na podłodze próbek czerwonego dywanu.

- Nasser, to ty puściłeś farbę. Może wkrótce i tak prawda wypłynęłaby na wierzch, nie widziałam więc przeszkód, aby jej w tym pomóc. Nasza córka przynajmniej nie może już utrzymywać, że coś przed nią zatajaliśmy, gdy była na tyle dorosła, żeby poradzić sobie z trapiącymi nas od czterech lat problemami. A ten człowiek chce teraz nie tylko najczewiejszego dywanu na świecie, ale jeszcze takiego, na którym nie będzie widać ptasich odchodów. - Zaczęła znowu wpatrywać się ponuro w próbki.

- No dobrze, więc jej powiedziałaś. Co oznacza, że nie musi już spotykać się z żadnymi niańkami ani dyskutować z nimi o naszych krewnych.

- Aba, proszę cię! Mama powiedziała mi tylko, że Hibiskusożercza Ayah zwolniła się w przyływie szaleńczej zazdrości o Masooda.

- Niczego więcej się od nas nie dowiesz, bo tylko to wiemy. Choć nie, poprawka. Nawet tego nie wiemy, to tylko spekulacje.

Ami prychnęła.

Aba i ja piorunowaliśmy się wzrokiem.

- Pojadę do niej po zobaczeniu się z Dadi. Zadowolony?

- Nie. Nie pojedziesz. Zabraniam ci. Kto wie, co jeszcze usłyszysz od tej kobiety. Pewnie jakieś sensacje, wyssane z palca tylko po to, żeby zobaczyć twoją reakcję.

- Tej kobiety? Była na tyle godna zaufania, że pozwoliłeś jej zajmować się mną, gdy byłam małą, ale nie ufasz jej, że podzieli się ze mną kilkoma prostymi faktami.

- Nie tym tonem, młoda damo.

Było to niemalże ryknięcie, więc uchwyciłam się stołu, żeby dodać sobie animuszu.

- Tylko dlatego, że za bardzo się wstydzisz, aby rozmawiać z kimkolwiek o Mariam, nie znaczy jeszcze, że...

- Wstydzę się? Wstydzę się?! Jak śmiesz myśleć, że tylko ty masz prawo do bezwarunkowej miłości! – Wmurowało mnie. O małżeństwie Mariam wypowiadał się zawsze tak oszczędnie, że jego milczenie uznawałam za potępienie, a przecież mógł to być po prostu ból. Boże, co ja robiłam przez te ostatnie cztery lata? Użalałam się nad sobą, zamknięta w szczelnym kokonie własnego cierpienia?

Zanim mogłam go przeprosić albo spytać, co czuje, do wymiany zdań włączyła się mama.

- Przestańcie. Jedno i drugie. - Tacie zawsze mogłam pyskować, nawet w obliczu jego gniewu, ale jeden rozkaz Ami sprawiał, że oboje z Abą kładliśmy uszy po sobie. Twierdziła, że nauczyła się podrabiać żelazną wolę, żeby nie dać się stłamsić teściowej, co bez wątpienia jej się udało. Jest jedyną osobą, która dogaduje się z Dadi bez żadnych zgrzytów. Dziewięć razy na dziesięć Ami pozwala się zdominować, ale za dziesiątym razem wystarczy, że podniesie brew, a Dadi ustępuje. Muszę się jeszcze nauczyć wielu rzeczy od Ami.

- Aliya, jedź zobaczyć się z Dadi. Spytaj, czy nie potrzebuje pomocy przy pakowaniu. Powie, że nie, ale i tak powinnaś zapytać. Nasser, ty idź i zdobądź dla mnie jakieś próbki ptasich odchodów.

- Mam je zapakować jak na prezent?

- *Jaan*, czerwony dywan to był twój pomysł. Zrób więc coś pożytecznego.

Aba zwrócił się do mnie.

- Aliya, zajmij się tymi odchodami. Pozbieraj się do kupy (Ha, ha! Do kupy, rozumiesz?), idź pod drzewo *badaam* i postój tam z godzinę. Jeśli zaczniesz naśladować głosy ptaszków, wystarczy pół godziny. I załóż kapelusz, bo w przeciwnym razie mama nie pozwoli ci umyć głowy, dopóki problem dywanu nie znajdzie rozwiązania.

- Mężczyznom tak łatwo przywrócić dobry humor - szepnęłam, pochylając się nad mamą, żeby wziąć kluczyki.

Pokiwała głową.

- Wystarczy byle kloaczna aluzja.

- Kapelusz! - darł się Aba, gdy już wychodziłam.

Jadąc do Dadi, myślałam o mailu Celeste. *Bohaterka opuszcza swoją elitarną dzielnicę i zauważa biedę, jaką klepią mieszkańcy innych części miasta.* Nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale bogactwo i nędza faktycznie szły w Karaczi łąb w łąb. Pomiedzy wielkimi, starymi domami w pobliżu Mohatta Pałace oraz mniejszymi, nowoczesnymi na Khayaban-e-Shujaat - które świadczyły o bogactwie właścicieli nie rozmiarem, a wyposażeniem – był skrót, prowadzący przez ulice, gdzie nie słyszało się już konwersacji prowadzonych po angielsku i nie widać było lśniących samochodów czy *shalwar-kameez* od wielkich kreatorów mody. Roilo się tam od ludzi na rowerach, przemykających wąskimi uliczkami, maleń-

kich sklepików i pojawiających się od czasu do czasu kóz, a także dzieci, które sprzedawały warzywa, wymieniały opony albo grały w berka wzdłuż alejek pozbawionych chodników.

Myślałam o tym w takim skupieniu, że aż przejechałam na czerwonym świetle. Sameer robił to co najmniej dwa razy dziennie i nic się nigdy nie stało, ale wystarczyło, że ja zrobiłam to raz i od razu zatrzymała mnie drogówka. Gliniarz wetknął głowę przez okno.

- Potrzebuje pani okularów?

- Nie potrzebuję okularów. O tej porze dnia nawet dziesięć par okularów nic by tu nie pomogło. Niech pan spojrzy, jakie mamy dziś słońce. Oślepia i odbija się w sygnalizatorach. Przy takim słońcu nie można nawet dostrzec, czy światła się zmieniły, czy nie. Myślałam, że sygnalizator jest jak zwykle popsuty.

Gliniarz spojrział na zachmurzone niebo.

- Chmury przyszyły dopiero co - trajkotałam. – Trzy sekundy temu jeszcze ich nie było. Niech pan zobaczy, jaki silny mamy dzisiaj wiatr. To przez niego chmury pojawiają się i znikają.

Pokręcił głową.

- Może pani iść na komisariat i tam uiścić mandat albo zapłacić bezpośrednio u mnie.

- Dobrze, pojedę na komisariat.

Gliniarz nie był zachwycony takim obrotem sprawy i odejściem od procedury.

- Proszę tego nie robić - powiedział. - Mam rodzinę na wykarmieniu. Komisariat zajmie pani mnóstwo czasu, trzeba będzie wypisać całą stertę papierków, a poza tym kręcą się tam różne typy, które w towarzystwie kobiet nie potrafią się zachować. Czemu nie ułatwi pani sobie życia?

- Ile wynosi mandat?

- Trzysta rupii.

Stargowałam go do pięćdziesięciu, zaczekałam, aż rozmieni mój banknot pięćsetrupiowy u sprzedawcy mango, który z rozbawieniem przyglądał się całej scenie, i ruszyłam dalej do Dadi, rozpierzana dumą, że z dobroci serca nie wspomniałam gliniarzowi o moich bliskich powiązaniach z wysoko postawionym oficerem policji, który był mężem szwagierki Młodszej Wykrochmalonej.

Gdy zajęłam na miejsce, usłyszałam gderanie kucharza Dadi, Mohommeda, który właśnie podawał jej herbatę do sypialni.

- Begum Sahib, to jest bardzo zły pomysł. Jeśli ma się wybór, po co tkwić tu w czasie upałów *tandooru*?. Podczas upału zawsze źle się pani czuje. Pamięta pani to lato w Dard-e-Dil, kiedy w trakcie rozmowy z Nababem zemdląła pani przy fontannie?

- To było ponad pięćdziesiąt lat temu, Mohommedzie. Czy ty w ogóle byłeś wtedy na świecie?

- Czy byłem? Czy byłem? A kto, pani zdaniem, pobiegł po Akbara Sahiba?

- Żartuję tylko. Na starość robisz się zgryźliwy. Poza tym upały w Dard-e-Dil to było coś zupełnie innego.

- Tak - przyznał. - To prawda. - Zobaczył mnie i wyraźnie mu ulżyło. - Aliyo Bibi. Niech pani przemówi jej do rozumu. Niech jej pani powie, że jeśli zachoruje, ja nie zamierzam biegać po doktorach i przynosić jej leków i kategorycznie odmawiam gotowania cienkich zupek. Przyniosę herbaty. - Z tymi słowami wyszedł z pokoju.

- Co ty byś bez niego zrobiła? - Nachyliłam się, żeby pocałować ją w policzek.

- Pamiętasz, jak zasugerowałam mu, żeby przeszedł na emeryturę? -
Uśmiechnęła się złośliwie. - Był taki wściekły, że zagroził mi odejściem.
Chodź i usiądź tu bliżej.

Usiadłam po turecku na jej łóżku, naprzeciwko oprawionego zdjęcia
małej Dadi i jej kuzynek. Wszystkie miały na sobie *gharary*, a nad czo-
łami zwieszały im się *tiki* w kształcie łez z kamieni szlachetnych i półsz-
lachetnych. Każdą *tikę* utrzymywały na miejscu trzy sznury pereł okręco-
ne wokół głów dziewczynek. Kiedyś myślałam, że zdjęcie to zostało zro-
bione w czasie jakiejś wielkiej uroczystości, na przykład Eid albo czyje-
goś ślubu, ale Dadi wytłumaczyła mi, że nie - tak ubierały się każdego
dnia. Dopiero teraz uderzyło mnie, że ma o wiele więcej zdjęć ze swego
życia w Dard-e-Dil niż z życia w Karaczi.

- Nic dziwnego, że zemdlałaś w takim stroju. - Wskazałam na foto-
grafię. - O co chodziło Mohommedowi?

- Zmieniłam rezerwację terminu odlotu do Paryża. Wyjeżdżam do-
piero we wrześniu.

- Poważnie?

- Mhm. Nie ma sensu wyjeżdżać, skoro ty i Meher jesteście tutaj.
Zwłaszcza że poskromiłaś swoje krwawe żądze. - Zaśmiała się i wzięła
moją dłoń w obie ręce, a ja splotłam palce z jej palcami. - Poza tym, nie
mogę cały czas uciekać przed monsunami.

- Ale dlaczego? Znaczy, dlaczego uciekałaś przed nimi?

Dadi wolno pokiwała głową.

- Hierarchia miłości. Opowiedzieć ci o Taimurze?

Przełknęłam ślinę.

- Opowiedz.

Wszedł Mohommed z herbatą, a Dadi zaczęła mówić coś o swoim krawcu. Gdy wyszedł, kazała mi sprawdzić, czy nie podsłuchuje pod drzwiami. Nie podsłuchiwał.

- Kochałam Taimura.

Jej głos był zupełnie bez wyrazu. W pierwszej chwili pomyślałam, że się przesłyszałam. Uśmiechnęła się, zrobiła wydech i oparła się o wez-głowie łóżka.

- Kochałam Taimura. Nigdy wcześniej nie powiedziałam tego na głos. Kochałam Taimura. - Zaczęła chichotać, ale szybko przestała i zaczęła kręcić ze zdziwieniem głową. - Mielśmy po osiemnaście lat. Tacy młodzi. Co można wiedzieć, mając osiemnaście lat? Ale i tak go kocha-łam.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czułam... Co czułam? Było to to samo uczucie, które ma się po obejrzeniu filmu, gdy nie można jeszcze uwierzyć w ostatni zwrot akcji, ale jednocześnie nie można wyobrazić sobie innego zakończenia. Różnica jest taka, że film, nieważne jak dobry, niekoniecznie pamięta się całe życie.

Musiałam coś powiedzieć, więc spytałam:

- Dlaczego właśnie jego?

- Bo tak. Och, Aliyo.

Co ja powiedziałam, że zaczęła patrzeć na mnie z takim smutkiem?

- Jaki on był, Dadi?

- Jak nikt inny na świecie. Jak moja dusza. Jak jego córka.

Ciarki przeszły mi po plecach. Nigdy wcześniej nie słyszałam, aby mówiła tym głosem. Przez głowę przeniknęła mi wizja Taimura opusz-czającego Dard-e-Dil.

- Więc co się... To znaczy, co ty... Co się stało?

- On mnie nie kochał. - Podniosła fotografię stojącą koło łóżka i zaczęła się jej przyglądać. - On mnie nie kochał. Tego też nigdy wcześniej nie mówiłam na głos. Nie sądziłam, że od wypowiedzenia tych słów znacznie mi się zbierać na płacz.

- Powiedział, że cię nie kocha? - Rzuciłam szybkie spojrzenie na zdjęcie Dadi i trojaczków. Jak mogłeś, Taimurze?

- Aliyo, on wyjechał. Wyjechał kilka tygodni po zrobieniu tego zdjęcia. - Wzięłam od niej fotografię. Gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy, na ścianie u Baji, patrzyłam na uśmiech tej dziewczyny i zastanawiałam się, czy Dadi naprawdę była kiedyś taka młoda. Teraz myślałam, czy ja sama byłam kiedyś taka młoda? Czy jeszcze kiedykolwiek będę taka młoda?

- A wcześniej, Dods?

- Wcześniej? Źle odczytałam jego sympatię, jego liczne komplementy. Myślałam, że jest między nami niewypowiedziana umowa, że zaczekamy na siebie, aż on wróci z Oksfordu. Ale, kochanie, źle jest polegać na czymś, co niewypowiedziane. Wiesz, co oznacza *Naz*?

- Duma, czy coś w tym rodzaju. Pycha.

- To nie oddaje istoty sprawy *Naz* to duma, pewność siebie, wynikająca z wiedzy, że jest się kochanym. Ze świadomości, że nieważne co się stanie, zawsze będzie się kochanym. Moja mina na tym zdjęciu to właśnie *Naz*.

I słusznie, że odczuwałaś wtedy *Naz*. Jak można cię było nie kochać, gdy uśmiechałaś się w ten sposób? To wszystko chciałam powiedzieć, ale nie wiedziałam jak.

- Dlaczego wyjechał?

- Była jakaś inna kobieta.

- Kto?

- Nie wiem. Nikt z naszej sfery. Pewnie jakaś kobieta z miasteczka. Pewnie dlatego sformułował swój list w ten sposób. Całe to gadanie o zostaniu służącym miało zamydlić nam oczy. Ale ona pewnie wywodziła się z tej sfery, więc dlatego o tym pomyślał. Nawet w największych, najbardziej wymyślnych kłamstwach zawsze jest jakieś ziarenko prawdy

- Nie, czekaj. Jeśli nie wiesz, *kim* była, skąd wiesz, że w ogóle *była*?

- Mieliśmy taki pierścień. - Dadi machnęła ręką w stronę olejnego obrazu przedstawiającego moich pradziadków, entuzjastę jaków i jego żonę. On, w trzyczęściowym garniturze i z laską, wyglądał jak dandys. Ona ubrana była nieco skromniej, w przepiękną brokatową *ghararę*, a na rękę miała tak wielki pierścień, że nawet gdy go zdejmowała, jej palec serdeczny z całą pewnością pozostawał skierowany w dół, od ciężaru klejnotu.

- To pewnie nie jodeit otoczony cyrkoniami?

- Nie bądź śmieszna. Szmaragd i brylanty. Dostała go w dniu ślubu od teścia, z zastrzeżeniem, żeby zbytnio się do niego nie przywiązywała, bo gdy jej najstarszy syn się ożeni, będzie musiała przekazać go swojej synowej. To były jeszcze czasy przed rozwodami. Teraz jestem pewna, że zanim rozda się najcenniejsze klejnoty rodzinne, należy zaczekać przynajmniej do narodzin wnuków.

- Więc czemu to nie ty masz ten pierścień? Akbar był najstarszym z trojaczków.

- Tego, rzecz jasna, nikt nie może być pewny. Tylko Taj wiedziała, w jakiej kolejności przyszli na świat i znikła, nie przekazując tej informacji nikomu. Myślę, że moja teściowa po prostu zgadywała, że to Akbar był tym najstarszym. W uznaniu faktu, że każdy z nich mógł być najstarszy,

ich dziadek postanowił, że pierścień dostanie wybranka tego, który ożeni się pierwszy. Wyjeżdżając, Taimur zabrał pierścień ze sobą.

Zatem nic w tym dziwnego, że Dadi tak natrętnie przyglądała się Mariam Apie, gdy myślała, że nikt nie patrzy. Szukała jakichś wskazówek co do tożsamości tej drugiej kobiety. Niestety w twarzy Mariam nie dało się dostrzec nic z matki. Była podobna do Taimura jak Atena do Zeusa, więc zdawało się, iż podobnie jak bogini wyskoczyła z głowy ojca już zupełnie ukształtowana.

- Więc nigdy nie kochałaś Akbara? - Poczułam nagły przypływ opiekuńczych uczuć w stosunku do mojego dziadka.

- Oczywiście, że kochałam Akbara. Co za pytanie.

I powinnaś mówić o nim „Dada”.

Milczałam, czekając co będzie dalej.

- Gdy Akbar wrócił z Oksfordu i usłyszałam, że jego rodzice przychodzą do nas z *rishtah*, byłam wniebowzięta. Kazałam rodzicom przyjąć te oświadczenia jak najszybciej, nie zważając na konwenanse. - Oparła się wygodnie, a na jej ustach zagościł tęskny uśmiech. Czekałam, aż znowu podejmie opowieść, ale była myślami gdzieś daleko. W świecie, którego już nie ma.

- I jaki to ma związek z monsunami? – dopytywałam się.

- Taimur wyjechał w trakcie pierwszego monsunu.

Przez cały czas trwania naszego małżeństwa, Akbar i ja ledwo otwieraliśmy do siebie usta w porze monsunów. Nie ze złości. Oboje wiedzieliśmy, że to drugie też musi żałować i wspominać. Tak, Akbar wiedział, że wcześniej kochałam Taimura. Może powinniśmy obchodzić tę żalobę razem, ale nie robiliśmy tego... Potem Akbar miał wylew. Zanim nadjechała karetka, usłyszeliśmy huk gromu i lunął deszcz. To też był pierw-

szy monsun sezonu. Ostatnie słowa Akbara brzmiały: „Och, Abido, jaki straszny moment wybrałem sobie na koniec”. Tyle że powiedział to bardzo niewyraźnie i w pierwszej chwili wydało mi się, że mówi „Jaki straszny moment wybrałem sobie na kochanie cię”. Od tego czasu unikałam monsunów. Nie chcę znać hierarchii swojej miłości. Gdy zaczynają się deszcze, nie chcę wiedzieć, którego z braci oplakiwałabym w pierwszej kolejności.

Po tych słowach naprawdę zaczęła płakać, chyba za obydwojma. Ja też zapłakałam, nad swoją własną głupotą. Przez cztery lata żyłam w przeświadczeniu, że gdy Dadi powiedziała: „A to dziwka!”, kierował nią jedynie snobizm. Przez cztery lata główną cechą Dadi w mojej głowie był właśnie ten snobizm. Teraz, gdy Dadi była już taka stara (bo nagle zaczęła wyglądać staro), uświadomiłam sobie, że straciłam cztery lata z jej życia, gdyż na ucieczkę Mariam to ja zareagowałam jak snobka. Myśl, że moja własna kuzynka uciekła z kucharzem, napędzała mnie taką grozą, że nawet nie brałam pod uwagę, iż ktoś mógł być ode mnie lepszy. Teraz już wiedziałam, że reakcja Dadi nie była skierowana przeciwko Mariam, tylko przeciwko jej matce. Tajemniczej kobiecie, która poznała miłość Taimura. Reakcja Dadi spowodowana była miłością, ale ja tak bardzo chciałam być tą jedyną, która ma rację, że wyleciało mi z głowy wszystko, czego nauczyłam się od Mariam o słuchaniu ciszy, która zamyka i otwiera każdą wypowiedź.

-Dadi, tak mi przykro. - Oparłam głowę na jej ramieniu, a gdy w końcu przestałyśmy płakać, otarłam nam obu łzy z policzków i powiedziałam: - Sól.

-Co?

Pokręciłam głową.

- Przypomniało mi się coś, co powiedział Masood.

- Może powinnaś mówić o nim Masood Bhai. To w końcu rodzina.

Zaśmiałam się głośno z jej zdolności do zaskakiwania mnie i zaczęłam dziękować Bogu, że dał mi szansę, aby poznać Dadi od nowa. Od nowa? Nie, po raz pierwszy.

- Możemy porozmawiać o Mariam Apie, kiedy tylko będziesz chciała.

Dadi uśmiechnęła się.

- Porozmawiać? To nie zawsze jest konieczne, przecież sama wiesz. - Odgarnęła mi włosy z twarzy. – Przestań już o tym myśleć, kochanie. Tak się dzieje, że niektórzy ludzie odchodzą. Odchodzą. Nie myśl już o tym.

Zamierzałam postąpić dokładnie odwrotnie.

TLR

Rozdział dwudziesty



Aliya! - Młodsza Wykrochmalona powitała mnie w drzwiach swojego domu. - Moje serce aż skacze z radości. Daję słowo. Na twój widok zrobiło potrójnego lutza. Jaką masz piękną *jorę* na sobie - to taka miła odmiana od widoku tych wszystkich współczesnych dziewczyn, które ślepo podążają za modą.

A ja zawsze powtarzam, że kilka cali w jedną czy drugą stronę nie wymaga jeszcze wymiany całej garderoby. Chyba że jest się kimś takim jak Kishoo i trzeba zawsze dobrze wyglądać, żeby utrzymać pewien wizerunek. Ale czemu nie widzieliśmy cię na żadnym z *dholkiś*. Moim zdaniem ten chłopak Ali Shahów jest zainteresowany

- Och, no cóż. Wiem, że o tej porze wychodzisz zwykle na brydża i nie chciałabym cię zatrzymywać. Wpadłam tylko zapytać, czy będziesz jutro wolna w porze lunchu. - Wiedziałam, że nie, ale przepaść dzieląca rozmowę z Dadi o Taimurze i obronę przed zapędami Wykrochmalonej mającymi na celu wyswatanie mojej osoby była tak ogromna, że nie potrafiłabym jej przeskoczyć, nie spadając w otchłanie opryskliwości. Uznałam więc, że lepiej będzie jak najprędzej skończyć tę rozmowę.

- Och, żałuję, ale niedzielny brunch w klubie to po prostu mus. Mus, mus, mus. Och, tak mi przykro.

- No to innym razem. A skoro już jestem, to może przywitam się z Hibiskusożerczą Ayah.

- Z kim?

- Z Buą.

- A, z Buą! Ty i te twoje ksywki. Daję słowo, czasami wydaje mi się, że i mnie obdarzyłaś jakimś swoim przezwiskiem. Oczywiście, wejdź i przywitaj się, ale jeśli zaczniesz paplać, po prostu pożegnaj się i wyjdź. Ona jest jak katarynka. Czemu ja ci to mówię. Przecież ty wszystko o niej wiesz. No dobrze, słonko, muszę zmykać. Pa!

Ucałowała powietrze koło moich policzków i wyszła.

Ruszając do pokoju dziecinnego, usłyszałam jeszcze, jak krzyczy na swojego kierowcę.

Hibiskusożerczą Ayah jakieś piętnaście lat temu była moją ayą. Po śmierci męża swoje dzieci zostawiła na wychowanie matce, a sama zaczęła pracować u nas. Raz w tygodniu szła je odwiedzić, a one, rzadko bo rzadko, przychodziły odwiedzić ją - dwie wiecznie zdziwione albo wystraszone dziewczynki, mniej więcej w moim wieku. Gdy przyszły do nas za pierwszym razem, bawiłam się z nimi w ogrodzie. Było to zimą. Następnym razem, gdy je zobaczyłam, było już lato - za gorąco, żeby bawić się na dworze - więc tylko uśmiechnęłam się do nich na powitanie i czmychnęłam do swojego pokoju.

Teoretycznie był to też pokój ich mamy, bo pod moim łóżkiem leżał jej wyciągany na noc materac, a w mojej garderobie był kącik, w którym trzymała tobołek ze wszystkimi swoimi rzeczami, ale gdy ma się siedem lat, nie zważa się na żadne teorie. Pamiętam, że spytałam Ami, czy mogę zaprosić je do środka, ale im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że wspomnienie to dotyczy tylko czegoś, nad czym się po prostu zastanawiałam. Nawet wtedy wiedziałam już, jakie są granice.

Nie, bądźmy szczerzy. Wydawały mi się niedomyte, nie chciałam, aby zostawiły ślady brudnych paluchów na mojej nowej maskotce, olbrzymim śnieżnobiałym króliku. (A gdybym je zaprosiła? Czy mogłoby

się to skończyć inaczej niż źle? Czy wtedy po raz pierwszy uświadomiłyby sobie, czego nie mogą mieć?)

Hibiskusożercza Ayah, wtedy znana po prostu jako „Bua”, pod wszelkimi względami przewyższała swoją poprzedniczkę - pomarszczoną starowinkę, której udało się przekonać mnie, że rodzina w niczym nie ucierpi, jeśli z portfela taty będę regularnie wyjmowała niewielkie sumy pieniędzy, które pomogłyby jej sfinansować zapasy *niswaaru*, obrzydliwej, zielonej mikstury na bazie tytoniu, którą spluwała do mojej umywalki, nawet jej po sobie nie opłukując. Tym, co w końcu sprawiło, że utraciła posadę, nie były próby wykształcenia we mnie trwałego poczucia winy i wprowadzenia mnie w świat przestępczości, lecz słabość do *niswaaru*. Raz splunęła nie tam gdzie trzeba, i choć na zamszowych butach Aby nie został po tym żaden trwały ślad, tata nie mógł wybaczyć jej ordynarnego zachowania. Prawda jest taka, że nikt z nas za nią nie przepadał. Czekaliśmy tylko na pretekst, żeby ją zwolnić.

Serdeczna i młodzieńcza Hibiskusożercza Ayah stanowiła taki kontrast dla Ayi Plującej Niswaarem, że potrafiłam nie spać całą noc, szepcząc jej do ucha opowieści o domu, w którym zamieszkać po ślubie. Rysowałyśmy plany wszystkich pięter, które każdego tygodnia ulegały jakiejś zmianie, poza jedną. Między sypialnią moją a sypialnią moich dzieci zawsze był mały pokoik dla niej, żeby zawsze była pod ręką, gdyby któreś z nas potrzebowało kołysanki.

Ale w dniu, w którym zjadła hibiskusa, plany wzięły w łeb.

Byłam akurat w moim pokoju, gdy usłyszałam dochodzące z ogrodu odgłosy awantury. Postanowiłam sprawdzić, co się dzieje. Pobladła Mariam Apa wpatrywała się z niedowierzaniem w Bue, a Masood krzyczał. W pierwszej chwili nie wiedziałam, na którą z nich krzyczy, bo dopyty-

wał się: „Co ty sobie myślałaś? Co ty zrobiłaś? Przecież to jest kompletne zezwierzęcie!”. Krew mnie zalała na myśl, że mogłby w ten sposób zwracać się do Mariam Apy, ale po chwili uświadomiłam sobie, że to niemożliwe. Zostałby za to zwolniony. Podkradłam się bliżej do okna w jadalni, żeby wyrzucić na zewnątrz i zobaczyłam, że czerwone kwiaty hibiskusa Mariam leżą poszarpane na ziemi. Przysuwając się jeszcze bliżej, dostrzegłam na nich ślady zębów i czerwień na zębach Buy, gdy otworzyła usta, żeby przemówić.

- Spójrz na nią - powiedziała, wskazując palcem na Mariam. - Spójrz, jaką ma minę. Dla tych kwiatów ma więcej uczuć niż dla ludzi. Nie widzisz tego? To wariatka, pomyłona.

- Aliya! - Jak tylko sprawy zaczęły przybierać ciekawy obrót, w jadalni zjawiała się Ami i błyskawicznie mnie wyprowadziła. Tego dnia Bua otrzymała przewisko i straciła pracę. Ale od razu dostała następną, bo Młodsza Wykrochmalona, która właśnie do nas przyjechała, zobaczyła jak Hibiskusożercza Ayah opuszcza nasz dom i z miejsca ją zatrudniła. Nikt nie wiedział po co, aż kilka miesięcy później Młodsza Wykrochmalona ogłosiła, że jest w ciąży. Oznajmiła: „Zastrzegłam mu, że nie zamierzam mieć dzieci, o ile nie zapewnię sobie odpowiedniej pomocy na czas tych strasznych pierwszych miesięcy życia niemowlaka, ale jak tylko znalazłam Buę, powiedziałam mu: »Mężulku, zaczynamy!«”.

Myślałam, że nigdy nie wybaczę Hibiskusożerczej Ayah tego, co wygadywała o Mariam Apie. Przez kilka dni po usłyszeniu tych obelg Mariam była w takim radosnym nastroju, że uznałam, iż wcale jej nie dotknęły i mogłam dalej czuć do mojej dawnej ayi sympatię. Po piętnastu latach sympatia ta nie wygasła, ale myślałam o niej tylko wtedy, gdy widziałam się z nią twarzą w twarz.

Otworzyłam drzwi do pokoju dziecinnego.

- *Arre*, Aliya! - Hibiskusożercza Ayah składała właśnie ubrania młodszych kuzynek, ale na mój widok upuściła je i podbiegła, aby mnie uściskać i wyszeptać nad moją głową błogosławieństwa. - Wiedziałam, że przyjdiesz się ze mną pożegnać.

- Pożegnać się? Czemu?

- Nikt ci nie powiedział? Odchodzę. Teraz będę pracować u państwa Shaikh, którzy mieszkają koło budynku KESC. Trójka dzieci, od pięciu do dziewięciu lat, ale żadne nie jest tak słodkie jak ty w tym wieku.

- Ale czy to znaczy, że moja ciotka zdecydowała, że już nie potrzebuje niani? Jak to możliwe? Imdi ma dopiero osiem lat. Jak ona może ci to zrobić?

- Czy ty mnie słuchasz? To ja odchodzę. Ona nie chce mnie puścić, ale nie chce też płacić mi tyle co Shaikhowie.

- Odchodzisz tylko dla pieniędzy? Bua, przecież ty wychowałaś te dzieci od maleńkości, całą czwórkę.

- *Leh!* - powiedziała, wskazując na mnie palcem, jakbym była jakimś kuriozum, które trzeba pokazać zgromadzonym gapiom. - Tylko dla pieniędzy? Ja mam dwie wnuczki. Ich ojczym to rozrzutnik, chce je więc wydać za mąż jak tylko osiągną dojrzałość, a moja córka (znasz Khadiję) nigdy nie umiała postawić na swoim. Powiedziała: „A co ja tu mogę? On nie chce ponosić już więcej kosztów”. A ja jej na to: „Ja poniosę te koszty. Poślę je do szkoły”. Starsza jest bardzo inteligentna, a tam, gdzie mieszkają, jest blisko szkoła, w której uczą angielskiego i nawet mają komputery. Taak, myślisz, że żartuję? Dar dla szkoły od jakiegoś bogatego człowieka. Tylko dla pieniędzy! Myślisz, że pozwolę, aby moje wnuczki wyrosły na służące?

- Przepraszam, ja nie...

Machnęła ręką, żeby mnie uciszyć.

- Och, jestem po prostu w złym nastroju, bo muszę stąd odejść. Sama to powiedziałaś. Wychowywałam te dzieci od maleńkości.

Dopiero teraz uderzyło mnie, co powiedziała wcześniej.

- O czym, mówisz? A co stało się z pierwszym mężem Khadiji? Rozwiedli się?

- To stało się dwa lata temu. Nikt ci nie powiedział? Został zabity w areszcie. Tam, gdzie mieszkał (to biedna część miasta) przynajmniej jedna osoba z każdej rodziny ginie w areszcie. Allachu, zlituj się nad nami.

- Nad nami wszystkimi - powiedziałam. W drodze do szkoły, w okolicach matury, często widywałam męża Khadiji. Lubił grać w ulicznego krykieta. Widząc mój przejeżdżający samochód, zawsze podnosił kij w geście powitania. Gdy moi amerykańscy znajomi twierdzili, że małżeństwa aranżowane przez rodziców to potworny pomysł, ja przypominałam sobie, jak Khadija opierała się na ramieniu swojego młodego męża, gdy przychodzili z wizytą do Buy, pracującej u Młodszej Wykrochmalonej. Był, byłby teraz, w wieku Sameera.

Niedobrze robiło mi się na myśl, że miałabym pytać ją o coś więcej. Tak czy siak, co mogłaby mi powiedzieć?

- Muszę już iść. Odwiedź mnie kiedyś. Shaikhowie nie mieszkają aż tak daleko od nas.

- Prawda - powiedziała. - Już od dawna nie ma powodu, dla którego miałabym omijać wasz dom.

Spojrzała mi prosto w oczy i okazało się, że nie tylko mnie dręczą niezadane pytania.

- Od czasu ich odejścia nie mamy o nich żadnych wieści.

Pokiwała głową.

- Nie sądziłam, że się na to kiedyś zdobędzie. To dlatego tak się wtedy złościłam. Nie dlatego, że przestawał mnie widzieć, jak tylko ona wchodziła do kuchni, ale dlatego, że ona o tym wiedziała. Mimo to przychodziła tam i nie kazała mu przestać. A to, co w końcu zrobiła - *tego* się nie spodziewałam. Choć kiedy minął pierwszy szok, gdy wieści się rozniosły, nie było to dla mnie aż tak dużym zaskoczeniem. Sposób, w jaki Masood na nią patrzył... Jak można zrezygnować z takich spojrzeń?

Czemu nikt z nas nie dostrzegł tego, co dostrzegła Hibiskusożerca Ayah? To pytanie przez kilka dni nie dawało mi spokoju. Ale potem Meher Dadi skomentowała jakąś uwagę Sameera na temat duchów. „Ja je widywałam. Ocz wiście, że je widywałam. Nie za często, ale od czasu do czasu. Mówisz, że to dlatego, że wierzę w ich istnienie i pozwalam, aby własny umysł płatał mi figle i sam je tworzył, ale, drogi chłopcze, może to ty ich nie widzisz, bo nie chcesz przyjąć do wiadomości, że mogą istnieć naprawdę”.

No jasne.

Ale co sprawiło, że Mariam Apa była inna? Czemu potrafiła przyjąć do wiadomości, że mogą istnieć rzeczy jeszcze mniej prawdopodobne niż duchy? Czy Taimur faktycznie został służącym - skoro rozważamy prawdopodobieństwa, to dlaczego nie to? Czy matka Mariam była naprawdę tak niskiego stanu, jak uważała Dadi? A może istnieje jakaś inna możliwość, niezwiązana z jej rodzicami?

Jedynym tropem, który mógł naprowadzić mnie na to, jak wyglądało życie Mariam przed jej przyjazdem do Karaczi, był list, doręczony moim rodzicom dwadzieścia dwa lata temu, na chwilę przed zjawieniem się samej Mariam. Gdyby tylko Ami zachowała kopertę, moglibyśmy do-

wiedzieć się, skąd go wysłano. *Proszę, zajmij się nią, bo jeśli tego nie zrobisz, ona może tu wrócić, co mnie bardzo uszczęśliwi, ale nie chcę, żeby była smutna, więc proszę, zajmij się nią. Poza tym, jak jej tu nie ma, mogę marzyć, a jak jest, mogę tylko czekać na coś, co nie zdarzy się nigdy.*

Ktoś ją kochał zanim przyjechała do Karaczi. Ktoś, kto mógł być niepiśmienny - zdaniem Aby list ten czytało się jak transkrypcję wiadomości ustnej. Mariam Apa nie kochała tego człowieka, nawet nie dawała mu nadziei, że kiedyś może go pokochać. Skąd wiedział, że czeka na coś, „co nie zdarzy się nigdy”? Kim był ten człowiek? Musiał pochodzić z Dard-e-Dil albo okolic, bo inaczej nie zacząłby listu od formalnego, pełnego szacunku powitania:

Huzoor! Aadaab! Chyba że nauczył go tego Taimur...

Może był służącym Taimura.

- Służącym? - zachnął się Sameer, gdy kilka dni później podzieliłam się z nim tą teorią. Podjechał po mnie w drodze z banku i wybraliśmy się razem na plażę Clifton, pięć minut jazdy od mojego domu. Usiedliśmy na falochronie, zajadając się pieczoną kukurydzą z chilli i sokiem z cytryny. Patrzyliśmy jak szare, wzburzone monsunem fale usiłują dosięgnąć mew.

- Rozejrzyj się. - Sameer wskazał palcem na tłumy ludzi zgromadzonych wokół falochronu. Dużą część Karaczi dosięgła awaria elektrowni, więc jej mieszkańcy przed upałem mogli uciec tylko na plażę. Siedziały tu całe rodziny, a z kursujących bez przerwy vanów, przewidzianych na góra dziewięć osób, wciąż wylewały się grupy piętnasto szesnastoosobowe. Na chodniku, obok *bhutawallaha*, którego wsparliśmy z Sameerem, stały jeszcze stragany sprzedawców zimnych napoi, *chaatwallahowie* i człowiek z zawieszoną na szyi tacą słodczy, skandujący: „Guma do żu-

cia, *chaaklait*, guma balonowa". Oprócz całych familii po plaży przechadzały się też pary mężczyzn. Młodzi zakochani siedzieli blisko siebie - nie dotykając się - a pewna kobieta, ubrana w adidas i *shalwar-kameez*, dziarskim krokiem maszerowała przed siebie, co kilka minut poprawiając zaplątane przewody słuchawek walkmana. Moje džinsy plus czarna *burkha* kobiety ostrożnie schodzącej po skałach na plażę, prążkowana koszula i mankiety na spinki Sameera plus jaskraworóżowy *kameez* sprzedawcy latawców stanowiły przekrój przez wszystkie style, kolory i materiały.

- Powinnaś dołączyć do grona ludzi pracy. Uciec z bezpiecznego kokonu Nas i Ich, i wielkiej przepaści pomiędzy. Skąd możesz wiedzieć, czy był służącym? Mógł być urzędnikiem, krawcem, sklepikarzem, kimkolwiek.

- Ale na pewno nie wywodził się z tej samej sfery co ona. - Z tylnej kieszeni spodni wyjęłam list i podałam go Sameerowi.

Przeczytał i oddał mi go.

- Nie, nie wywodził się z tej samej sfery. Jakie inne rewelacje według ciebie kryje ten list?

Podszedł do nas chłopiec sprzedający plastikowe grzebienie i szpulki gumek. Sameer powiedział mu, że nie chcemy ani jednego, ani drugiego, ale dał mu dziesięć rupii, żeby skoczył do drinkwallaha i przyniósł nam dwie cole. Zmieniłam zamówienie na jedną colę i jedną apple sidrę.

- Wiemy, że kochał się w Mariam. Wiemy albo przynajmniej możemy spokojnie założyć, że nie dawała mu żadnych nadziei.

- Póki co jesteśmy na twardym gruncie, ale zbliżamy się do terenów bagiennych.

- A co, jeśli na drodze stała jego pozycja społeczna?

Jeśli Mariam nie dawała mu nadziei właśnie z powodu jego pozycji?

- Możliwe. *Shaabaash, chotoo*. - Sameer wziął od chłopca nasze napoje i dał mu banknot dziesięciorupiowy. Przed nami zjawił się żebrak, który dostrzegł portfel Sameera i wyciągnął dłoń po jałmużnę. Sameer przegonił go machnięciem ręki.

- Ale wtedy, gdy zaczęła wybierać się do Karaczi, jej zbliżający się wyjazd natchnął go, żeby odezwać się do niej. Może w tonie nadziei, może w tonie nagany. Tak czy inaczej, to sprawiło, że Mariam dostrzegła...

- Niech Allah pobłogosławi wasz związek – zaczął żebrak po bezowocnej rundce wokół grupki ludzi siedzących nieopodal.

- Dostrzegła coś, czego nigdy wcześniej nie dostrzegła. Wszystkie możliwości, jakich nigdy wcześniej nie brała nawet pod uwagę.

- Modlę się, abyście zdali egzaminy - wymruczał żebrak.

- A więc Mariam zjawiła się w Karaczi, gotowa wziąć pod uwagę możliwość poślubienia kucharza? - spytał Sameer.

- Więcej niż gotowa. Zdecydowana udowodnić, że jest do tego zdolna. Zawsze była niesamowicie uparta. Pamiętasz doktora Tahira i to sari?

- W imię Allacha...

- Więc jej milczenie było buntem. – Przynajmniej raz Sameer nie wyśmiewał się ze mnie, tylko słuchał z uwagą. - Czytamy list tego faceta i od razu wyciągamy wnioski o jego pozycji społecznej. Myślisz, że milczenie Mariam stanowiło protest przeciwko uprzedzeniom zawartym w języku? I dlatego, jeśli już odzywała się, to nie do elity. Rozmawiała tylko z Masoodem, żeby zaordynować posiłki i nawet wtedy (zwróciłaś na to uwagę?) posługiwała się nie rozkazami, a pytaniami. Mówiła: „*Bhujia? Koftas? Pulao?*”. W zasadzie przekreślała tym samym cały paradygmat pracodawca-służący.

Pomyślałam o tym wszystkim, czego nie mogłam powiedzieć bratu Masooda.

- Może. Tak, możliwe. Czemu nie?

- A ucieczka była ostatnim dowodem, że pozycja społeczna stała się dla Mariam obojętna?

- Nie przesadzajmy. - Łypnęłam na niego podejrzliwie. Czy tymi daleko posuniętymi wnioskami chciał mnie tylko prze-Aliyować? Minę miał jednak poważną. - Wtedy już go zdążyła pokochać, jestem pewna. Ale tylko dlatego, że najpierw przyjęła do wiadomości, że to możliwe. Myślisz, że to jedna z przyczyn, dla których towarzystwo było aż tak zbulwersowane? Bo po jej ucieczce z Masoodem elita musiała przyjąć do wiadomości, że ucieczka ze służącym jest możliwa?

- Niech Allah da wam wielu synów.

- Cóż, słyszałam, że po tej ucieczce posypały się zwolnienia innych służących. Za patrzyenie. Za marzenia. Wiedziałaś, że marzenia służących powinno się tępić? Gdzieś o tym czytałam. Wuj-Kawaler zwolnił swojego kierowcę, bo pewnego dnia przyłapał córkę sąsiada na gapieniu się na goły tors tegoż kierowcy. - Sameer dał żebrakowi puste butelki i powiedział mu, że może je odnieść drinkwallahowi i zatrzymać kaucję. Żebrak był wyraźnie zdegustowany. Po co mu kilka marnych rupii?

- Mogę znaleźć ci pracę - zaproponował Sameer, wstając i otrzepując spodnie.

- To jest moja praca - oświadczył żebrak i poszedł sobie.

- To zawsze skutkuje - zaśmiał się Sameer i otworzył przede mną drzwi samochodu. Ruszając w czerwoności promieni zachodzącego słońca, spytał: - W historii z tym facetem, Khaleelem, o to właśnie ci chodzi? Chcesz sobie coś udowodnić, tak jak Mariam?

Rozdział dwudziesty pierwszy



ie miało to nic wspólnego z pogodą, ale gdy Dadi poślizgnęła się i uderzyła w głowę i trzeba ją było zabrać do szpitala, Mohommed wciąż powtarzał: „A nie mówiłem?”. Lekarz - syn Ciotecznej Babki Bon Mot - stwierdził, że nic się jej nie stało, ale nie zaszkodzi, jeśli na jedną noc zostanie w szpitalu.

Zaproponowałam, że zostanę z nią. Rodzice wyrazili zgodę, ale Meher Dadi oznajmiła, że gdy były małe, jej siostra opiekowała się nią, jak Meher miała świnkę, więc teraz może się jej odwdzińczyć, siedząc z nią w szpitalu, przynajmniej dopóki Dadi nie zaśnie. Teoretycznie rzecz biorąc, tylko jedna z nas mogła zostać z Dadi poza godzinami wizyt, ale upór pielęgniarek i lekarzy był niczym wobec uporu Dadi i jej siostry. Po licznych sporach siostra dyżurna udała w końcu, że wierzy w zapewnienia Dadi, iż poszłam do domu, mimo wrzasku, jaki z siebie wydałam, gdy przechodząc obok mojej kryjówki pod łóżkiem, nastąpiła mi na rękę.

- Zanim pani wejdzie, proszę pukać - dodała jeszcze Meher Dadi. - Czasami lubię sobie potać nago i nie chcę, żeby ktoś mnie w tym czasie nachodził, bo moje piersi to już nie to co dawniej. Niedysiejsze melony teraz przypominają obwisłe pęcherze.

Starsza Wykrochmalona zignorowała szpitalny regulamin z jeszcze większą bezczelnością.

- Dzień dobry, Abido Khalo. Co za tragedia. - Podpłynęła do nas z wyciągniętymi ramionami. - Nie mogłam przyjść w godzinach odwie-

dzin, więc powiedziałam pielęgniarce o moich powiązaniach z członkami zarządu szpitala i oto jestem z Malihą. - Jej córka ucałowała Dadi i Meher Dadi i rzuciła mi szybkie spojrzenie, w którym udało jej się zawrzeć całe zażenowanie, jakie dwunastolatka może odczuwać wobec rodziców.

- Godziny wizyt są też rano - powiedziała Dadi.

- Ale to by było dopiero jutro. Nie mogłam pozwolić ci zasnąć z myślą, że do ciebie nie wpadłam. A poza tym jutro rano Maliha idzie na depilację woskiem i to będzie jej pierwszy raz, więc muszę z nią być i trzymać ją za rękę.

- To chyba będzie bolało, prawda, Aliyo Apo? - spytała Maliha.

Starsza Wykrochmalona odwróciła się do niej.

- Bolało? A czym jest ból? Czyż nie wszyscy cierpimy? Ale, Maliho, słyszałaś chyba historię o jaszczurce w łazience Sameera Bhai. Jaszczurka poruszała się z prędkością światła i wskoczyła mu na nogę. Prawdziwa akrobatka! Jeden *chalaang* z podłogi i już była na łydce. A miał na sobie szorty, szorty powiadam! Myślisz, że nie próbował jej zrzucić? Oczywiście, że próbował. Ale ma tak owłosione nogi, że jaszczurka trzymała się mocno pazurami i wspinała się dalej, łapa za łapą, łapa za łapą, po całej łydce, minęła kolano i już, już była na udzie...

Strach pomyśleć, co by było dalej, gdyby gadzina nie natrafiła na jedno łyse miejsce wokół blizny, na którym nie mogła się już utrzymać. A więc Aliyo, Ciocie, pytam was - czy doszłoby do tego koszmaru, gdyby depilował nogi?

Nie wiem, co byśmy jej na to odpowiedziały, gdyby w tej właśnie chwili nie zjawił się syn Ciotecznej Babki Bon Mot, zaalarmowany przez pielęgniarki i nie wyprosił Starszej Wykrochmalonej oraz jej córki z sali. Choć spytała jeszcze: „A Aliya?”, udawał, że mnie nie widzi.

- Każda historia ma swój morał - podsumowała Meher Dadi, gdy już zamknęły się za nimi drzwi. Potem padły sobie z Dadi w objęcia i zaśmiewały się do rozpuku.

Przez cały wieczór siedziałam cicho, pozwalając im się nagadać. Rozmowa toczyła się bezładnie - przez prawie osiem dekad wspomnień - a ich skojarzenia były na pozór zupełnie bezsensowne, więc niespecjalnie mogłam się połapać, o czym w ogóle mówią. Uświadomiłam sobie, że choć rozmawiałam z nimi tak często, o wielu sprawach wciąż nie wiem i nigdy się nie dowiem. Wiedziałam, że przed moimi oczami powstaje kolejne wspomnienie. Obie leżały teraz na łóżku i w ogóle nie zwracały na mnie uwagi, jakby mnie jeszcze nie było na świecie. O żyjących mówiły z nostalgią, o zmarłych z rozbawieniem. Zaczęłam zastanawiać się nad swoją wcześniejszą krótkowzrocznością. Jak to się stało, że nie dostrzegałam, jak fascynujące są kobiety z tego pokolenia, które tak rzadko zdają się czegokolwiek żałować, choć doświadczyły tylu nieszczęść i strat.

W którymś momencie pomyślałam, że obie zasnęły, aż Dadi spytała nagle:

- Pamiętasz, co stary powiedział jedenastego? - Wiedziałam, że „stary” oznaczał Muhammada Alego Jinnaha, Quaid-e Azama, Wielkiego Przywódcę, którego nawet ludzie z mojego cynicznego pokolenia tytułowali tak zupełnie bez ironii. A „jedenasty” musiał być jedenastym sierpnia roku czterdziestego siódmego, trzy dni przed uzyskaniem przez Pakistan niepodległości.

- Oczywiście, że pamiętam - odparła Meher Dadi i zadeklamowała, jakby słowa te usłyszała wczoraj: - Jesteście wolni. Wolno wam chodzić do swoich świątyń. Wolno wam chodzić do meczetów czy innych miejsc kultu w Republice Pakistanu. Tego kraju nie interesuje religia, wyznanie

czy kasta. Nadchodzą dni bez dyskryminacji, bez podziałów między jedną wspólnotą a drugą, czy też jedną kastą a drugą, jednym wyznaniem a drugim. Wychodzimy z fundamentalnego założenia, że wszyscy jesteśmy obywatelami, równymi obywatelami jednego kraju.

Dadi pokiwała głową, a gdy odezwała się, wiadomo było, że znowu sobie o mnie przypomniała.

- Może nie zwróciliśmy wystarczającej uwagi na ten fragment o kastach. Myśleliśmy, że to nas nie dotyczy. Nie zwróciliśmy na to uwagi, gdy nasza uwaga była jeszcze coś warta.

W tym momencie, myśląc o Dadi, po raz pierwszy użyłam określenia „liberalna”. Jej babka żyła i zmarła w izolacji *purdy*, wiodła życie z dala od mężczyzn, którzy nie byli jej krewnymi, nie widziała nigdy świata poza pałacem, a interesowało ją jedynie małżeństwo. A potem, zaledwie dwa pokolenia później, zjawiała się jej wnuczka: Abida, która była w collegeu. Abida, która w 1947 na wózku ciągniętym przez osła jeździła do obozów uchodźców, żeby nieść pomoc potrzebującym. Abida, która kazała mi nauczyć się niezależności, bo nie chciała, abym była jedną z tych kobiet, które całkowicie zależą od mężów. Co musiała o niej myśleć jej babka! Jak bardzo młoda Abida musiała jeździć się na reguły i zasady, głoszone przez swoją babkę. Gdy Dadi czasami wzdychała, że szkoda, iż nie jestem taka jak ona, nie chodziło jej o to, żebym dzieliła z nią wszystkie poglądy, tylko żebym się przeciwko nim buntowała, tak jak ona buntowała się przeciwko tym poglądom swojej babki, które wymagały buntu.

Po dziesiątej Dadi w końcu zasnęła, a Meher Dadi przysiadła się do mnie na parapet.

- Cieszę się, że między wami wszystko już dobrze - powiedziała. - Jest z niej czasem straszna megiera, ale nie ma na świecie osoby bardziej niezwykłej.

- O, myślę, że ty możesz spokojnie rywalizować z nią o ten tytuł. Musiałybyście rozwiązać to w drodze rzutów karnych.

Uściskała mnie mocno.

- Tęsknię za rodziną. Wszyscy doprowadzacie mnie do szału, ale powroty do Karaczi są jak wejście do morza po miesiącach spędzonych na suchym lądzie. Jakże łatwo unosić się na powierzchni. Jakie to wspaniałe uczucie spokoju, gdy płyniesz z falą. Jak znajomy jest plusk otaczającej cię ze wszystkich stron wody

- A w Grecji poznałaś jakichś Pakistańczyków?

- O tak. *Desis* są wszędzie. Odwiedza mnie nawet jeden facet z Dard-e-Dil. Mówiłam ci o nim?

- Nie.

Meher Dadi zaśmiała się.

- Gdy zobaczyłam go pierwszy raz, pomyślałam:

„O Boże!“. Dziwny, brodaty gość - z pewnością nie Grek - który jechał za mną na rowerze i zapukał do moich drzwi, zaledwie kilka miesięcy po tym, jak wyjechałam z Karaczi. Powiedział, że jest mechanikiem i całe życie mieszkał w Turcji, ale jego rodzice pochodzili z Indii. Ożenił się z miejscową dziewczyną, pół-Greczynką, pół-Turczynką, więc dość często jeździli na drugą stronę granicy. Nigdy nie zapomnę, jak kilka lat temu powiedział: „Mój ojciec przyjechał tu, gdy powstawał ruch przywrócenia kalifatu. W czasie pierwszej wojny światowej. Tak więc Podział nas ominął, ale mieszkanie pomiędzy dwoma wrogimi sobie krajami było mi chyba przeznaczone“. Gdy się poznaliśmy, spytałam go, skąd po-

chodzili jego rodzice, a on odparł „Z Dard-e-Dil, tak samo jak pani”. To, że wiedział, nie było dla mnie zaskoczeniem.

Poznałam już kilku Pakistańczyków w Grecji, wiedziałam więc, że wieść szybko się rozniesie. Ale radość sprawiło mi spotkanie kogoś kto... To chyba ma jakiś związek z moim ego, prawda? Człowiek ten nigdy nie mieszkał w Dard-e-Dil, ale przecież moja rodzina panowała kiedyś nad jego rodziną. I to wcale nie tak dawno. Pierwszą pracę w Istambule jego ojciec dostał dzięki temu Dard-e-Dilowi, który wyjechał do Turcji i nauczył się języka. Więc byliśmy patronami ojca tego mechanika, w każdym znaczeniu tego słowa. – Znowu się roześmiała. - Powiedziałam mu, że żyjemy w dobie demokracji, więc siadał w salonie, a ja częstowałam go herbatą. Dopiero po kilku takich wizytach poczuliśmy się swobodnie.

Czułam, że coś mi świta. Znowu Turcja, a teraz dowadywałam się, że jest tam ktoś, kto mógłby dowiedzieć się, czy Taimur faktycznie tam mieszkał.

- Często cię odwiedza?

- O nie. Raz, może dwa razy do roku. Przez pierwszych kilka lat prawie nic o nim nie wiedziałam. Chciał tylko, żebym opowiadała mu o Dard-e-Dil, a ja byłam tak szczęśliwa, że nareszcie mam kogoś, dla kogo te wszystkie imiona coś znaczą, że jak ta papla zdradziłam mu całe mnóstwo niedyskretnych szczegółów. Gdy Samia przyjechała z wizytą, była zszokowana, ile ten człowiek o niej wie. A on tak głęboko przeżywa te opowieści. Pamiętam, gdy powiedziałam mu o śmierci Akbara. Myślałam, że gotów się popłakać. Szczególnie fascynowała go Mariam. Kogo by nie fascynowała? Choć od czasu jej ucieczki już o nią nie pytał. Podejrzewam, że on myśli, iż ja się tego wstydzę. - Wzruszyła ramionami. - Ale ja się nie wstydzę. Mówię, na wypadek gdybyś się zastanawiała.

- Chyba cenisz jego towarzystwo. – Powstrzymałam się, prawie nie mogłam oddychać, choć i tak nie potrafiłabym ubrać w słowa tego, co chodziło mi po głowie.

- Och, tak. On też ma w zanadrzu wiele opowieści o Dard-e-Dil. Jego rodzice utrzymywali kontakt z krewnymi stamtąd, więc co jakiś czas dzieli się ze mną wspaniałymi szczegółami, jakie wynajduje w listach ojca.

I świetnie dogaduje się z Apollem, a ja z jego żoną. Teraz często przychodzi z nią, a czasami nawet z dziećmi i wnukami, choć obawiam się, że jestem dla nich jakimś obcym reliktem.

- Gotujesz dla nich gary swojego *murgh mussalum*, żeby mogli poczuć smak Dard-e-Dil?

- Owszem, zdarza się. Ale gdy był u mnie ostatnio, kilka miesięcy temu, och, ślinka cieknie mi na samą myśl, przyniósł ze sobą kebaby *shami*, które smakowały dosłownie Masoodowo.

- Niemożliwe.

- Nie żartuję. Mówił, że pochodzą z nowej restauracji w Istambule, na której punkcie wszyscy oszaleli! Apollo spróbował i zaproponował, żebyśmy przeprowadzili się do Turcji!

Nie mogłam złapać powietrza. Tonęłam i jednocześnie usiłowałam nie chwytać się wszystkich możliwych brzytw, z których może i dałoby się zrobić jakąś tratwę i dopłynąć do słabo rysującego się na horyzoncie lądu.

Usiłowałam.

- Jak nazywa się ta restauracja?

Meher Dadi wzruszyła ramionami i wstała.

- Nie wiem. Ale chyba mogę się dowiedzieć.

- Tak, proszę, zrób to.

Spojrzała na mnie ostro.

- Po co?

- Proszę cię. - Myślałam, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi.

- No dobrze. Skoro nalegasz

Podalam jej komórkę Dadi.

- Teraz? Przez komórkę? To będzie kosztowało fortunę.

- Bzik. Fioł. Nic nie poradzę. Zwrócę Dadi pieniądze za tę rozmowę.

Spojrzała na zegarek, wyliczyła różnicę czasu, wzięła telefon i wystukała numer.

- Apollo? - rzuciła, po czym wydała z siebie ciąg nieznanymi mi sylab. Z jakiegoś powodu zawsze myślałam, że rozmawiają ze sobą po angielsku.

Jak to jest, że gdy ktoś rozmawia w języku, którego nie znasz, wydaje mu się, że nie docierają do ciebie żadne znaczenia? Gdyby Meher posługiwała się angielskim, ściszyłaby głos i mówiła spokojnie, ale posługując się greckim, pozwoliła, aby wylały się z niej wszystkie emocje. Tęskniła za Apollem. Upadek Dadi ją wystraszył. Ona i Dadi spędziły cały wieczór na wspominkach. Na przemian śmiały się i płakały, a ja wbiłam sobie do głowy, że muszę poznać nazwę pewnej restauracji i chcę, aby Apollo się dowiedział, jak ona się nazywa - wszystko to usłyszałam, nie rozumiejąc ani słowa.

Pożegnała się, powtórzyła, jak bardzo za nim tęskni i oddała mi telefon.

- Dowie się. Ale mówi, że w zamian musisz obiecać, że nas odwiedzisz.

- Obiecuję.

Pocałowała mnie w policzek i wyszła. Zostałyśmy z Dadi same. Stałam się nie poddawać głupim myślom. Bez skutku. Zaczęłam więc wylizywać wszystkie powody, dla których nie powinnam wyciągać pochopnych wniosków, ale to oznaczało myślenie o tych wnioskach, a to sprawiało mi wręcz fizyczny ból. Zaczęłam chodzić w kółko, nucić, usiłowałam przypomnieć sobie wszystkie piosenki z lat osiemdziesiątych. Wyjęłam papier i ołówek, żeby zdecydować, z którego filmu znam więcej cytatów: z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* czy z *Casablanki*. Oz wygrał w przedbiegach, nawet gdy pominęłam wszystkie piosenki.

Kiedy miałam się już poddać i zacząć zastanawiać się nad tą tratwą z brzytwę, otworzyły się drzwi.

Wszedł starszy, lekko zgarbiony mężczyzna. Miał siwe, gęste włosy. Jego twarz była poorana zmarszczkami, ale policzki wciąż miał całkiem jędrne. Nienaganny krój jego *sherwani* w połączeniu z laską o srebrnej główce nadawał mu wielkiej dystynkcji.

- Abido. - Nawet mnie nie zauważył.

Dadi, która przespała całą paplaninę swojej siostry, teraz gwałtownie się zbudziła.

Podniosła rękę do ust, żeby stłumić okrzyk.

- Akbar?

Mężczyzna pokręcił głową.

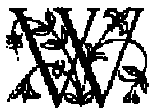
- Taimur, Taimur. A więc ty żyjesz, ty żyjesz.

Znowu pokręcił głową i stanął w świetle księżyca.

- Na twojej liście zawsze byłem ostatni, Abbie.

- Sulaiman...

Rozdział dwudziesty drugi



W ósmej księdze *Odysei* pewien śpiewak zabawia towarzystwo na dworze króla Alkinoosa pieśnią o przebiegłym Odyseuszu, bohaterze wojny trojańskiej, ulubieńcu siwookiej bogini, wędrowcu, który nie może odnaleźć drogi do domu. Jeszcze przed końcem pieśni jeden z przybyszy wzrusza się tą opowieścią do łez, a poproszony o przedstawienie się, odpowiada: „Jam jest Odys!”.

Wyobraźcie sobie, co musiał czuć ten śpiewak, gdy ujrzał przed sobą legendarną postać, której imię pojawiała się na jego wargach częściej niż imiona własnych dzieci. Wyobraźcie to sobie, a zaczniecie pojmować, co poczułam na widok Sulaimana. Zawsze traktowałam go, podobnie jak Taimura i Akbara, jako postać mityczną. Nigdy nie przypuszczałam, że nasze drogi mogą się przeciąć. Stał zaledwie kilka stóp ode mnie, ale w pierwszej chwili uznałam go za zjawę. W jaki sposób mógł wciąż znajdować się wśród żywych, skoro jego bracia umarli tak dawno temu?

- Nie wierzę własnym oczom. - Jego głos był dziwnie znajomy. Wiele razy słyszałam podobny sposób mówienia, gdy Aba usiłował naśladować aksamitną miękkość głosu swojego ojca. - Coś takiego. Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę.

Ręka Dadi drżała nad twarzą Sulaimana. Dotknęła jasnej blizny w kąciku jego ust. Tam, gdzie tyle lat temu uderzył go Akbar. Zwinęła rękę w pięść i oparła się o wezglowie łóżka.

- Dlaczego dzisiaj?

- Bo przemijamy. Nie możemy polegać na dniu jutrzejszym.

Dadi poprawiła włosy.

- Jeden dzień mogłeś przecież poczekać. Jeśli poświęcę trochę czasu na wybór garderoby i odpowiedni makijaż, wyglądam całkiem znośnie jak na swój wiek.

Sulaiman roześmiał się. Podobał mi się ten śmiech, sugerował wielkie pokłady radości.

- Próżność Abidy. Wciąż niezrównana.

- O *Naz* Abidy nie da się powiedzieć tego samego.

- Nikt nie miał większych powodów do *Naz* niż ty.

Dadi poklepała go po ręce.

- Od czego zaczniemy? Chyba nie od przeprosin?

- Nie, nigdy od przeprosin. Od odpowiedzi na twoje pytanie. Dlaczego dzisiaj? Bo byłem właśnie w Londynie, gdzie moja czarująca stryjeczna wnuczka, Rehana, poznała mnie z jeszcze bardziej czarującą stryjeczna wnuczką Samią, a obie zaczęły na mnie najeżdżać i wyzywać od uparciuchów. Zadzwończyły też do biura podróży i dały mi twój adres. Wszystko załatwiły, poczynając od wtyczek w biurze wydawania wiz, po samochód, prowadzony przez wnuka Meher, który czekał na mnie na lotnisku w Karaczi. Na mój widok biedny Mohommed prawie zemdlął.

Dadi machnęła ręką.

- Te szczegóły mogą poczekać. Opowiedz mi o sobie, Sulaimanie. Opowiedz mi o, och, o wszystkim. Masz dzieci? Wnuki?

Sulaiman dotknął jej kolana.

- Abido, czy on nienawidził mnie do końca?

- A więc wiesz, że zmarł.

- Tak, dowiedziałem się zaledwie kilka tygodni po tym, jak to się stało. Powiedział mi ktoś, kto miał znajomego, który znał kogoś w Karaczi. Potem usiłowałem odnaleźć Taimura, ale na próżno. Dowiedziałem się potem, że jego córka jest tutaj i że on również nie żyje.

- Sulaimanie, tym kimś w Karaczi byłem ja. Dopilnowałam, aby cię powiadomiono. Byłam pewna, że przyjedziesz albo przynajmniej napiszesz.

- A ja byłem pewny, że *ty* napiszesz. Poza tym, to był siedemdziesiąty pierwszy. Trwała wojna. Potem, jak już powiedziałem, czeka się do jutra. Czy Akbar do końca mnie nienawidził?

- Zmarł z twoim i Taimura imieniem na ustach.

Sądzę, że wiedział, że kłamie. Spojrzał na nią tak, jakby chciał powiedzieć, że ostatnim słowem Akbara nie mogło być nic innego niż imię Dadi.

- Abido, jest coś, o czym powinienem był powiedzieć ci już dawno temu. Coś o Taimurze.

Oto, co jej powiedział: gdy w 1938 rodzice Abidy i Meher wrócili do Dard-e-Dil po roku mieszkania w Delhi, Akbar, Taimur i Sulaiman spojrzeli na swoją dawną towarzyszkę zabaw, niegdysiejszą chłopczycę Abidę i wszystkich trzech zamurowało. Inne kuzynki stawały się kobietami w wieku piętnastu, szesnastu lat (w przypadku Baji było to nawet bliżej czternastego roku życia). Abida nie śpieszyła się, czekała na moment, w którym jej metamorfoza będzie mogła przynieść spektakularne skutki. Tak też się stało. Zdaniem Sulaimana najdziwniejsze w tym wszystkim

było nie to, że zakochali się w niej Taimur i Akbar, ale to, że on się nie zakochał. A może i zakochał się, ale nie przyznawał się nawet przed samym sobą, bo wiedział, że jeśli będzie musiała wybierać spośród ich trzech, z łatwością zredukuje listę do dwóch.

- Nigdy nie wierzyłeś w siebie - wtrąciła Dadi, gdy o tym opowiadał.

- To ty trzymałeś się na dystans od czasu naszego powrotu z Delhi. Martwiłam się nawet, że już mnie nie lubisz.

O tym, że Taimur zakochał się w Abidzie, wiedzieli wszyscy. Robił salta w ogrodzie, wyśpiewywał tęskne *ghazale*, zgłaszał się na rezerwowego do drużyny krykietowej, żeby móc siedzieć obok niej na widowni. Natomiast miłość Akbara objawiała się tylko zadumą. Może było tak dlatego, że - poza dniem, gdy dwukrotnie uderzył Sulaimana - zawsze potrafił przewidzieć wszelkie konsekwencje swoich czynów.

Pewnego dnia Sulaiman natknął się na Akbara, gdy ten siedział zgarbiony za kierownicą daimlera ich ojca, na drodze łączącej dom Dadi z pałacem. Sulaiman zsiadł z konia i zajął miejsce obok brata.

- Co za los - westchnął Akbar. Wręczył Sulaimanowi zapisaną kartkę.

- Znalazłem to na ścieżce. Pismo Abidy.

Całą stronę zapełniła imieniem Taimura, zapisanym w urdu.

- A więc to tak - powiedział Akbar. - Cóż. Może to i lepiej. Nie musimy przeciągać rywalizacji. Nie żeby mnie to zaskoczyło. Kto mógłby przedłożyć nas nad naszego brata?

- Przykro mi - wyjąkał Sulaiman, bo były to jedyne słowa, jakie w tej chwili przychodziły mu do głowy.

Akbar przymknął oczy i wparł się w fotel.

- Abido...

Sulaiman wysiadł, obszedł samochód, przesunął brata na siedzenie dla pasażera i odwiózł go do domu, a koń potruchtał za nimi.

Następnego dnia spotkał w ogrodzie Taimura, który siedział na starej huśtawce i wyglądał na mocno przygnębionego.

- Co tam? - spytał Sulaiman. Taimur podniósł głowę.

- Podśluchałem rozmowę Meher i JKM.

- Tak? Trudno sobie wyobrazić, żeby Meher i Binky mieli jakieś wspólne tematy. Dyskutowali o sprawach państwowych?

- O sprawach sercowych. Ona uważa, że Akbar jest przygnębiony, bo zakochał się w Abidzie. To prawda?

Sulaimana zszokowała nieświadomość Taimura.

- A co, jeśli tak?

Taimur kopnął w ziemię.

- Jeśli to prawda, a tego nie dostrzegłem, to może innych rzeczy też nie dostrzegalem? Może ona też jest w nim zakochana?

Sulaiman wiedział, że całą sprawę trzeba jak najszybciej wyjaśnić.

- Nie jest. Jest zakochana, ale nie w Akbarze i Akbar o tym wie. Jest zakochana w kimś innym. Zaczekaj, przyniosę ci dowód na piśmie. Sama go sporządziła. – Pobiegł poszukać kartki, którą Akbar dzień wcześniej pogniótł i cisnął na tył samochodu.

Zgubiło go umiłowanie dramatyzmu. Nie mógł po prostu oświadczyć: „Ona kocha ciebie, Taimurze”. Musiał znaleźć tę kartkę i potrzymać brata w niepewności. Chciał zobaczyć jego minę, gdy ta niepewność się skończy. Jednak czy możemy winić Sulaimana za to, że nie przewidział, do czego to doprowadzi? Kto mógłby to przewidzieć? Taimur zobaczył, jak Sulaiman dokąd goni. Zobaczył, że w drodze do samochodu spotkał Abidę. Zauważył, jak Abida kładzie dłoń na ramieniu Sulaimana i

wyciągnął przedwczesny wniosek. Abida napisała list miłosny do Sulaimana.

- Dlatego właśnie odszedł - tłumaczył Sulaiman Dadi, a promienie księżycy kładące się na łóżku, stwarzały iluzję, że wciąż są młodzi i kuczowłosi, a za ich siwiznę odpowiedzialne jest tylko srebrne światło księżycy. - Zanim wróciłem, już go nie było. Myślał, że kochasz mnie.

- A ta druga kobieta? - wykrztusiła Dadi.

- Co za kobieta?

- Ta, dla której zabrał pierścień. Ta, przez którą napisał ten list. Coś w tym liście musiało być prawdą.

- Więcej niż nam się zdawało. Napisał go, bo był zły na Akbara i na mnie. Na mnie, bo myślał, że mnie kochasz. Na Akbara, bo cię kochał, ale zdawało się, że zdołał pogodzić się z brakiem twojej wzajemności, czego sam Taimur nie potrafił. Napisał go w gniewie, ale nie pomylił się. Napisał prawdę o mnie i Akbarze. I jeszcze jedno - Abido, on miał osiemnaście lat - wiedział, że tym listem zdenerwuje rodzinę na tyle, że nikt nie będzie go szukał.

- Ale, Sulaimanie, co z pierścieniem?

Sięgnął do kieszeni.

- Pojechałem do Londynu z zamiarem sprzedania go. - Wiedziała, co znajduje się w tym małym, aksamitnym pudełeczku, jeszcze zanim je otworzył. Dadi, której teraz nic już nie mogło zaskoczyć, westchnęła. Koniuszkiem palca dotknęła szmaragdu.

- Wyjaśnij mi to, Sulaimanie.

Taimur zabrał ten pierścień, bo miał osiemnaście lat i złamane serce, a ta kombinacja często idzie w parze z zamiłowaniem do symbolicznych

gestów. Zabrał pierścień, żeby Akbar nigdy nie mógł wsunąć go na palec Abidy. Sulaiman wiedział o tym, bo Taimur mu to wyznał.

- Więc naprawdę wrócił? - spytała Dadi. Wciskałam się w ścianę, a każdy mięsień mojego ciała napięty był do granic możliwości. Każdy mięsień, zwłaszcza serce.

Sulaiman, w geście przeprosin, ścisnął jej rękę i kiwnął głową. Tuż po ślubie Abidy i Akbara. Sulaiman siedział akurat w pokoju swojej matki i patrzył, jak śpi, starając się nie dostrzegać, jak szponiaste stały się jej dłonie. Wtedy Taimur otworzył okno i wskoczył do środka. Był teraz wyższy i bardziej barczysty, a ulubione angielskie garnitury zamienił na długi *achkan* i spodnie *churidar*, ale jego uśmiech wciąż pozostawał taki sam.

- Sully, oto twój głupi brat - oznajmił. Powiedział to po angielsku.

Sulaiman uściskał go i pomyślał, że wszystko będzie dobrze.

- Nie damy się rozdzielić żadnej dziewczynie, prawda? - spytał Taimur, gdy w końcu się puścili.

Sulaiman już od dawna podejrzewał, z jakiego powodu Taimur uciekł. Przez moment zawahał się, a potem wyznał bratu prawdę. Taimur chciał wzruszyć ramionami, otworzył usta i zamknął je.

- Kochała mnie? - spytał w końcu. Sulaiman pokiwał głową. - Wciąż mnie kocha?

- Wyszła za Akbara.

- Och. Rozumiem.

Podszedł do śpiącej matki i ujął ją za rękę. Upłynęło sporo czasu.

Lato minęło, a wiatr był już na tyle chłodny, że wielu członków rodziny sypiało przy zamkniętych oknach. Sulaiman miał właśnie zamknąć

to, które otworzył Taimur, gdy usłyszał skrzyp okna otwieranego w pokoju obok.

- Akbarze, spójrz tylko na ten księżyc – wykrzyknęła radośnie Abida.

Taimur wstał i też podszedł do okna. Gdyby choć trochę się wychylił, zobaczyłaby go. Nie wychylił się. Zamknął je i oparł czoło o ścianę.

- Boże, ratuj. Nie mogę zostać. Myślałem, że mogę, ale nie mogę.

- Taimur? - To obudziła się ich matka.

Taimur całą noc siedział przy jej łóżku, dzieląc się z nią wszystkimi wspomnieniami z dzieciństwa. Zdawała się czerpać z tego większą ulgę niż z lekarstw, modlitw czy opowieści o cudownych uzdrowieniach, którymi raczono ją od kilku miesięcy. Ale Taimur prawie nie patrzył na brata i Sulaiman wiedział, że dawna złość gotuje się w nim coraz bardziej, teraz za to, że pozwolił mu źle zrozumieć swoje słowa. W którymś momencie Sulaiman chciał wyjść, ale jeszcze zanim przemierzył pół pokoju, Taimur zagroził mu drzwiami.

- Jeśli pójdziesz po Akbara, zniknę, zanim zdążysz zapukać do jego drzwi.

Jednak wczesnym rankiem, gdy matka w końcu zasnęła, Taimur zwrócił ku Sulaimanowi twarz pełną bólu.

- To niczyja wina - oświadczył. - Z Akbara jest o wiele lepszy gość niż ze mnie. Nie mów mu, że tu byłem. To złamie mu serce. Abidzie nie piśnij ani słowa o tym wszystkim.

- Dokąd się udasz? Gdzie byłeś?

- Daleko. To bez znaczenia. Mam się dobrze, tylko to mogę ci powiedzieć. Do widzenia, Sully.

Sulaiman zrobiłby wszystko, aby go zatrzymać, więc ze wszystkich argumentów, jakie mu przychodziły do głowy, wybrał ten najbardziej niewybaczalny.

- Ona wciąż może cię kochać - oznajmił.

Taimur uśmiechnął się.

- Tak, to możliwe. Może i bym został, gdybyśmy nie byli niecałkami. Gdybym nie dorastał w przekonaniu, że możemy ściągnąć na rodzinę jakieś straszne nieszczęście. Może. Ale może i nie. Bo i ja, i ty, i ona, wszyscy kochamy Akbara. Masz. - Wcisnął Sulaimanowi aksamitne puzderko. - Nie mam do niego żadnych praw. Może pewnego dnia będziesz wiedział, co z tym zrobić. Ja z całą pewnością nie wiem. Powiedz Mamie, że ją kocham.

- Sam to zrobiłeś.

Taimur uśmiechnął się i wyszedł.

Gdy Sulaiman skończył mówić, byłam bliska łez. Dadi natomiast zrobiła coś zupełnie niespodziewanego. Roześmiała się.

- Sulaimanie, to czysty melodramat. Moje życie! Takie namiętności, tragiczne nieporozumienia i nieoczekiwane objawienia w następstwie zwrotów akcji. To jest przekomiczne. - Wzięła od Sulaimana pierścień i zważyła go w dłoni. - Złamałby mi palec.

- Niczego nie żałujesz?

- Być kochaną przez dwóch takich braci, to rzadki dar. Zwróciłeś mi mój *Naz*.

- Niech będzie, że trzech takich braci – powiedział Sulaiman i pocałował ją w rękę. - Dla zwiększenia melodramatyzmu.

Dadi znowu się roześmiała, po czym zwróciła się do mnie.

- Aliyo, przyszło ci na myśl to samo co mi?

- Co takiego? - W obecności mojego stryjecznego dziadka, który dopiero teraz mnie dostrzegł, byłam onieśmielona.

- Matka Mariam mogła jednak wywodzić się z arystokracji.

- Nie, Dadi. W ogóle o tym nie pomyślałam.

- Dobrze. To już jakiś postęp.

Sulaiman wstał.

- Zastanawia mnie, kim ona była. Ta żona. Kimkolwiek by nie była, to stało się później. Samia mówiła mi, że córka Taimura, Mariam, jest dużo młodsza od twoich czy moich dzieci. Sporo czasu musiało upłynąć, zanim był gotów pokochać kogoś innego.

- Może on i jego żona byli razem tak szczęśliwi, że sporo czasu musiało upłynąć, zanim zdołali dopuścić do tego szczęścia kogoś trzeciego. Czemu nie? Kochajmy Taimura na tyle, by móc w to uwierzyć. Aliyo, spójrz!

Odwróciłam się, żeby wyrzucić przez okno, ale bębnienie o szyby zdążyło mi już uświadomić, na co patrzyła.

- Zabierz mnie na balkon, Sully. - Podniósł ją. Ten człowiek zbliżający się już do osiemdziesiątki, po prostu ją podniósł, a ja otworzyłam drzwi. Odgłos deszczu niemalże ogłuszał, ale choć nie mogłam ich słyszeć, zobaczyłam, że prosi go, aby ją postawił.

Sulaiman zamknął za sobą drzwi, żeby woda nie przedostawała się do środka, i wtedy poczułam się zupełnie jakbym oglądała niemy film z Dadi i Sulaimanem w rolach głównych. Co za wieczór, co za wieczór! Taimur wyjechał, bo kochał Abidę, i nie wracał, bo kochał Akbara. Pojechał do Turcji. Tak. Wyjechał do Turcji i odnalazł jakiegoś przyjaciela swojego wuja - wuj Dard-e-Dil, który pojechał do Turcji, często mówił o tureckich znajomych. Dzięki tym znajomym udało mu się znaleźć pracę,

zajęcie. Może uczył gdzieś urdu, angielskiego lub perskiego? Potem poznał pewnego mechanika z Dard-e-Dil i razem wspominali dom rodzinny. Któregoś dnia mechanik powiedział mu, że Meher jest w Grecji, a Taimur nareszcie wynalazł sposób, żeby dowiedzieć się, co dzieje się z rodziną, ale tak, żeby rodzina nie wiedziała, co dzieje się z nim. Jak łączyło się to z historią Mariam i Masooda? I z moją historią?

Znów wyjrzałam na balkon. Dadi prawie sześćdziesiąt lat czekała na tę opowieść. Jak potoczyłoby się jej życie, gdyby usłyszała ją wcześniej? Te opowieści, ta sól... Jak to się stało, że decydujemy się działać, skoro nasze życie zależy od tej tak pozornie biernej czynności, jaką jest słuchanie?

Wyszłam na balkon. Dadi uniosła ręce i wciągnęła w płuca odurzającą woń ziemi, wciąż wyschniętej i spękanej, ale powoli nasiąkającej wodą. Szlafrok kleił się do ciała babci. Patrzyłam na nią i choć wiedziałam, że monsunowe deszcze zaleją ulice, poprzerywają przewody elektryczne i przyczynią się do powstania licznych bajor stojącej wody, w sam raz na orgie dla wniebowziętych komarów, to przez tych kilka minut żadna cena nie wydawała mi się zbyt wysoka, aby zobaczyć, jak kwiaty bugenwilli falują na deszczu wokół bosych stóp Abidy.

- Sulaimanie - zawołała, przekrzykując hałas spadającej wody. - Tak się cieszę, że dane mi było przeżyć moje życie.

Rozdział dwudziesty trzeci



Cieszyło mnie, że Sulaiman jest w Karaczi. Odstawiał z Dadi i Meher przedziwny taniec, w którym trio tancerzy zmieniało się w duet kontra solista, potem znowu w trio, a potem duet dwojga innych tancerzy kontra inny solista, by na koniec znów uformowało się trio. Sulaiman i Abida droczyli się z Meher, że choć jest najmłodsza, zawsze udawała najstarszą („Co ty sobie wyobrażałaś, rozpowiadając Binky'emu o złamanym sercu Akbara?” - rzuciła Dadi, ale mówiąc to, nie przestawała się śmiać). Sulaiman i Meher naśmiewali się z królewskich póz Dadi („Pamiętasz, jak Abida utknęła na tym rozłożystym drzewie i zamiast przyznać się, że nie może zejść, oświadczyła: »Schodzenie w dół nie leży w moim zwyczaju«. Ile ty miałaś wtedy lat, Abbie? Osiem?”), a Meher i Abida żartowały sobie z męskich fanaberii Sulaimana („No cóż, to musiało skończyć się rozwodem. Ożeniłeś się z nią tylko dlatego, że robiła ten numer z ustami. To zmysłowe, pogardliwe wygięcie. Pamiętacie, jak Arna spytała ją, z pozornie niewinną, nabożną miną, czy często cierpi na te skurcze warg?”).

Jak mogłam się nie cieszyć?

Każdego dnia słyszałam jakąś wzmiankę o Taimurze i przypominało mi to, że zrozumiałam historię Taimura, ale nie przybliżyło mnie to do zrozumienia historii Mariam. Może wszystkie wymyślone przeze mnie rozwiązania były zgodne z prawdą? Może żadne? Ale gdybym miała

opowiedzieć jej historię, czym wypełnię przerwy pomiędzy tym, co wiem, a tym, czego jeszcze muszę się dowiedzieć?

Może właśnie o tym myślałam tego lipcowego wieczoru, leżąc w ogrodzie, otoczona chmarami komarów i obserwując dom oraz płomień świeczki przesuwany się za oknami. Ami właśnie czegoś gorączkowo szukała - w mroku spowijającym dom w czasie awarii prądu Ami zawsze odczuwała nieodpartą potrzebę gorączkowych poszukiwań.

- Mam dla ciebie niespodziankę - oświadczył Sameer, wychodząc zza węgła. - Chyba powinienem założyć firmę świadczącą usługi transportowe pomiędzy lotniskiem a centrum. - Z tymi słowami zniknął w dawnym pokoju Mariam, gdzie, jak tylko minął drzwi balkonowe, natychmiast się o coś potknął. Usłyszałam, jak upada. Przybiegła Ami.

- Och, świetnie, znalazłeś moje pudło. Ale, Sammy, dlaczego ty leżysz?

W tym momencie kilka stóp ode mnie wylądował niezidentyfikowany metalowy obiekt. Przetoczyłam się bliżej.

Puszka śledzi.

-Khaleel?

Wszedł do ogrodu.

- Jeśli góra nie przyjdzie do Liaquatabadu... - oznajmił, kucając przy mnie.

Przewróciłam się na bok, żeby na niego spojrzeć, a on uklęknął na ziemi.

- Hej - powiedział, a ja poczułam gwałtowną potrzebę położenia mu dłoni na gardle, żeby poczuć grające mu pod skórą mięśnie.

- Hej. - Blisko nasady jego palca wskazującego była mała ranka, która dała mi pretekst, aby go dotknąć. Wiecie, co w tym momencie poczułam, prawda? Przynajmniej domyślcie się.

- Mam coś dla ciebie w samochodzie Sameera. - Chciałam mu powiedzieć, że cokolwiek by to nie było, może poczekać, ale on już po to poszedł.

Dotknęłam trawy, na której siedział. Był tutaj. Naprawdę tutaj był i teraz w głębi duszy nie miałam już żadnych wątpliwości... nie, nie w głębi duszy... w żadnej części mojego ciała nie było już wątpliwości, że to właśnie on może złamać mi serce. Co za szczęście. Całe to pasywno-aktywne słuchanie doprowadziło mnie do tego momentu, tego mroku, w którym czekałam na światło ze świadomością, że czas już przywdziać kostium, wyjść na scenę i przemówić. Jakimi słowami - tego jeszcze nie wiedziałam, ale słowa te były, staną się za pokolenie, dwa lub trzy częścią opowieści kogoś innego.

Rozbłyły światła. Weszłam do środka. Sameer stał w uchylonych drzwiach pokoju moich rodziców.

- Ale co my o nim wiemy? Z jakiej jest rodziny?

Sameer zignorował drugie pytanie Aby.

- Wiemy, że Samia go polubiła. Rehana Apa, której opinii na pewno byście całkowicie zaufali, gdybyście ją znali, też. Był u Baji na herbacie. Zaprosiła go znowu. Co jeszcze chcecie wiedzieć?

Wkroczyłam do pokoju.

- Mieszka teraz u swojej rodziny w Liaquatabadzie.

Na te słowa Aba rzucił mi ostre spojrzenie i nawet

Ami nie wydawała się zbyt szczęśliwa.

- Przywiózł jedzenie, więc nie możecie mi kazać pozbyć się go przed kolacją - dodał Sameer.

- Jedzenie? Po co? Uważa, że nie jesteśmy w stanie wykarmić naszych gości?

- Nasser, przestań się czepiać. To miły gest, choć oczywiście Cal może chce tylko się nam przypochlebić. Moim zdaniem to naprawdę sympatyczne z jego strony. Ale gdzie on się podział?

- Poszedł po coś do samochodu.

- Pewnie po jedzenie - domyślił się Sameer. – Pomogę mu. Może wrzucę to po prostu do mikrofalówki i powiem Wasimowi, że zjemy od razu? Umieram z głodu.

Sameer zawsze potrafił ulotnić się po angielsku, gdy tylko zaszła taka potrzeba.

- To ten chłopak z samolotu? - spytała Ami.

- Co za chłopak z samolotu? - Aba wydawał się zraniony

- Dziewczęce sprawy. Nie wspominałaś nic o Liaquatabadzie. Dlaczego?

- A jak myślisz? - Zdmuchnęłam drżący płomień świeczki, zapomnianej wśród powodzi światła lamp. Znaleźliśmy się w impasie.

A może nie?

- Przecież wiesz, że teraz jesteś w Karaczi - powiedział Aba. Wymyślenie tego tekstu zajęło mu kilka sekund. - Tutaj musisz przestrzegać pewnych zasad. Wymaga tego szacunek dla innych.

Wiedziałam. Wiedziałam, że nigdy nie darzyłam podziwem ludzi, którzy sami uznawali się za nonkonformistów, ale tak naprawdę nie widzieli nic poza czubkiem własnego nosa. Wiedziałam, że nie będę mogła wysiedzieć w towarzystwie rodziców, gdy Khaleel był tuż, tuż.

- Mam nadzieję, że na kolację nie przywiózł hamburgerów. - Mówiąc to, Ami nie spojrzała mi w oczy.

- Jedzenie na stole - oznajmił Sameer, wtykając głowę przez drzwi. - A to jest Khaleel. - Khaleel uściśnął dłoń taty, kiwnął głową do Ami, uśmiechnął się. Widziałam, że sądzą, iż zadurzyłam się w nim dla samego wyglądu.

- W Liaquatabadzie też tak często nie ma prądu?

- Nie wiem, sir. Przyjechałem prosto z lotnis... – Przy ostatniej sylabie ugryzł się w język i spojrzał w moją stronę, żeby zobaczyć, czy nie popełnił jakiegoś faux pas.

Czemu Sameer nie mógł po prostu przyjechać po mnie i podwieźć nas do restauracji?

- Ten zapach - zaczęła Ami.

Co znowu? Tylko mi nie mówcie, że nie użył dezodorantu.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Aba.

Ruszyłam w stronę jadalni i też to nagle poczułam.

Zapach, który właściwie nie był zapachem, tylko cudem. Różne smugi zapachu łączyły się i przeplatały, tworząc niespotykaną symfonię. Aba przesunął się nieco, więc mogłam ustalić szczegóły, posługując się zarówno węchem, jak i wzrokiem. Na stole leżały: *biryani*, *timatar eut*, kebaby *bihari*, *aloo panjabi*, *raita*. Same nazwy niewiele wam powiedzą. Potrzebne jest określenie: Masoodowe.

Wsparłam się na ramieniu Khaleela.

- Niezłą podróż urządziły mi te twoje kuzynki. Powiedziały, że załatwią mi bilet i zanim się obejrzałem, siedziałem już w samolocie. Zarezerwowały mi lot z przesiadką w Istambule! Na lotnisku podszedł do mnie jakiś facet (twierdził, że jest znajomym twojej ciotecznej babki) i

wręczył mi paczkę z jedzeniem. Gdyby Sameer, gotowy w każdej chwili wyrecytować listę wysoko postawionych znajomych, nie wyszedł po mnie na lotnisko, celnicy na pewno by ją skonfiskowali. Widziałem, jak im ciekła ślinka.

- Wiesz... - Język stawał mi kołkiem w gardle. - Wiesz, skąd to pochodzi?

- Z restauracji. Przyjaciel twojej stryjecznej babki przetłumaczył mi jej nazwę. „U gadatliwego smakosza”.

Jakoś dotarliśmy do stołu i usiedliśmy. Co mogę powiedzieć o tym jedzeniu? Że nic nigdy nie smakowało lepiej? Że gdy próbuję je opisać, słowa mnie zawodzą? Że czasami zdawało się, że zjadamy szybciej, niż to fizycznie możliwe, a czasami tak wolno, że przeczyło to wszystkim prawom mechaniki? Że ziarenka ryżu w *biryani* były napęczniałe, ale niesklejone? Że szafran dosypano szczodrze, ale nie rozrzutną ręką? Że kurczak był tak soczysty, że chciało się śpiewać hymny pochwalne? Mogłabym opowiedzieć wam o *aloo panjabi* – potrawie z ziemniaków, która przypominała nam, dlaczego cały naród mógłby żyć samymi ziemniakami i umrzeć, gdyby ich zabrakło. Mogłabym wspomnieć o idealnej równowadze użytych w niej przypraw, tak że prawie widziało się, jak ziarnko gorczycy balansuje na ziarnku kozieradki, a nasionko kminku zastygło na suszonej papryczce chilli. Jeśli to nie wystarcza, przywołam kebaby *bihari*, których mięso było tak miękkie, że opierało-się wszelkim próbom potrzymania go na dłużej w ustach, a jednak zatrzymywało się na kubeczkach smakowych, zanim wdzięcznie ustąpiło miejsca innym, godnym uwagi smakom. Skoro jeszcze mogę spokojnie o tym myśleć, nie padając przy tym na kolana, pozwólcie, że opowiem jeszcze o *timatar cut*, który znanego wszystkim pomidora przenosi do królestwa imbiru, czosnku, zie-

lonej i czerwonej papryczki chilli, *karripattas* i kwaśnego tamaryndowca. Jedząc ten posiłek, obcowaliśmy z wiekami sztuki kulinarnej, dopracowywanej na całym subkontynencie. Smaki, które rejestrowaliśmy, były nie tylko smakami potraw, ale również smakami, o których potrawy nam przypominały i smakami zapamiętanymi przez same potrawy

Same opisy nie wystarczą. Próbując potraw Masooda, ujrzałam w wielkiej, cudownej kuchni Mariam, która strzepuje z szyi męża szafran i posypuje nim swoje war- gi. Ujrzałam ją, jak recytuje listę warzyw - *mo-oli, loki, bhindi, shaljam, gajjar, mattar, phoolgobi* - jakby lista ta była *ghazalem*. Widziałam Masooda ubijającego w misce owoce mango. Do jego rąk dołącza się nagle druga para i nie dwie, a cztery dłonie splatają się i ugniatają owoce. Próbując tych potraw, ujrzałam starszą i szczęśliwą Mariam.

Khaleel powiedział coś, co sprawiło, że Aba się roześmiał. Zobaczyłam, jak Ami pochyła się do Khaleela i mówi, mówi i nie przestaje, aż w końcu jest zmuszona przestać, bo Aba grozi, że zje ostatni kawałek jej kurczaka, skoro ona nie wydaje się już zainteresowana jedzeniem. Khaleel spojrzał na mnie i nagle zapragnęłam, żeby wszyscy inni zniknęli. W pewnym sensie, gdy tak patrzył na mnie po swojemu, faktycznie zniknęli.

Gdy wszystko zostało już zjedzone - choć talerze dałoby się jeszcze wylizać, czego nie zrobiliśmy, bo to oznaczałoby, że kucharz źle wyliczył ilość potraw – Khaleel podniósł ze swojego talerza ostatnie ziarenko ryżu i, korzystając z pobiesiadnego rozkojarzenia wszystkich obecnych, całą jego wspaniałość umieścił na moim języku.

- W drodze powrotnej do Ameryki znowu zatrzymam się w Istambule - powiedział cicho. - Tuż przed początkiem nowego semestru. Ty też wtedy wyjeżdżasz, prawda?

Ami odwróciła się, żeby go o coś spytać, a ja miałam czas na zastanowienie się nad odpowiedzią. Czy to przypadek, że właśnie tak wszystko się potoczyło? Czy też może gdyby nie Khaleel, nigdy nie zadałabym pytań, które zdecydowałam się zadać? Skąd możemy wiedzieć, dlaczego dzieje się to, a nie coś innego? Może, myślałam, obserwując jak jego szyja wygina się podczas śmiechu, może gdy opowiadamy swoje historie, one opowiadają nas, ukazując, co w naszym życiu można, a czego nie można wytłumaczyć.

Przez te wszystkie lata, gdy Mariam mieszkała z nami, nigdy nie prosiłam, aby się przede mną tłumaczyła. Wystarczało mi to, że po prostu była, kim była. Odpowiedzi, których od tamtego czasu tak gorączkowo szukałam, wywodziły się od jednego pytania: dlaczego kochała Masooda. Teraz znałam powody. Miałam wyjaśnienie wszystkich jej niewypowiedzianych słów, wszystkich czynów. Pozycja społeczna jej matki, chęć obalenia hierarchii, chęć dowiedzenia się, czemu Taimur wyjechał. Jej ostatnia rozmowa z mężczyzną, którego kochania nigdy nie brała pod uwagę (mężczyzną, którym mógł być nawet znajomy Meher Dadi z Turcji albo jego syn). To wszystko były odpowiedzi, które razem mogły stworzyć pewną całość. Niektóre z nich były nawet czymś więcej niż domysłami. Jednak żadna z nich nie była odpowiedzią na pytanie: dlaczego Mariam kochała Masooda.

Khaleel położył rękę na oparciu mojego krzesła. Jego dłoń dotykała moich pleców w miejscu, gdzie drewniana kratownica miała przerwy. Nie, na to pytanie nie było odpowiedzi i nigdy nie będzie.

Prawdziwe pytanie, pytanie, na które tylko ja mogłam odpowiedzieć, brzmi: czy jestem gotowa zrobić pierwszy krok. Zabrać Khaleela do jakiegoś pomieszczenia pełnego krewnych i oświadczyć: „Mariam i ja je-

steśmy nie-całkiem-bliźniętami. Ten mężczyzna... nie wiem, co wydarzy się między nami, ale myślę, że warto dla niego zaryzykować złamane serce. Warto, nie z powodu Masooda, nie z powodu Taimura, nie z powodu Taj czy Dadi, czy kogokolwiek innego. Po prostu warto. Czemu nazywacie nas nie-całkiem-bliźniętami, jakbyśmy byli czymś niekompletnym? Powiedźcie, czymś więcej niż bliźniętami. Albo jeszcze lepiej: omylnymi, zdolnymi do błędu, poddającymi się namiętnościom jak wy sami".

Była to przemowa, którą sobie przygotowałam i przećwiczyłam przed lustrem. Czy zdołałabym ją wygłosić, skoro nawet najbardziej tolerancyjni z Dard-e-Dilów, moi rodzice, mieli co do Khaleela wątpliwości?

Mama powiedziała coś, czego nie dosłyszałam, a Khaleel odparł:

- Gdy żyją nasze serca, jesteśmy czymś więcej niż tylko sobą.

Wstałam i podeszłam do okna. Rodzice odczytali to jako sygnał. Powiedzieli Khaleelowi, że nie ma potrzeby sprzątać ze stołu, może to zrobić Wasim, a potem pożegnali go i wycofali się do swojego pokoju. Sameer gdzieś się ulotnił. Wasim zgarnął stertę talerzy i zniknął w kuchni. W ciszy, jaka zapanowała w pokoju, było coś znajomego. Spojrzałam na gałąź hibiskusa Mariam. Oddzielająca nas szyba była zarazem oknem i lustrem. Wyciągnęłam rękę, chcąc odtworzyć krzywiznę gałęzi. Khaleel schylił się, żeby podnieść ze stołu talerz.

Moje palce nakreśliły w powietrzu wygiętą linię jego pleców.

Koniec